

96

POETA I ŚWIAT.

Grinwa

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

7

Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióry
I tak wysoko postawił, że z góry
Wszystek świat widzę? —

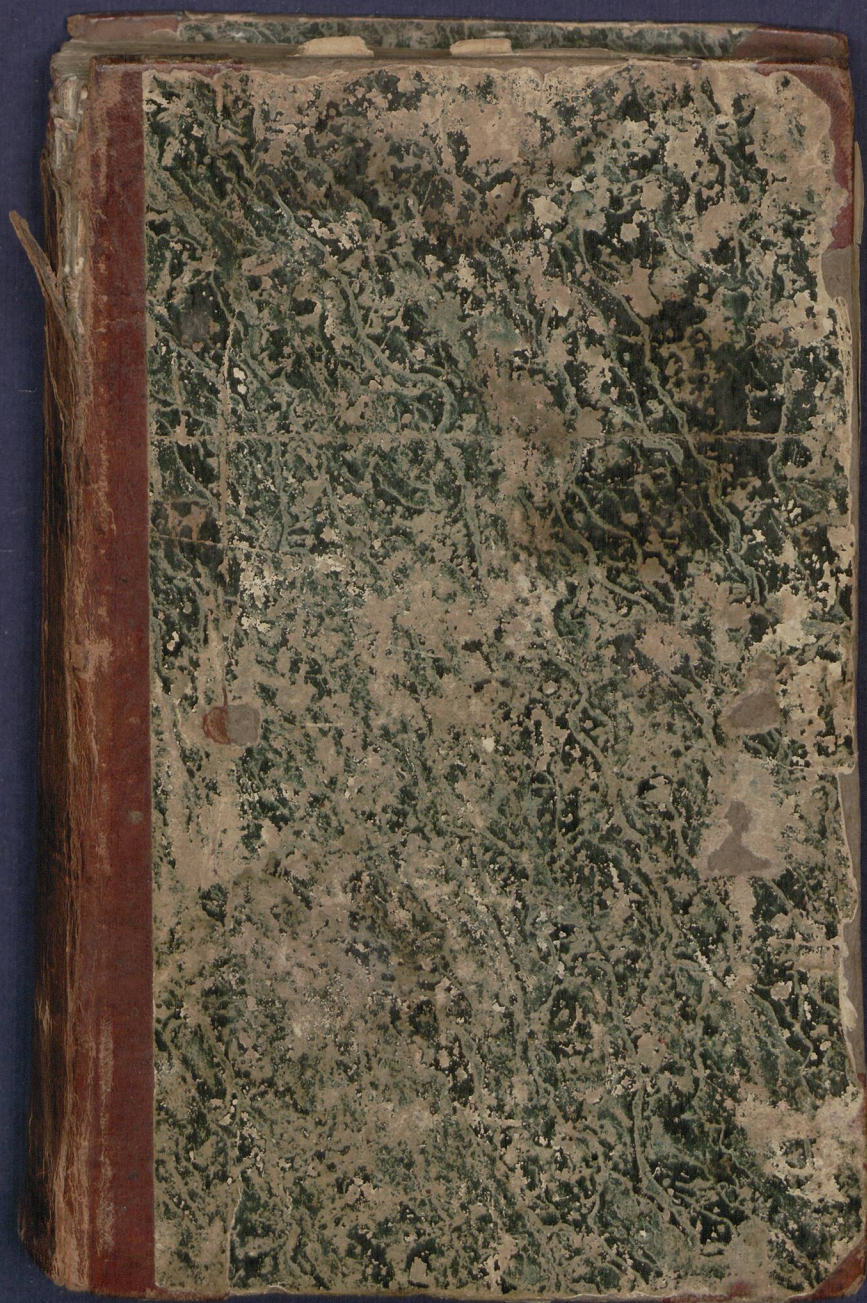
J. Kochanowski, Ks. I. X.

.....

w Poznaniu,
w Księgarni W. STEFAŃSKIEGO

1839.

1865





96

POETA I ŚWIAT.

— *Guizot*

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

7

Kto mi dał skrzydła, kto mię odział pióry
I tak wysoko postawił, że z góry
Wszystek świat widzę? —

J. Kochanowski, Ks. I. X.

~~~~~

w Poznaniu,  
w Księgarni W. STEFAŃSKIEGO

1839.

4865



IMPRIMATUR  
Czwalina Censor.



A325677I

Czcionkami KAROLA POMPEJUSZA W POZNANIU.

Bibl.

2.186 K 945

— I stood  
Among them, but not of them, in a shroud  
Of thoughts which were not their thoughts.

*Byron, Child Harold. C. III.*

---

O toi, que ton destin  
Pousse pour ton malheur dans ce fatal chemin,  
Qui crois le voir semé de lauriers et de roses,  
Viens, contemple ma vie . . . . .

*C. Delavigne.*

---

Die Poesie komme zu uns, wie und wo sie will, sie  
kleide sich wie der Jupiter der Heiden, in welchen prosai-  
schen, engen, dürftigen Leib; sobald sie nur wirklich darin  
wohnt; so sey uns dieser Maskenball willkommen.

*Jean Paul.*

---



THE  
JOURNAL OF THE  
AMERICAN MEDICAL ASSOCIATION  
PUBLISHED WEEKLY  
CHICAGO, ILL., U.S.A.

Volume 10, No. 1  
January 1917  
Published by the American Medical Association  
535 North Dearborn Street, Chicago, Ill.

Subscription price, \$5.00 per annum in advance.  
Single copies, 15 cents.  
Entered as Second-Class Matter, June 26, 1902.  
Postage paid at Chicago, Ill., and at additional mailing offices.  
Acceptance for mailing at special rate of postage provided for in  
Act of October 3, 1917, authorized on July 17, 1918.

Copyright, 1917, by American Medical Association

# I.

## DZIECI I KWIATY.

---

Jako oliwka mała pod wysokim sadem,  
Idzie z ziemię ku górze macierzyńskim śladem,  
Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,  
Sama tylko dopiero szczipłym prątkiem wschodząc.  
*Kochanowski Tren. V.*

**W**idzisz tam dzieci na łące ubranéj jak perski  
kobierzec w różnobarwne kwiatki, które wiosna,  
deszcz i ziemia utkały, a słońce pomalowało?  
Tam pod lasem jest ich troje, dwóch chłopców  
i dziewczynka. — Jeden z chłopców jedzie na  
kijkowym koniku, szablę ma drewnianą u boku,  
stosowany kapelusz z papieru na głowie, sło-  
miane szlify i drewniane ostrogi. — Dziewczyn-  
ka ma lalkę w ręku, którą ubrała w kwiatki,  
w wieńce, dwa razy większe od niej, jak los,  
co daje czasem ludziom większe od nich szczę-  
ście. — Drugi chłopczyk patrzy w niebo i kwia-  
tek trzyma w ręku.

— Co ty tam myślisz o tym kwiateczku?  
zawołała dziewczynka, oddaj go lepiej mojej  
Magdusi, której sprawiam wesele.



— O! nie — odpowiedział chłopczyk, wpatrując się ciągle w kielich polnego dzwonka (*Campanula arvensis*) — nie — szkoda tego kwiatka! Właśnie myślałem zerwawszy go, iż on nie na to może rość i kwitnąć, żeby wiądnął w naszych rękach; patrz, moja Maryniu, jak go Bóg w piękne ustroił sukienki! W piękne sukienki szafirowe, jak skrzydła motyla. Ta sukienka szafirowa, którą tobie twoja mama sprawiła, daleko mniej piękna! — Słuchaj! — mnie się zdaje, że kwiatek musi żyć, musi kochać swoje siostrzyczki i braciszki kwiatki; a my zrywając, zabijamy go. —

— Kwiatki nie żyją, — odpowiedziała dziewczynka, one są jak moja lalka, Gustawie. —

— Przepraszam! rzekł chłopiec, twoją lalkę zrobili ludzie, a on sam urosł z ziemi, rozkwitł pod słońcem, pił rosę, ssal ziemię i kochał braciszki kwiatki. —

Na te słowa nadbiegł drugi chłopczyk, machając drewnianą szabelką i ścinając po drodze głowy kwiatkom, które spotykał. —

— Wstydz się Franku, rzekł Gustaw, tyle kwiatków zabijać, gdybyś przynajmniej zrobił z nich wianek, jak Marynia. —

— A na cóż mi na drodze rosną? odpowiedział drugi chłopiec.

— A ktoś ci kazał tędy biegać?

— Kto mi zabroni? rzekł dumnie Franek, — to moja łąka i moje kwiatki. —

— Łąka i kwiatki Boże, nie twoje!

Chłopiec nie słuchał tego i pobiegł dalej. —

Gustaw został sam jeden z głową schyloną nad kwiatkiem. —

Znacie tę chwilę, kiedy w duszę dziecinną zstąpi z nieba myśl pierwsza i aureola pojęcia, błada jak promień księżycy, obwinie śpiącą jeszcze głowę? Jest to rodzaj obudzenia. —

Zdaje się, że się wszystko wyjaśnia przed oczyma drugimi, że jakiś głos wewnętrzny mówi do duszy, że długi czarny sen rozbija się jasnym marzeniem. — Takie były uczucia Gustawa na widok kwiatka, który mu pierwszą myśl w duszy zaszczeplił. — Spojrzawszy na jego sukienkę, zaczął jak przez mgły się domyślać, że ktoś ją stworzył i uszyć musiał, że ktoś te kwiatki po łące rozsypał, kazał im rosnąć, kwitnąć, więdnąć, i podniósł Gustaw oczy do nieba. —

A na niebie był zachód słońca.

Na łożu różowym, otoczone chmureczkami, umierało ono powoli, bladło, wzrok jego coraz był mniej jasny, krąg coraz mniejszy, aż się skryło zupełnie. Lecz ostatnie jego wejrzenie powiedziało jeszcze Gustawowi, toż samo co kwiatek. Wówczas pojął Boga i świat o tyle, o ile je pojąć można, a małeńkie jego serce wstrzęsło się przestraczem i niepojętem uczuciem rozkoszy — uwielbienia, podziwu. —



— Czy widzisz ty słońce, Franiu? zapytał Gustaw.

— Widzę — zachodzi! odpowiedział chłopiec mustrując siostrę.

— Czy ono ci nic nie mówi?

— Ono? albo i słońce gada? chyba w bajce. —

— Czy nic nie myślisz, kiedy patrzysz na ten zachód?

— Myślę, że prędko dadzą kolacyą, a potem spać pójdziemy. —

— A ten kwiatek?

— Wszak wiesz, że kwiaty tylko w bajkach gadają.

— Ale myślałeś co, Franusiu, spojrzawszy nań? ktoś go musiał stworzyć i kazać kwitnąć jemu i słońcu. Ty nie myślałeś tego?

— Nie! odpowiedział Franuś, bo ja o Panu Bogu myślę tylko w kaplicy, jeśli nie zimno i przy pacierzu, jeśli mi się spać nie chce.

— Ale on jest wszędzie, rzekł Gustaw, w kwiatku, w słońcu, w koło. Franiu, pomódlmy się do niego, ty za papę i mamę, ja za swoich, chociaż już poumierali. —

— Ja się będę modlił wieczorem! Wio, hop, wio hop! I pobiegł na koniu, a za nim Marynia z lalką, na której wachał się wieniec, gubiąc po drodze składające go kwiatki, jak człowiek gubi po drodze życia, swoje złudzenia i nadzieje.

— Proszę cioci, rzekł Gustaw wchodząc do pokoju, wszakto Bóg tak pięknie poukładał kwiatki.

— Tak moje dziecię.

— A wszak na to są kwiatki, przerwał mu Franuś, żeby je dzieci zrywały?

— Wszak prawda, że nie? zawołał Gustaw, wszak kwiatek żyje, ciociu, wszak kwiatek kocha kwiatki, jak człowiek człowieka. —

— Kwiatek, moje dziecię — odpowiedziała pani Werner — nie kocha dla tego, że nie ma ani duszy, ani myśli, kwiatek jest dla człowieka pokarmem, ozdobą, lekarstwem.

— Ach! moja ciociu, zawołał Gustaw, czyż Bóg to wszystko dla człowieka stworzył, a cóż człowiek za to Panu Bogu robi?

— Powinien być za to nabożny, posłuszny, dobry, wszystkich kochać i na nikogo się nie gniewać, a Pana Boga kochać bardziej, niż wszystko.

— Ale, moja ciociu, moja ciociu, przerwał Gustaw, czyż to być może, aby kwiatek zasiewał się, wschodził, żył, ssal ziemię, pił rosę i otwierał się do słońca dla jednego człowieka? — A w pustyniach, gdzie nie ma ludzi, wszak są kwiatki?

Pani Werner trochę zaambarassowana tém pytaniem, odpowiedziała, chcąc się zbyć dziecka. —

— Nie ma, moje dziecię.

Gustaw się zamyślił.



— A jakże o tém wiedzą ludzie, kiedy tam ludzi nie ma? zapytał.

— Czasem przychodzą tam, odpowiedziała ciotka.

— A kwiatki, czy tam zaraz wyrosną? gdzie ludzie przyjdą.

— Zapewne, jeżeli będą posiane.

— Ale same się nie znajdą?

— Nie.

— To mnie się zdaje, ciociu, że Pan Bóg musiał stworzyć kwiatki dla nich, a ludzie tylko tak sobie powiedzieli, bo im nikt zrywać nie broni. —

— Co ty pleciesz Gustawie? zawołał sam pan Werner grubym głosem, wstając z kanapy, na której spokojnie fajkę palił. —

Ciotka wie o tém lepiej od ciebie.

Gustaw zamilkł, bo się bardzo wuja lękał, zamilkł i spojrzawszy na róże, kwitnące na oknie w wazonie, pomyślał sobie:

— One tu same nie przyszły, biedne niewolnice, jak ich kwiatki pozwracały się do okna, jak wyglądają na podwórze, jak im tu ciemno być musi? — Jakie blade! Tamte róże, co rosną pod oknem na świeżem powietrzu, daleko są piękniejsze. —

— Ciociu, zawołał znowu, pociągając ją z lekka za suknię i lękliwie na wuja spoglądając, wszak te róże są z ogrodu?

— Z ogrodu!

— Te same?

— Te same. — Potém umilkł i zamyślił się.

A Franuś budował pałac z kart na stoliku i dmuchaniem go walił. — Marynia prowadziła żywą mowę ze swoją lalką. — Gustaw patrzył i myślił.

— Ciociu, rzekł pocichu, widząc pałac Franciszka walący się, czy tak i nasze domy popadają, kiedy mocny wiatr zawieje?

— Czasem, kiedy są źle zbudowane, to się zdarza.

— A kiedy są dobrze zbudowane, to stoją zawsze?

— Nie, — tylko długo.

— Jak długo?

— Rozmaicie, czasem bardzo wiele lat. Daleko stąd, w najgorętszej części świata, która się nazywa Afryka, jest kraj Egipt, tam stoją budynki wielkie, podobne formą do tego pałacu, który stawia Franuś, a że są ogromne i z kamienia, przeżyły już bardzo wiele tysięcy ludzi.

— I jak się nazywają te budynki?

— Piramidy.

— Czy to są kościoły, czy domy? —

— Groby.

— I groby przeżyły ludzi! zawołał Gustaw. A te domy, ciociu, w których my mieszkamy czy prędko upadną?

— Za sto lat pewno ich nie będzie.

— A potém co?



— Albo kto je odbuduje, albo nie.

— To cóż będzie na tém miejscu?

— Wszystko być może lub nic, pole, kościół, smętarz, stajnia. — Gustaw znowu się zamyślił.

— I nikt nie będzie wiedział, żeśmy tu mieszkali?

— Zapewne!

— To smutno! — rzekł Gustaw. — I w tém miejscu, gdzie my pomrzemy, mogą się bawić? zapytał znowu.

— Czemu nie!

— Gustawie, pleciesz bez sensu i nudzisz ciotkę, odezwał się pan Werner, na co się zdały takie pytania? Jeżeli chcesz pytać, pytaj o co rozumniejszego. Co tobie do tego, co jest, co będzie; ucz się, to wszystko zrozumiesz powoli. Czemu się lepiej nie pytasz: jak się żyto sieje, jak się pole orze, jak się woły karmią jak się kupuje, sprzedaje?

— A toż wujaszku na co się zdało? zapytał Gustaw.

— Kiedyś zapewne będziesz gospodarzem.

— Nie! —

— Jakto nie? a cóż myślisz robić?

— Niewiem. — Będę myślał o Panu Bogu i o kwiatach.

Państwo Werner spojrzeli po sobie, dając sobie oboje do zrozumienia to, czego nie zrozumieli, a Franuś zawołał:

— A ja mam być żołnierzem, będę miał szlify świecące, jak u pana Adolfa i pióra na głowie i bóty z podkówkami i wielkie białe ostrogi. Pojadę na wojnę i będę się bił, — pobiję wszystkich i zostanę generałem, a potem królem. I ożenię się z królową bardzo piękną, która będzie miała, jak w bajce Magdusi, księżyc na czole, a suknie w gwiazdy i perłami będzie płakać. — Nie, — nie będzie płakać: — na co płakać? — My będziemy bardzo szczęśliwi, będziemy mieli wielki pałac złoty, a okna w nim będą brylantowe.

— I cóż będziecie robić? zapytała matka, głaszcząc syna pod brodę. —

— Co? będziem się pięknie ubierać i tak jak papa z mamą, będziem siedzieli i będziem się nudzić!

Rodzice się rozśmieli.

— Dla czego nudzić się, — kiedy my się nie nudzim?

— Alboż to można nie nudzić się, siedząc tak ciągle na jednej kanapie?

— Jest robota.

— A kiedy mama, robi tylko pończochę, a papa nogą kiwa. —

— Papa często pisze i myśli zawsze, ja kiedy nic nie robię, to myślę także.

— A, co tam te myśli, odpowiedział Franuś, ja nigdy myśleć nie będę! na co mnie się to zdało! To strasznie nudno! — Będę sobie bie-



gał! — Ej! jak będę królem, Maryniu zobaczysz, jakie twojej lalce sprawię sukienki, a papie i mamie dam dużo, dużo, cały worek pieniędzy, bo mama i papa bardzo pieniądze lubią. —

— Maryniu! a ty co będziesz robić? zapytał ojciec, którego to bawiło.

— Ja nie wiem papo. Jak wyrosnę, to będę słuszną panna, — w ów czas będę siedzieć na kanapie, a wszyscy mi się będą kłaniać i w ręce całować. I nie będę miała niańki, ani lalki, będę gadać dużo i śmiać się przy gościach, wolno mi się będzie napierać do śniadania — bo będę bardzo ładna. — Otóż jeden pan bogaty, zobaczy mnie i ożeni się, w ówczas kupim sobie dwoje dzieci i będziem chodować i kochać, tak, jak papa z mamą nas. A potem jak się zestarzeję, to będę tak jak pani kasztelanowa, zamiast lalki, będę miała szpica, będę nosić okulary, codzień chodzić na mszę, łajać wszystkich, robić pończochę i ziewać. —

— A ty Gustawie, jakiegoż chcesz życia? — jakby ci najlepiej było?

Dziecię się zarumieniło, spojrzało w koło i odpowiedziało ze łzami.

— Ja będę myślał o Bogu i o kwiatkach.

— Czyż będziesz tak szczęśliwy?

— O nie! odpowiedział sierota, łzy ocierając. Nie będę szczęśliwy, aż zobaczę papę i mamę.

Ciotka spojrzała na niego i ze wzruszeniem przycisnęła go do siebie, całując w czoło, ale słowa nie odpowiedziała.

— Wszak oni kiedyś wyjdą z tego smentarza, z pod téj trawy, co na nich rośnie i kamieni, co ich gniotą? zapytał cicho. — Wszak ja ich zobaczę, ciociu? wszak oni mnie będą tak kochać, jak ciocia Marysię i Frania?

— Będą, moje serce, ale nie płacz. Idź się bawić, grajcie w ciuciubabkę. —

— W ciuciubabkę!! powtórzyły dzieci, ciągnąc za sobą Gustawa, który łyzy ocierał jeszcze i mówił po cichu:

— Jabym wolał myśleć o Bogu, o papie, o mamie i o kwiatach.

— Osobliwsze dziecko! odezwał się pan Werner, rzucając fajkę, nieprawdaż Zofio?

— Biedna siostra! odpowiedziała pani Werner.

## II.

### POCALUNEK.

Ty tak możesz być szczęśna, że cię swémi  
Wdzięcznie całuje usty różanemi.

*Kochanowski. Fraszki Ks. III. do Reiny.*

**W**idziałeś kiedy na wsi spokojny wieczór? —  
Nie ze wzgórza, z którego lasy, doliny i góry



u stóp się rozwijają, nie w pustém polu, nad którym tylko płaczą gałęzie brzoź białych; ale wśród ogrodu twojego domowego, z za lipowego szpaleru, słuchając szczekania twoich psów, które umiesz rozeznąć po głosie, beczenia baranów, rżenia koni, ryku wołów, wesołych śmiechów czeladzi, przy śpiewie słowika w bzach rozkwitłych, przy pieśni melanholijskiej twojej żony, siostry, córki? pieśni, która żegna zachodzące słońce i przesiękła wieczorném dumaniem, płynie po spadającej rosie, miesza się z dymem twojej prozaicznej fajki i grubem przekleństwem ekonoma, jak śpiewy aniołów z jękami szatana. —

Takiego to wieczora siedział Gustaw siedm-nastoletni już chłopiec, na ławce w ogrodzie pod wielkim kasztanem, siedział, patrzył na rubinowy zachód przeglądający przez drzewa, i dumał. —

Młoda głowa jego, już się paliła potrójnym ogniem młodości, miłości i poezyi, serce było w piersiach wzdętych, które naciskały tysiączne niewyraźne żądze, — oczy wilgotne rzucały się po wszystkich stronach, ręce drżały zatamowane i czuł potrzebę płaczu, choć nie widział powodu. Biedny poeta!

W tém koło bzowych krzaków zaświeciła sukienka i zadźwięczyła piosnka.

O mój aniele, pójdziem połączeni  
Przez świat i życie, rozkosz i boleści,

Jak powój, co się na dębie zieleni,  
 I miękkim listkiem korę jego pieści,  
 Jak duże łzy oczu, dwa piersi westchnienia  
 Razem, — do życia i świata skończenia,  
 Ty zawsze zemną, ja zawsze przy tobie,  
 Na świecie, w niebie i w grobie!! —

— Ach! i ty tu Guciu! przerwała Marynia,  
 płonąc trochę, i otrząsając z rosy bukiet, który  
 składała.

— Tak, to ja! odpowiedział Gustaw smutnie.

— Cożeś tu robił?

— Nic, — myślałem.

— Myślałeś? I dla tego jesteś smutny, że my-  
 ślisz zawsze. Powiedz mi, czy myśl twoja  
 włada przyszłością, czy odmieni życie i losy? —

Wszak nie? — wszak ci tylko smutki i prze-  
 czucia przynosi, na cóż myśleć? — A ja nigdy  
 nie myślę!

— Ja więc muszę, — za nas dwoje. —

— Bardzo dziękuję! — lepiej daj temu po-  
 kój. — Czy myślisz, że to dla mnie wesoło,  
 gdzie cię spotykam, zawsze chmurne widzieć  
 czoło, zawsze boleści? — I czego? powiedz,  
 proszę cię, bardzo proszę, czego ty się smucisz?

I zbliżyła się do niego, podskakując z bu-  
 kietem. —

— Powiedz mi? W tém masz coś tajemnego,  
 a między nami, żadnych być tajemnic nie po-  
 winno? wszak prawda? —



— Powiedzieć ci tego nie mogę, — bo nie wiem.

— Żartujesz sobie ze mnie? to nie ładnie, panie Gustawie, to wcale nie ładnie! Ja się będę gniewać. — Ja każę.

A potem dodała jeszcze, patrząc na bukiet. —

— Ja proszę, pięknie proszę, — bardzo proszę! — Bo przyznam ci się, że tego zupełnie nie rozumiem, dla mnie to tak wszystko wesoło. — Słońce świeci, kwiatki kwitną i pachną, latają motyle, słowik śpiewa, świat taki śliczny, taki zabawny, taki dobry, tyle szczęścia przedemną. — A ty, — powiedzże czego się smucisz?

— Bo kocham ciebie!

— A! to śliczna przyczyna, — prawdziwie warta gniewu, kiedy ja ci mówię, że cię kocham, kiedy sobie roję przyszłość wesołą, — to ty zapewne widzisz w mojej miłości same smutki, — więc bądź zdrow!

I niby rozniewana, chciała odchodzić. — Gustaw ją za rękę zatrzymał i z pałającą twarzą, bijącym sercem, pociągnął ją ku sobie. —

— Maryniu moja! aniele drogi! — gdyby też nie ty, zdaje mi się, że moje życie byłoby tak smutne, ach tak smutne! że od niego serce by pęknąć musiało.

— Marynia zaczerwieniła się, usta i oczy jej zadrzały, zbliżyła się do niego, ale tę wesołość i trzpiotowatość twarzy, oczu i mowy, zbliżenie

po niego zabiło, — spojrzała, nachyliła się, westchnęła i zamilkła. — Gustaw objął ją rękoma, przytulił twarz do jej twarzy i w gorącym uścisku, zamknął oczy i zawołał.

Chciałbym tak umierać!

— A ja bym tak żyć chciała, odpowiedziała Marynia.

I usta ich dziecięce złączyły się pocałunkiem, który jak iskra galwaniczna rozlał strumień ognia po wszystkich nerwach, uderzył w głowę i głowę zapalił, uderzył w piersi i piersi płonęły i serce gorzało. — A w ów czas słońce, wieczór, świat, smutki, wszystko znikło. — I nie było bzów kwitnących i śpiewającego słowika, — i nic, tylko dwoje ust i niebo nad nimi, — bo całe ich życie do ust się zbiegło!

Była to chwila apoteozy, z której śmieją się starzy, w którą niby nie wierzą kobiety, z której młodzi między sobą żartują, która musi być tylko jedna w życiu, bez świadka, — początku i końca, jak kwiatek wieczności wmięczany do życia; — która jest brylantem całej młodości człowieka, po której serce nie umie zrobić życzenia, bo odnowić ją, nie podobna. — Potém jeszcze czasem ją wskrzesi przypomnienie, przyniesie sen z młodości światów, ale nikt już nie położy na usta splamione, tego pierwszego pocałunku, w którym człowiek zrywa pierwszy krok rozkoszy ziemi i przeczuwa niebo.



I Gustaw téż, kiedy jeszcze oboje drżeli, kiedy Marynia bukiet z ziemi podniosła, kiedy wejrzenie jój pełne ognia zlało się, żegnając z jego wilgotnym wzrokiem, powiedział sobie:

— Tak być musi w niebie!

A Marynia odchodząc i ściskając go za rękę, powiedziała mu jeszcze: —

— Nie bądźże smutny! proszę cię!

Potém pobiegła ulicą, narwała jeszcze więcej kwiatków, i w oddaleniu znowu głos jój słyszać było. —

O mój aniele pojdziem połączeni,  
Przez świat ten zimny, przez życie bez celu,  
Przez burze lata i wichry jesieni,  
Razem, méj duszy luby przyjacielu!

— A, panna Maryanna, — odezwał się w oddaleniu pan Werner, którego głos spadał na serce Gustawa, jak czarna plama atramentu, na suknię balową; — panna Maryanna zostawiła krosienka pod oknem w sali, porozrzucone wszystko, nieporządek taki, nastrzyżono, naśniecono, nawalano. —

Gustaw, który tych słów z inszego świata nie rozumiał, na sam dźwięk grzechotliwy głosu przerywanego kaszlem, uciekł daleko. —

A słońce zachodziło, kąpiąc się w różaném morzu i słowik śpiewał, a wiatr chłodny wiał myśli wieczorne, sen słodki i dumania niosąc z sobą. — Gustaw stanął zamyślony. — Szelest

go jakiś obudził, — Stał, słuchał, i słyszał głos Franciszka czysty i wesoły.

— Już teraz nie ucieczesz mi, Ludwisiu, bo cię trzymam, trzymam z całej siły.

Ludwisia była to służąca.

— Puść że mnie, puść, odezwiała się dziewczyna; słyszę głos pański, — ktoś idzie — da-libóg! proszę pana, nie swywoł pan, panie Franciszku, ja pani powiem, będę krzyczała, doprawdy będę krzyczała.

— Moja Ludwisiu! — tylko cię raz pocałuję, cóż ci to szkodzi? —

I słyhać było wyraźne pocałowanie nie raz, ale dziesięć razy powtórzone, i Ludwisia umilkła.

— Aj! krzyknął Franciszek.

— Cóż to jest? zapytała Ludwika. —

— Ukłułem się tą szpilką przekłętą! Zawsze bo musisz nosić szpilki na piersiach, niemożna się dotknąć ciebie, żeby się nie pokaleczyć.

Ludwika śmiała się do rozpuku, ale nie uciekała, choć Franciszek już jęj nie trzymał, tylko ze smutną miną stał i krew z palca wysysał.

— Czy jeszcze pana boli? zapytała śmiejąc się. Otóż to Pan Bóg skarał, nie trzeba takich rzeczy robić! —

— Jeszcze sobie ze mnie żartujesz? — o! tego to nie daruję, zawołał Franciszek i porwał się do niej. Ludwika krzyknęła, ale bardzo pocichu i znowu były pocałunki i ściskania, a Gustaw zdumiony tą osobliwszą miłością, któ-



rój zrozumieć nie mógł, miłością, którą widział, tak zimną, tak wesołą, tak łatwą i płochą, stał smutny i powoli ochłodził z tego zapалу, który wrzał jeszcze w jego sercu od chwili pocałunku.

Wtém krok czyjś poważny, pewny, krok stary, mierzony, któren już kilka dziesiątków lat przedreptał po świecie, — dał się słyszyć opodał trochę.

Franciszek jak strzała puścił się w przeciwną stronę, panna Ludwika w drugą; ale uciekając, wpadła na Gustawa i zarumieniwszy się, krzyknęła, a nim miała czas uciekać dalej, fryzowana peruka pana Wenera, pokazała się o dwa kroki. —

— Ślicznie! bardzo ślicznie! krzyknął natychmiast. — Jak uważam, pan Gustaw nie próżnuje i Ludwisia także. — Ślicznie! mospa nie! to trochę zawczesnie! Dla tego to te przechadzki wieczorne się odbywają. — Idź mościa panno, zbierz swoje rzeczy i wynoś się z mego domu! dodał trzęsącym się od gniewu głosem.

— Ale ja, — proszę pana dobrodzieja, odpowiedziała służąca, chodziłam po ogrodzie i na Pana Boga panu przysięgam, że tylko co trafiłam na pana Gustawa, aniśmy dwóch słów nie powiedzieli. — Cóż to za podejrzenie?

— Dość tego, dość tego! powiedziałem, i dość! zawołał pan Wener, trzęsąc czerwoną peruką i stukając kijem. — Idź precz! —

Ludwika dumnie odeszła. Gustaw z miejsca się nie ruszył.

— A wasan do swojej stancyi! marsz! jutro pójdziesz do Wilna, dłużej nie masz tu co robić w domu moim, rozpustniku, próżniaku. Czemu nie patrzysz na Franciszka, czemu go nie naśladujesz? czy pokazało się po nim kiedy co podobnego?

To mówiąc i prowadząc za sobą do domu Gustawa, szedł pan Werner do pokoju, w którym już zdaleka przez drzwi szklane widać było zapalone świece. — Gustaw zboczył i pobiegł niespokojny do swojej izdebki. —

Pan Werner wszedł do salonu, trzasnął drzwiami, rzucił kapelusz i laskę. Żona jego i córka poznały od razu że był w złym humorze, podniosły oczy od roboty i Marynia odezwała się.

— Czy Papa każe sobie czytać?

— Niechcę, — odpowiedział spluwając. —

— Gdzieżeś był? zapytała go żona.

— W ogrodzie! Śliczną tam rzecz widziałem! właśnie Gustaw miał tam w krzakach konwersacyą z panną Ludwiką! Kazałem się jęj wynosić. —

Marynia na wspomnienie Gustawa zaczerwieniła się, robota jęj zadrzała w rękę, spuściła głowę i zaczęła szyć co najprędzej; ale gdy ojciec dokończył, — krew uderzyła jęj do głowy! Niewierzyła uszom swoim. — Gustaw, ten Gustaw, którego usta czuła jeszcze na palących



wargach swoich, miałby podobny pocałunek dać drugiej kobiecie, służącej? tego niepojmowała, nie chciała wierzyć, a zmuszona uwierzyć, mimowolnie zapłakała nad robotą.

— To chłopiec zupełnie zepsuty! odezwał się Pan Werner, próżniak, nigdy nic z niego nie będzie.

— Może w tém jest jaka omyłka, odważyła się przebąknąć pani Werner.

— Moja pani, to nie jest omyłka! moje oczy się nigdy nie mylą, wybuchnął stary stukając nogą, — moje oczy się nie mylą! wiedziałem oddawna, że był zepsuty, — będzie to rozpustnik! — Niemogę go tu dłużej trzymać, bo by mi popsuł Franciszka. — Czemu się to po Franciszku nie pokaże? —

Matka kiwnęła głową. —

— I ten nie lepszy. —

— Nie w łaskach u Pani! zawołał Werner, tak! aleć jego zabawki, psy, konie, myślistwo, nie są zgorszeniem i grzechem, — a on nigdy chwili niespróźnie. Franuś będzie człowiek, zna się na gospodarstwie, pomaga mi; temu raz tylko dałem rejestra, to diabli wiedzą, co porobił. — Zawsze próżniak, smutny, chorowity, nudny i zepsuty! o! zepsuty! Próżny tylko z niego ciężar w domu. — Ludwice proszę ob rachować, co się należy, i precz! —

Pani Werner i córka wyszły z salonu. —

III.

JAKO NIE ZAWSZE WINNY PO-  
KUTUJE.

Falsz ma na uściech, choć prawdę na czole.  
*Kochanowski. Fraszki Ks. III.*

Gustaw płacząc wbiegł do swego pokoju i rzu-  
cił się na łóżko. Franciszek koło stołu z naj-  
zimniejszą krwią czyścił fuzyą, nucąc przez  
klak, który w zębach trzymał, bardzo wesołą  
piosnkę.

— Cóż to jest? chory jesteś Gustawie? zapytał,  
Gustaw nic nie odpowiedział, ale myślą przy-  
szły swój wyjazd objawszy, pierwsze oddalenie  
od Maryni, od miejsca, gdzie się wychował,  
wpadł w rozpacz okropną, i rzucać się zaczął  
po łóżku.

— Cóż to jest? czy cię pies wściekły poką-  
sał? zapytał znowu Franciszek.

— Co mi jest? krzyknął Gustaw, porywając  
się — co mi jest? z twojej przyczyny wypę-  
dzają mnie z domu.

— Z mojej? za pozwoleniem, a to coś oso-  
bliwszego? rzekł śmiejąc się Franciszek.

— Tak, śmiej się, — twoja przeklęta Lu-  
dwika uciekała, wpadła na mnie, nadszedł wuj.



znalazł nas razem, ją odprawia, a mnie wypędza! —

— A na cóż się było z nią schodzić? fe! to bardzo brzydko Gustawie. —

— Powiedz to sobie, nie mnie, przeklęty! zawołał chłopiec w gniewie. — Nie! nie, — z tego nic nie będzie! niech winny pokutuje, niech się jęj zapytają, na co ja mam cierpieć za ciebie.

— Za mnie? mruczał Franciszek, stawiając fuzyą, a cóż ja zrobiłem?

— Nie ty żeś to sprowadził w krzaki Ludwikę?

— Ja? to osobliwsza napaść, rzekł Franciszek zimno, proszę cię bardzo, przynajmniej swoich głupstw na mnie nie składaj! —

— I śmiesz kłamać tak bezczelnie?

— Nie ja, — to chyba ty. —

— Ja kłamać! ja kłamać! krzyknął Gustaw, i śmiesz to mówić, — spojrzij mi w oczy, spojrzij, jeżeli będziesz mógł.

— Jesteś warjat, odpowiedział Franciszek — a w duchu pomyślał: — do licha! otóż i po Ludwice; potem wziął czapkę i powoli wyszedł z pokoju.

IV.

W POKOJU LUDWIKI.

— złe szczęście spotkało. —

*Kochanowski, K. I. Pieśń XII.*

**A** Ludwika płakała, robiąc zawiniątko w swoim pokoiku; żal jej było służby, a może czego więcej jeszcze. —

Drzwi się otworzyły; weszła pani Werner.

— Cożś to znowu zrobiła, Ludwiko?

— Ja! nic pani, — odpowiedziała spłakana dziewczyna. Bóg mi świadkiem, że dwóch słów nie przemówiłam do pana Gustawa, tylko cośmy się spotkali, i to dalibóg niewiem, jakim przypadkiem. — Ale pana nigdy przekonać nie można.

— Cóż robić moja kochana, ja wierzę, że ty jesteś niewinna, chciałabym cię zatrzymać, ale znasz pana.

— Taki wstyd! zawołała Ludwika, cóż to ludzie powiedzą? — niesprawiedliwie zgubić dziewczynę biedną! Cóż powie mój narzeczony? Całe moje życie pocziwe przepadło, i za cóż ja pokutuję? żeby choć było za co! dodała szlochając.

Wtém drzwi się otworzyły i głowa Franciszka pokazała się z nich, a potem cofnęła prędko.



— Czego tu chcesz, zapytała się matka.

— Szukałem mamy, odpowiedział śmiało.

— Czego chcesz?

— Nic, nic, to ja potem powiem! I uciekł filut, czekając pod schodami, aż matka nie wyjdzie. Zaledwie za nią drzwi się zamknęły, wpadł do Ludwika.

— Co to jest, Ludwisiu?

— Co to jest? pan się jeszcze pytasz! odezwiała się, płacząc ciągle dziewczyna. Pan mnie zgubiłeś, — z pańskiej przyczyny stracę sławę, miejsce. — Mój narzeczony się dowie! O Boże, mój Boże, po cóż ja tam chodziłam, do tego przekłętego ogrodu!

— I dajże pokój! — nie płacz, a słuchaj lepiej Ludwisiu, — ja cię bardzo — kocham. —

— Wolałabym nie znać i nie wiedzieć o tém kochaniu. —

— Ja będę mieszkał niezadługo osobno, — papa da mi majątek — ja cię wezmę. —

— Idźże pan sobie do licha! krzyknęła dziewczyna, ja pańskiego kochania i pańskich łask i niczego nie potrzebuję, szukaj pan sobie kogo innego! Idź pan sobie do licha, idźże pan sobie!

Franciszek zaczął świstać, rozśmiał się i poszedł —

— Kiedy tak, — to bądź mi zdrowa! rzekł we drzwiach trochę zły. —

— Idź na złamanie szyi! — dodała ocierając z łez oczy Ludwika i zrobiwszy zawiniątko usiadła w kącie płakać jeszcze. —

Na schodach zastukały bóty, ale ona nie słyszała, drzwi się oworzyły, nie widziała, — wszedł P. Werner, — nie postrzegła, bo ciągle płakała gorzko biedna dziewczyna. —

Z uśmiechem gniewnym na sinych ustach, trzęsząc głową i peruką, plując koło siebie, stary odezwał się do niej.

— A co? już zawiniątko gotowe?

Ona jakby się obudziła, wstała i płacząc oparła się o stół.

— Oto reszta pensyi, rzekł rzucając na stół trzy ruble; — płacę do grosza!

— Ale mojej krzywdy pan mi nie zapłacisz, odpowiedziała łkając Ludwika. — Ja niewinnie tracę moję sławę! Coż ludzie powiedzą? gdzie mnie przyjmą?

— Trzeba było mnie słuchać, — a głupstwa nie robić, rzekł stary po cichu.

— Piękne były pańskie rady! — odpowiedziała śmiało Ludwika.

— Nikt by o tém niewiedział i wszystko by dobrze było, dodał ciszej jeszcze; ale podobał się ten błazen Gustawek. — Jest komu świat gubić!

— Wcale pan fałszywie sądzisz, bo ani on do mnie, ani ja do niego, słowa nigdy nie powiedziałam; ja to przysięgnę, jeśli pan chcesz.

— Na co się to zdało? Chcesz zostać? — dobrze, powiedziałem ci dawniej warunki.



Ludwika spojrzała z pogardą na pana Wenera i porwała swoje zawiniątko, nie mówiąc już ani słowa; — stary pomiarkował odpowiedź, zatrząsł się i wyszedł.

I znowu otworzyły się drzwi; — znowu ktoś wbiegł do pokoju Ludwiki. — Otworzyła oczy to był narzeczony, Kasperek, — młody chłopiec blondyn, przystojny, rumiany, żwawy, wąsaty, na rękę miał serwetę, a talerz pod ręką. Dowiedziawszy się, że odprawiają Ludwikę, nadbiegł co tchu z kredensu,

— Cóż to jest? zawołał, — panna się wybiera?

— Widzisz, wypędzają mnie.

— A tóż co? za co?

— Za tego przekłętego pana Franciszka, złapał mnie w ogrodzie. —

— Acha! rzekł Kasperek, marszcząc czoło i kiwając głową, — to tak! i chciał wychodzić.

— Posłuchajże przynajmniej, zawołała Ludwika w rozpacz, rzucając się przed niego. — Czy i ty już na mnie? — Jak posłyszał chód pański, puścił mię i uciekł, a ja poszłam w drugą stronę i spotkałam się z Gustawem, — Pan nadszedł i znalazł nas. —

— O! i Gustaw, to ptaszek! rzekł Kasper, widziałem ja piękne rzeczy. —

— Ale tak mnie Panie Boże skarż i N. Panna Częstochowska, jeśli co winna!

Kasper poskrobał się w głowę. —

- Ja Wać pannę bardzo kocham, — ale —  
 — Niewierzysz mi? zapytała Ludwika.  
 — Widzisz Wacpanna, to tak, — co oko  
 widzi, to serce wierzy. — A tak, — djabli  
 wiedzą, już to z kobietami! — I znowu, po-  
 skrobał się w głowę. Ludwika zamilkła, zmar-  
 szczyła brwi i tąpnęła nogą. Kasper chodził po  
 izbie i ruszał ramionami.  
 — Ślicznie to będzie, jak wezmą na języki. —  
 — Idź precz! krzyknęła Ludwika. —  
 — To proszę i oddać pierścione, — dodał. —  
 Dziewczyna rzuciła mu pod nogi pierścione  
 i zaczęła płakać rzewnie. On włożył go do  
 kieszeni i chwycił za klamkę. —  
 — To bywajże Asanna zdrowa, odezwał  
 się, adie! — I poszedł.

## V.

## ON NIE WINIEN.

Lecz jako na błędnym morzu, nie tam gdzie chcemy,  
 Ale gdzie nas wiatry niosą, płynąć musimy.

*Kochanowski. Ks. I. Pieśń VII.*

**B**iedna Marynia! ona poszła płakać do swoje-  
 go pokoju i serce jój biło, bardzo ściśnięte; po  
 takiej rozkoszy, taki smutek! Człowiek ze  
 szczęścia w boleść nagle rzucony, jak naczenie



z zimnej do gorącej wody, pękać musi, lub cierpieć mocno. — Ona strasznie cierpiała.

W oknie swego cichego pokoiku, przez które świecił księżyc, z tym samym bukietem w ręku, co był pośrednikiem pocałunku Gustawa, stała, patrzyła na niebo i płakała biedna. A słowik śpiewał, a Franciszek świstał, a pan Werner burczał pod nosem, a Ludwika pokutowała za wszystkich. —

Nagle pomyślała Marynia. —

— To być nie może! to być nie może! —

I porwała chustkę na szyję i pobiegła do pokoju Gustawa. Gustaw leżał i płakał.

— Ślicznie! Gustawie, zawołała we drzwiach jeszcze, — także to twoje kochanie?

— To ty! krzyknął, porywając się chłopiec i klękając przed nią. —

Czy i ty wierzysz temu? — I płaczem przerywanemi słowy, opowiedział jej rzecz całą. Marynia stała nieporuszona. —

— O! ten Franciszek! trzpiot przeklęty, odezwiała się pocichu. Papa go pieści, to temu pewno nie uwierzy, — ale ja przynajmniej będę spokojna, — bo ty mnie tylko kochasz, o mnie tylko myślisz, — wszak prawda Gustawie, wszak prawda? wszak zawsze będziesz mnie kochał i nikogo innego?

— O mój aniele, możnaż wątpić o tém? Ale ja jutro jadę, ty mnie zapomnisz. — Jadę, może na długo, może na zawsze, może gdzie umrę!

— Nie mów mi tego! z płaczem przerwała, zatulając mu usta Marynia, — ty wrócisz, ja będę czekała na ciebie, ja nikogo kochać nie będę, ja bym i teraz poszła z tobą, mój drogi!

— Dokąd? — kiedy nie mam domu, ani kąta? zapytał sierota. I oboje płakali rzewnie, płakali długo, a lzy ich były słodkie, bo się mieszały razem na palających twarzach. —

Potem ścisnęli się i Marynia szepnęła mu. — Jutro rano, — o wschodzie słońca, — w ogrodzie!

## VI.

### PRZYJACIELE. SIEROTY. POZEGNANIE.

— zesła noc, a potem,

Świat się rozświecił wszystkim słońcem złotem.

*Kochanowski. Szachy.*

**R**anek był piękny, ale smutny jak wszystkie pożegnania, bo wesołość otaczającego świata, jest, jak biały sznurek na żałobie, na to tylko żeby jej czarność odbijała się lepiej. —

Słońce wstało jak zawsze, jak zawsze śpiewały ptaki, kwiaty jak zawsze piły brylantową rosę i bociany klekotały wesoło na wysokich olszach, i wszystko było jak zawsze, wszystko, prócz Gustawa.



On wstał bardzo rano i nim słońce weszło, modlił się u łóżka, sierota — patrząc z daleka na ten świat, na któren go samego, jednego popychano, w którym nieznał nikogo, prócz kwiatków i Boga. — Ci przyjaciele, znajomi, krewni sieroty, o jakże mu często wystarczają! Bóg i wieczność rozmawiają z niemi wszędzie, — a kiedy serce rozdarte ukryje się w pusty kątek od oczu i mowy świata, tam jeszcze znajdzie tych samych wiecznych przyjaciół. Kwiatki, kamienie, gwiazdy, pierwsi znajomi sieroty, idą z nim także wszędzie, można je powitać w drugim końcu świata. Tyś świeciła pierwszój miłości mojej! tyś był w wianku mojej kochanki; ciebie zerwałem do jej bukietu, tyś kwitł na jej oknie, tyś uwiadł w naszym uścisku! — I to są przyjaciele i krewni i sieroty, najbliżsi krewni, bo ci których ma na ziemi, kochają go, jeśli bogaty, dla pieniędzy, jeśli ubogi dla oczu świata, trzymają go póki im jest potrzebny, i odpychają, gdy im usłużyć nie może. Szczęśliwy, kto odepchniony pamiętał o pierwszych przyjaciółach swoich: — o Bogu i o kwiatach. —

Po modlitwie zszedł Gustaw do ogrodu, — jeszcze wszystko było wilgotne, jak jego oczy, serce jak myśli jego, nad wodami buchała para, na niebie chodziły chmury białe i słowik sam jeden, słowik poeta, śpiewał kochance swoją pieśń tak czułą, a tak dla nas nie zrozumiałą.

I cicho było, jakby wszystko umilkło przed pożegnaniem, — cicho, — wszystko, prócz śpiewaka.

Poszedł Gustaw i usiadł na ławce pod kasztanem, tam gdzie wczora, usiadł smutny i wspomniawszy, że może długo, może nigdy już tu siedzieć nie będzie, zakrył oczy i spuścił głowę. —

— Dzień dobry! odezwała się Marynia.

— Ach! dzień dobry i bądź zdrowa! rzekł Gustaw, porywając się, żegnajmy się dzisiaj! Wczoraj czyżeśmy się tego spodziewali? —

— Umilkli i zbliżyli się do siebie, ręce ich zeszyły się jak wczora i usta jak wczora, a dusze już słabiej. — Smutek je rozdzielał i chłodny ranek z wschodzącym słońcem, przyniósł ten wstyd niepojęty, którego wieczór zciera, a noc zrywa: ich pocałowanie było zimne jak rosa poranna i czyste jak rosa niebieska.

— Przyniosłam ci pożegnanie i pamiątki, odezwała się Marynia, — naprzód ten pierścionek, — nie kładź go jednak, póki tu jesteś. —

— Zawieszę go na piersiach, — odpowiedział Gustaw.

— Powiem, że go zgubiła, — dodała pocichu Marynia.

— Weź jeszcze i tę wstążkę różową Gustawie, włosów ci nie dają, bo mówią, słyszałam, że to nie dobrze, — że to bardzo zły znak. —



A ja cóż ci dam, zawołał Gustaw, ja nic nie mam, ani nawet pierścionka, którym bym się mógł z tobą przed Bogiem zaręczyć. —

Potém jakby sobie co przypomniał, zerwał z ręki obrączkę ślubną i dał jęj. —

— Jest to obrączka mojęj matki, jedyny skarb, ale dla ciebie Maryniu. —

— Będę ją nosiła, nigdy jęj nie zgubię, będę w wieczór i z rana modliła się za ciebie i płakała, patrząc na nią. — Patrz, słońce wschodzi, — wysłucha naszjęj przysięgi. —

Uścisnęli się i patrząc na słońce różowe jeszcze, słuchając słowika, w trzecim pocałunku swojego życia, — przysięgli. — — Dzieci!!

## VII.

# I JESZCZE POZEGNANIA I JESZCZE MODLITWY.

Samem swą własną ręką, tę winnicę grodził,  
Aby jęj był ani zwierz, ani zły ptak szkodził,

Polewałem, żeby jęj słońce nie suszyło,

Nakrywałem, żeby jęj zimno nie mroziło;

A kiedy mnie najlepsze miały potkać gody,

Nie wiem co za zły człowiek oberwał jagody?

*Kochanowski. Ks. I. Pieśń XII.*

Gdy mu z oczu zniknął dom, od którego się jeszcze nigdy nie oddalał Gustaw, nie mogąc

się obejrzeć, bo tylko górę piaszczystą widział za sobą, smutny zapłakał jeszcze, bo umiał płakać. I mogiłę rodziców i kochankę i miejsce, do którego serce jego dziecinne przyrosło, wszystko porzucał, — a do niczego nie dążył, nikt go nie czekał i jedno serce, które go kochało, zostało już za nim daleko! —

Przypomniawszy sobie Boga i modlił się z ufnością dziecinną, żeby kiedy jeszcze powrócić w tę stronę. Nie chciał i nie mógł nawet myśleć, że nigdy tu już nie będzie, bo nigdy jest to najstraszniejszy wyraz i myśl pod słońcem, której by potężnego znaczenia objąć nie mogło serce i oko młodej duszy. Trzeba zdaleka porzucić za sobą życie i stanąć wysoko, żeby ten straszny i wielki obraz w całości pojąć. — Nigdy, jest to gorzej niż śmierć, bo za śmiercią jest jeszcze ewangeliczne: do zobaczenia, — za tym strasznym wyrazem: nigdy, niema nic, nic, tylko ciemność wielka bez końca.

O ziemio! na której tyle zostawim pamiątek umierając, o ziemio, piękna matko nasza, — kiedy się zegnamy z przyjaciółmi, mamy nadzieję zobaczyć ich wyżej, w niebie; ale miejsc drogich, twoich ulic lipowych, domków maleńkich, rzek i strumieni, twojej wiosny tak młodej zawsze, twego lata, twojej jesieni, wszystkich pamiątek, które życie nasze rozsiało po tobie, nigdy, ach, nigdy nie zobaczymy! Gdzież będzie słowik, gdzie będą kwiaty, gdzie będą rozko-



szne poranki, smutne wieczory, gdzie będą wszystkie niewinne zabawy nasze, rozkosze? — Będzież niebo tak wielkie, tak wesołe, żebyśmy dla niego tych starych przyjaciół zapomnieli, będzież tam Leta zapomnienia przed bramą raju? — O! zapewne, — lecz umierając, kiedy jeszcze sami jesteśmy częstką ziemi, jak smutno wierząc nawet w niebo, porzucić to wszystko!

Żeby nie płakać po ziemi, trzeba ją porzucać w zimie, kiedy smutna, blada, śniegiem osuta, wilgocią przesiąknięta, okryta niebem chmurnym, owiana wiatrem zimnym, zaludniona wronami i krukami, zdaje się być umarłą, trzeba ją porzucać, płacząc na niewdzięczność ludzi, na krzywdy swoje, na zranione serce, trzeba ją porzucać umarłą już dla nas, a w ów czas nie żał jej będzie.

Gustaw nie tak odjeżdżał jedynego lubego i znajomego mu miejsca na ziemi, zostawił tam wszystko i wspomnienia i kochankę i wiosnę tak młodą, świeżą i piękną.

Nie wiele ujechawszy, ujrzał przed sobą wieś i kościółek jej mały z krzyżykiem drewnianym, z starym parkanem, z mogiłami, które przytulił do siebie, otoczony lipami i ludem, który czekając nabożeństwa, posiadawszy na grobach, gwarzył wesoło.

Z głębi otwartego kościółka błyskała lampa, śpiew smutny, powolny, dolatywał uszu, — stanął. Mógłże lepiej zacząć podróż swoją po

świecie, jak od modliwy? — Poszedł i na spru-  
chniały deskach przed ołtarzem wielkim,  
obwieszonym wiechami, lnem i płótnem, mo-  
dlił się, płakał i dawało mu się, że w obrazie  
Najświętszej Panny, której przywykł czcić od  
dzieciństwa, widział łzę błyszczącą, nad jego  
losami i smutkiem wylaną. —

A wtem sypnał się lud i otoczył go, — za-  
dzwoniły dzwony i dzwonki, zadymiały kadzi-  
dła, nasyły się śpiewy, ksiądz wszedł i nabo-  
żeństwo się zaczęło. —

Długo tak modlił się Gustaw i myślał, aż  
nareście wąsaty woźnica, powierzwszy komuś  
konie, przyszedł go obudzić z tych religijnych  
dumań.

— Czy będziem tu popasać? zapytał pocichu,  
— bo i ja głodny i konie głodne stoją od go-  
dziny?

Gustaw obrócił się i niezrozumiał. — On  
myślał o niebie, a ten człowiek przyszedł mu  
rozbić jego poetyczno-religijne dumanie, suchem  
wspomnieniem o sobie i koniach! — Wstał je-  
dnak biedny poeta i milcząc, pojechał dalej.

Nieprawdaż, że człowiek wielkich myśli, któ-  
ry się musi do małego życia dwunożnych zwie-  
rząt stósować, wygląda jak droga perła, przy-  
szyta zamiast guzika, do sukmany wieśniaka?



# VIII

## ON I CNI.

Przeto jakem powiedział mądrze to Bóg sprawił,  
 Kiedy ludzi różnemi prawami zabawił.  
 Ten stworzywszy część ludzi chciwych na pieniądze,  
 Mnie, za co mu dziękuję, stworzył bez téj żądze.  
*Kochanów.* Marszałek.

**A** jadąc dalej, myślał Gustaw.

Czemuż nie jestem jak inni ludzie, których myśl toczy się w ciasnej sferze ziemskich wyobrażeń, którzy nie umieją płakać, śmieją się z cierpień serca i wierzą tylko w cierpienia głodu, zimna kalectwa; bo te tylko czuć potrafią.

Tamci wśród przypadkowych łez nawet, które się nie sercu, lecz oczom ich wyrrywają, myślą jeszcze o obiedzie i łóżku. Niebo dla nich jest tylko przedłużeniem ziemi, wyobrażają sobie, że tam kiedyś będą; lecz nigdy o niém nie dumają i nie mówią, bo pojąć go nie umieją. Oni to powiadają, że cnotą jest, nic złego nie robić, że cnotliwym być można bez poświęcenia, bez ofiary, wygodnie, w ciepłym pokoju, gdy ubodzy i biedni dzwonią zębami z głodu, zimna, upokorzenia i pogardy; oni to powiadają, że cnota nie zależy na tém, aby dobrze czynić, lecz tylko, żeby nic złego nie robić. Kamienie!

— Tacy ludzie prawie nigdy się nie żenią, bo w żonie widzą wiele kłopotów, a najmniejsza ofiara z siebie, głupstwem się u nich nazywa. Jeśli się żenią, narzekają całe życie na ożenienie i żonę swoją i dzieci biedne robią niewolnikami swemi, nie zostawiają im ani woli, ani rozumu, ani nic własnego, miotają niemi wedle swoich widoków z uśmiechem, męcząc według upodobania dla rozrywki, uważając je za stworzenia podległe sobie, dla których nigdy nie przyjdzie chwila emancypacyi. Dzieci ich i żona, nigdy nie mają swego zdania i woli, — rozum tych egoistów, żydowski, pieniężny, kręci się koło dukata, jak wilk koło dołu, w którym gęś siedzi; — wszyscy muszą wlec się za nimi, serce ich zimne, ma służyć całemu podległemu im rodziennemu światu, za prawidło postępowania, za wzór uczuć, ich szczęście musi służyć wszystkim, co od nich zależy, gniewają się jeżeli komu zamało ich ciepłego samolubnego szczęścia. O! biada żonie i dzieciom! życie ich upływa w niewoli umysłu i ciała, a ten człowiek nie pojmuje nawet ofiar czynionych dla siebie, bierze je za obowiązek, cierpień nie rozumie, i śmieje się, siedząc u komina, jeżeli te biedne ofiary poskarżą się, że cierpią.

Ja nie jestem jak ci ludzie, mówił do siebie Gustaw, ja siebie uważam sługą moich braci, stworzonym dla nich, więcej niż dla siebie, moje życie, moje serce, wszystko bym im oddał.



i chciał bym tylko w nagrodę, widzieć ich oczy wlepione w to niebo, ich serce przejęte anielską miłością dla wszystkich, ich dłonie połączone w pokój, wieczną wiosnę nad niemi, wiosnę ziemi, wiosnę serca, wiosnę rozumu, bo zimy straszne są wszystkie, a najstraszniejsza zima serca, zima głowy, która czyni z człowieka szkielet suchy, zbierający w siebie promienie całego świata, żyjący jedną tylko myślą, jednem słowem: Ja! Szacunek na który się stara zasłużyć, pieniądz który zbiera, osoby które pociąga suchą a podłą, bo udaną miłością swoją, wszystko to zmierza do tego: — Ja!

Lecz insze są myśli moje i serce moje, mnie ziemia jest tylko przedsieniem nieba, gdy im jest drugim niebem, ja widzę się tu wędrownikiem, widzę pigmei w ich olbrzymach, w ich ważnych sprawach drobnostki dziecinne, w ich bojaźni i zabiegach, fraszki niedojrzane. Bo oni patrzą na ziemię z ziemi, a ja z nieba, na którym myśl moja żyje. Chrześcianie, oni wierzą w Chrystusa, dla tego, że nauczył pokory, dobroczynności, litości, miłości, które oni wszystkie odnoszą do siebie; ja wierzę w Chrystusa, żeby spełniać jego naukę, oni tylko, żeby z niej korzystać. — Dla nich, poezya, ta rajska muzyka duszy, która unosi wysoko i do reszty odrywa od świata, jest niepojętym szmerem, w którym cenią gładki tok i melodyą, lecz myśli nie rozumieją, zapалу nie czują. — Oni wie-

rzą w swoją duszę, bo ona obiecuje im życie na przyszłość; lecz za życia ziemskiego pętają ją w swoje rozkosze, zabijają ją w sobie, dręczą i starają się użyć nią wszystkich rozkoszy bydlęcia, dopominając się potem jeszcze życia, które obiecano aniołom. — Którzenie z nich był kiedy poeta? żaden, bo myśl ich błądzi tylko w koło siebie, jak nie jedwabnika; jeśli który przypadkiem usta otworzy, śpiew jego będzie tylko dla siebie, o swoich bólach, swoim losie, swoich rozkoszach, — tylko o sobie i swoich. Nigdy nie poleci on dalej, a myśli jego mętne, brudne, przesycone kałem, w którym ci wychowawcy trzody Epikura tarzają się, będą opiewać niebo nawet z ziemskimi rozkoszami, jak gdyby w niebie inna była rozkosz nad miłość dla wszystkich, i to zlanie się dusz, które miliony milionów ludzi połączy w jedną całość z Bogiem!

## IX.

### CZEM JEST MIASTO DLA POETY?

Wsi spokojna, wsi wesoła,  
Który głos twój chwale zdoła?

*Kochanowski. P. Ks. II. Sobotka XII.*

**I** kiedy wjeżdżał do Wilna Gustaw, jak mu się dziwnie wydało miasto, po wdzięcznej wsi,



tak poetycznej, tak spokojnej, tak naturalnej! Mimo woli przypominał sobie słowa angielskiego poety:

„Bóg stworzył wieś, człowiek zbudował miasto!“

Ten tłum ludzi zbliżonych do siebie, a obcych sobie bardziej niż gdziekolwiek indziej, mieszkających w domach ściśniętych bez innego widoku, prócz dachów czerwonych, zadymionego nieba, kawałka bruku i zielonej latarni, — tłum ludzi obojętny, samolubny, głuchy na wszystko, prócz swojej korzyści, — wydał się Gustawowi zupełnie innym światem, w tych wielkich murach, zimnych, pustych, widział groby, a miasto w jego oczach było smętarzem żyjących.

W kościołach nawet inny był Bóg, nie ten co na wsi, złoto, srebro, drogie kamienie, marmury, śmieszne były, chcąc zdobić miejsca, które wielkość jego czyni wyższymi nad wszystkie ozdoby. — Kapłani w purpurach, w złocie, nie wydali mu się sługami Boga, który był ubóstwa i pokory nauczycielem. Nabożeństwo przemawiające do oczu nie do serca, zimne i wystawne, nie zastąpiło dla niego cichych modłów kaplicy wiejskiej, gdzie lud pracowity, na przegniłych deskach przed drewnianym ołtarzem, ze łzami dziękuje, prosi, modli się do Boga!

A ludzie miejscy, którzy dla każdego mieli uśmiech, a dla nikogo pomocy, słodką grzeczność świata na ustach, a w sercu chłód i truciznę samolubstwa, choroby uporczywie do ich diatery przywiązanej, — ludzie miejscy potracający z pogardą ubogiego, kłaniający się możnym i bogatym, więcej niż kościołom, do których chodzili wdzięczyc się, nie modlić, jakże się prostemu, wieśniaczemu sercu Gustawa, zepsutymi wydawali!

A kobiety strojne, wdzięczne, zalotne, z uśmiechem na ustach, który w szyderstwo dla jednych, w przymilenie dla drugich na rozkaz się zmieniał, kobiety które nie umiały się zarumienić ani spuścić oczu, które nigdy nie miały młodości, bo nie znały wstydu, kobiety, których niewinność starła się dotknięciem świata, nim w sercu urodzić się mogła, — kobiety te jakże dalekie były od ideału przeczystych aniołów, które Gustaw marzył! —

I smutne było miasto dla poety, bo zawsze miasto jest stolicą i siedliskiem handlu na wszystko: gasną w niem wszystkie uczucia, a egoizm króluje, wszystko się sprzedaje, rozum, wdzięki, rozkosz, szacunek, zdrowie, wszystko, — zaczawszy od funta tabaki, a skończywszy na modłach pogrzebowych za dusze. —

— Ach! myślał Gustaw, ileż by to ci ludzie zyskali na wsi, tam, z tém świeżem powietrzem, z słodkimi wdziękami cichego przyrodzenia!



w większej samotności; mniej widząc siebie, więc by się kochali, tam czuliby Boga, którego tu nie widzą, bo głos jego pioranu głuży turkot karety bogacza. Jego cuda wysmiewa głupia cizba półmędrków. Jego wielkość niszczą drobnostkowe robótki ludzi, którzy się w oczach tłumu wielkimi wydają. Ci ludzie zawsze ściśnieni, zawsze obcierając się o siebie, przejmują swoje błędy, wysmiewają cnoty, nigdy nie mają chwili do zastanowienia, bo w ciągłym żyjąc odurzeniu, kręcą się bez myśli, jak nad wirem rzeki. — I te kobiety, tak świeże, młode, a tak blade, tak przekwitłe przed zakwitnięciem, które widziały tysiąc razy całą historią człowieka na poddaszu, na ulicy, nie wierzące w dwudziestym roku w nic, prócz pieniędzy, jakżeby odżyły pod wiejskiem niebem, gdzie wszystko oddycha czystą miłością, wiarą i nadzieją, których próżno szukać pod okopconym dachem kamienic. —

I mówią, myślał Gustaw, że młodzież może się przetrzeć na świecie, posłana do miasta. — Cóż to jest co oni tak nazywają? — nabranie śmiałości, a utrata wstydu, — jednym słowem zepsucie. Przetrzeć się na świecie, jest to utracić wiarę w uczucia wstydu i miłości, przekonać o koniecznej potrzebie samolubstwa i powrócić do domu, splamioném sercem i usty zwozić wieśniaków, szydzić z nich i oddać im

z procentem to, czém ich w mieście przywitano, szyderstwo i oszukaństwo. —

Kilka dni obeznania z młodzieżą, nauczyło Gustawa, że nie na długo przywożą i to nie wszyscy z domu, prostotę, szczerą pobożność i serce chrześcijańskie, wykształcone do familiinych uczuć, matczynemi rękoma. — Ujrzał on młodzież oszukującą się na wzajem, przepędzając życie na rokoszach, które tego nawet imienia nie były warte, trawiając dni drogie bez myśli, celu i zastanowienia.

Smutno ścisnęło się jego serce, kiedy ujrzał i posłyszał wysmiane te święte dotąd dla niego uczucia, szacunku i wdzięczności dla krewnych i rodziców, poświęcenia dla przyjaciół, religijnęj czci dla kobiet, poważenia dla siwych włosów; — kiedy posłyszał bluźnierstwa chwalone jak rozum, bezwstyd i zuchwalstwo zalecane jak umiejętność życia, kiedy pacierz jego odmówiony u łóżka na klęczkach ściągnął na niego długie śmiechy i pogardliwe wejrzenia. — Lecz szyderstwo i przykład tak silne pobudki zgorszenia, nie skutkowały na Gustawie.

Raz szedł on ulicą i myślał właśnie o tym świecie miejskim, tak różnym od cichego domu, w którym się wychował, od wiejskich ludzi, od tamtych kobiet, — wtém ujrzał przed sobą staruszkę idącą o kiju, siwą, drzącą, zgarbioną. Twarz jéj była blada, zmarszczona, oczy wpa-



dłe, ręce suche, podpierała się parasolikiem powleczoneym kawałkiem białozółtego perkalu, strój jej pokazywał ubóstwo niedawne jeszcze, bo składał się ze szczątków dostatków, saknię miała starą, wytartą, ale atlasową, chustkę gęsto cerowaną, ale tyftykową przed laty. — Tłum mijał obojętnie staruszkę, nie jeden ją potrącał, nie jeden rzucił jej, przechodząc, przykre słowo lub przykrzejsze wejrzenie, tylko Gustaw rozczulony, spoglądał na tę ruinę wieku i dostatków, smutną, samą, opuszczoną, wśród wesołych i bogatych.

Ona szła, nikogo nie widząc, powoli, dźwigała ogromną księgę z której wyglądały okulary i kończyła modlitwy, tę rozmowę duszy z jedynym przyjacielem opuszczonego, z Bogiem.

Nagle za niemi krzykliwy głos kuczera oznajmił poszóstną karetę jakiegoś bankruta, który żył jeszcze jak pijawka, krwią i łzami kilkudziesiąt familii — powóz leciał, kuczer wrzeszczał, wszyscy się ustąpili co prędzej, — wszyscy prócz staruszki, bo ta biedna była głucha i nie słyszała głosu kuczera i nie widziała pańskiej karety. — Już konie prawie ją roztretowaó miały, gdy Gustaw krzykiem nagłym obudzony, porwał bezsilną na ręce i odniósł na bok, a nim przyszła do siebie i miała czas go pobłogosławić, uszedł dalej, unikając podziękowań i wdzięczności. Lecz staruszka dążyła za

nim prędko, nie spuszczając z niego oka i korzystając z zastanowienia, porwała za półę. —

— Poczekajże, moje dziecko, rzekła cichym głosem, niech że ci choć podziękuję za twoją pocziwość, — niech cię pobłogosławię. —

Gustaw nachylił głowę, a staruszka przeżegnała go powoli. —

— Niech ci Bóg nagrodzi, moje dziecko, bo ja inaczej jak życzeniem nie mogę, a na pamiątkę naści ten obrazek. I wyjęła z swojej książki nabożnej, S. Antoniego di Padova, na którym widoczne ślady nabożnych pocałunków, pocałowała go raz jeszcze i oddała Gustawowi.

— To najlepszy mój patron, najskuteczniejszy, odezwiała się — módl się do niego, gdy ci źle będzie na świecie, on mnie często ratował!

I biedna staruszka zachwalała swego patrona, chociaż ją zostawił w połatanej sukni, samą jedną, o kiju na starość, bez dziecka, bez przyjaciela.

Gustaw chwycił obrazek, podziękował i zniknął na zawrocie ulicy. Staruszka powlekła się do domu, pilnując muru i kończąc przerwane pacierze; a jeden z kolegów Gustawa wracał do swojej izdebki i rzucając książki na ziemię, wołał do towarzyszków. —

— To szalony z tego Gustawa, dziś widziałem jak o mało się pod konie nie rzucił, dla



wyratowania staréj jakiejś baby. Gdyby jeszcze za jaką młodą! mógłby rachować na wdzięczność. — A tak zyskał pewno błogosławieństwo i pacierze! cha! cha!

## X.

### DUMANIA.

Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,  
Kiedy się człowiek troszczy, więcej niżli trzeba.

*Kochanowski. Ks. I. P. X.*

**I** zostawiony sam sobie, rzucony pastwą dla swojej głowy, Gustaw dumał dnie całe. —

— Ludzie wszystko popsuli na świecie, myślał, chcąc wszystko naprawić, dumny ich rozum odkrył szkielety w kwiatach i plamy na słońcu. — To niebo czyste, pogodne, iskrzące się gwiazdami, ta szata naszej nieśmiertelności, w którą patrząc człek idzie przez ziemię; to niebo, naszą nadzieję, zrobili oni atmosferą gazów, gwiazdy świecące przewodnice życia, na których tyle pamiątek wieszamy, nazwali bryłami kału, słońce zrobili piecem ognistym, piorun iskrą podległą prawom konduktorów. Pokreślili linie, postaviali liczby, ponumerowali światy i niebo, jak swoją majątność, rozdzielili je między siebie i rozgospodarowali, dając

w niém miejsca próżne zwierzętom, zapłacone bohaterom.

Deszcz, — tę rosę, te łzy nieba litującego się nad ziemią, człowiek zrobił brudnym wylewem ziemskich wyziewów. Wodę strumienia przejrzystą i chłodną, rozebrał na pierwiastki, rozłożył, pokrajał. — I tak wszystko! Nie ma miejsca, gdzieby jego rozum nie starł piętna poezyi, którą mu dało przyrodzenie i nie położył swoich prawd suchych, na miejscu tak błyszczących urojeń. — I życie, z rozkosznego i przemijającego snu, stało się poważną, smutną wędrówką. Szukali prawdy, — a przy prawdzie znaleźli nagi smutek i czarną przyszłość, której wprzód nie było. Odkryli wszystko i ziewają, niczemu się nie dziwując. O mój Boże! jakże ci ludzie twój świat popsuli, ten świat wprzód tak piękny, niewinny i świeży. — Te łąki, po których z kwiatkami zbierają dzieci myśli o sobie i niebie, te łąki pokrajali, zasiali trawami i przemienili je w pieniądź, — wydziedziczyli kwiatki z rodzinnego dziedzictwa, a posiali trawy! Te góry, — patrz, jak je poszarpały ręce ludzkie, szukając żelaza i złota, śmierci drugim, rozkoszy sobie. Te pokłady ziemi, te kości mammutów śpiące tyśiące lat we wnętrzościach matki, wykopali, oczyścili, żeby z nich odgadnąć wiek świata i policzyć po ziarnkach piasku lata, które przeżył. Chciwi rozdarli poetyczne zasłony prze-



szłości i nie dość na tém: naznaczyli przyszłości wieki, porachowali je, postavili słup i przepowiedzieli słońcu, że zagaśnie, jak świeca na ich stole. O mędrcy! o szaleńcy! na cóż nas było budzić z pięknych marzeń, żeby zabijać prawdą? czy nie lepiej było spać w kolebce dziecinnéj i kołysać się pieśnią pamiątek i nadziei.

Nie ma was piękne doliny! — brudne miasta zasiały na waszém łonie dziewiczém; jak stary rozpustnik dotknięciem swoim, zmiotły z waszego lica ten pyłek niewinności i dziewictwa, który was zdobił przed laty. Rzeki! objęły was mosty i grzbiet nosić musi ich przemysłne zyski, a nagie brzegi wasze zajęły szpichlerze. I was drzewa! podbił człowiek, porozsadzał pod sznur jak wojsko, uregulował, policzył, zapisał do książki, ponazywał, żeby nigdy nie dziwić się waszym liściom i kwiatu i każdą sukienkę waszą poznać z daleka, po barwie i kroju. Wyrwał was rodzinnym stronom, z lodów pod pożary, z płomienistego nieba pod śniegi popprzenosił, — gospodarz i pan ziemi!

I nic nie ma jak było, — wszędzie znać rękę ludzką, jak na sukni myśliwca łapy niedźwiedzie.

Zimne stworzenia! zrobili sobie z ziemi klatkę wymierzoną, obejrzaną, zamkniętą, znajomą, w której nie ma już ani nowego kąta, ani nadziei znalezienia rzeczy niewidzianej, nowéj, nieznajoméj! O jakże się ziemia zestarzała od

tych poetycznych czasów, od początków empiryzmu nauk, które podobniejsze były do pięknego marzenia, niż do metodycznego wykładu.

Wówczas jeszcze, żyły na niej, gryfy, smoki, cyklopy, pigmeje, pelikan dzieci karmił piersiami, feniks odradzał się na stósie, w grobach mieszkaly duchy, w drzewach hamadriady, Wezuwiusz był kuźnią Wulkanu, gwiazdy rodziły się z ludźmi i prowadziły ich losy po niebie, kwiaty były jak narcys wspomnieniem, jak lotus tajemnicą, strumienie żyjącymi istotami, kamienie i zwierzęta miały ludzkie dusze!! O piękne czasy wiary! o poetyczne wieki ziemi, gdzieście się podziały!?

Zasypały was techniczne słowa bez znaczenia, formy blade i wycieńczone, rozkazujące przyrodzeniu to rodzić, a tego nie rodzić. Wszystko odrzucili ludzie, jak ten, co rokosznie marząc we śnie, obudziłby się umyślnie, i nie chciał rokoszy, dla tego że była złudzeniem. — Złudzeniem! powiedzcież mi, co na ziemi jest złudzeniem, a co prawdą?

Wasze prawdy zabijają się, jak dzieci Kadmuśa, wiek jeden zabija drugi, nauka naukę, doświadczenia nowe, dawniejsze, i u was nie ma prawdy! Widzicie ją gdzieś za chmurami, idziecie do niej, jak pijany za ognikiem po błocie; ugrząźniec! ugrząźniec! Skarby prawdy przeglądają do was, jak trupie kości za zasłoną nieprzejrzystą, za którą zdaje się wam, że wi-



dziecie, twarz i życie — lecz odkrywszy zasłonę znajdziecie — trupie kości.

Powiedzcie mi, mędracy, szczerze, z ręką na sercu — czy był choć jeden z was, któryby w chwili zadumania, spoczynku, usypiając lub nudząc się, nie pomyślał o sobie, o swojej mądrości i nauce swojej — wielkie nic!

Powiedzcie szczerze, każdy z was śmiał się po cichu z siebie, bo wasza mądrość ziemską jest nikczemną i tak suchą, że ten, co się z nią raz złączy, traci na zawsze smak do życia, wiarę i nadzieję!

Mędracy, cożeście zrobili z kobiety? z tego drogiego kwiatka biednej naszej ziemi? — machine, która kocha z potrzeby, płacze jak chmura, gdy się w nią łez nabiera, kocha jak Boa kiedy się głodny koło swjej pastwy obwinie. Cożeście zrobili z jej najpiękniejszych uczuć wstydu i niewinności? Suknię ciasną nieruchomego dzieciństwa — z jej łez tak drogich — płyn słono-gorzki, z jej uśmiechu, — poruszenie muszkułu zygomatycznego, z jej miłości — popęd zwierzęcy, z jej uścisku — szal, z jej pocałunków zetknięcie dwóch tkanek \*) a z najdroższej rozkoszy, prostą funkcją normalną!! — O mędracy oddajcie mi świat poety, ludzi dawnych, dawne dzieciństwo i błędy, urojenia i marzenia, a weź-

---

\*) tissu erectile.

cie sobie wasze prawdy zimne, które przy wolnym ogniu wypalają wszystko z człowieka, i zostawiają go na szkielecie świata, szkieletem bez duszy, z cyrklem w rękę, teleskopem przed oczyma, — a rozpaczą w sercu!

Popsuli ludzie wszystko, nawet rzeczy najmniej im podległe, najtrudniejsze do zepsucia, nawet ten czas nieruchomy i niepożyty, który zdawał się nie zależeć od nich. — Bo dawniej nie było godzin i minut, były dni, ale dni nie były równe jak dzisiaj, były lata, ale lata były dłuższe i krótsze; póty, póki człowiek nie wymyślił sobie pokrajać czasu, pomierzyć go jak ziemię, na której siedzi, i podzielić między ludzi, po równej części. Dawniej, godzina godzinie, chwila chwili, rok latu nie był równy, smutnemu długi, krótki wesołym, dla niego miał sto godzin, dla nich był tylko chwilą. — A człowiek nie chciał tego, on powiedział, godzina godzinie, dzień dniowi równy być musi; ty, co masz lat dwadzieścia i ty drugi, co masz lat tyleż, będziecie równoletni, choćbyś ty w dwudziestu tysiące, a ty ledwie kilka lat przeżył. Co za niesprawiedliwość, co za kłamstwo! Patrz, na żółwia i zającą, zimny zegarmistrz, w jednej godzinie, ten milę, a ten ujdzie dwa kroki, a ty chcesz, żeby ludzie w jednym czasie, równą ilość życia spotrzebowali? — I tak, u ludzi, którym doświadczenie powoli przychodzi, nabyć go nie można, chyba długimi laty



choć drudzy go przeczują, nim nabędą, — i tak u ludzi, których rozum jest kupą śmieci, a powoli nagromadzoną, niema innego doświadczenia, jak to, które powoli chwile wpływające zostawują po sobie i nanoszą jak rzeka kał i muły.

Ta mania wierzenia i poznawania wszystkiego, wszystko popsuła na świecie, odtąd jak się zaczęło jój panowanie, jak przepisano człowiekowi, w wielu latach rozum mu przychodzi, w wielu go traci, w wielu ma być szczęśliwy, w wielu zapalony, w wielu zimny; odtąd stał się człowiek zimną bryłą, toczącą się po gotowych kolejach, machiną, którą teoria półgłówków nakreca; odtąd stracił człowiek swoją wolę, którą poddał pod prawidła, odtąd stracił charakter, którego poświęcił przyzwoitościom, odtąd towarzystwo stało się jednostajnym, bladym obrazem, gromadą podobnych sobie stworzeń, które powierzchownością przynajmniej starają się być sobie zupełnie podobne; — odtąd nie ma zdań, ale jest opinja, nie ma poezyi zapалу, ale poezya formy, nie ma miłości, tylko jój powierzchowność wysznurowana, uformowana, nabożna, cnotliwa, skromna i zimna; — nie ma nic naturalnego, a wszystko jest sztuką, miarą, cyrklem, prawidłem, regułą, teorią; — odtąd człowiek jest niewolnikiem względów światowych, które sam sobie knje na kajdany i święcie nosi, kalecząc się i męcząc, i myśląc

ogłupiony, że wszystko się dzieje, jak się dzieć powinno!

Któż nie zna, pisał Gustaw w dzienniku swoich dumań, jednego rodzaju ludzi, przez którego najbliżej pokrewni jesteśmy z małpami? To stworzenie ma twarz podobną ludzkiej, głos człowieka, nos zadarty, czoło płaskie, usta szerokie, uśmiech głupi w ustach, i kawał gąbki na miejscu mózgu, ma wszystko człowiecze prócz woli, — wola jego jest wolą naśladowania. Ztąd można podobnych ludzi, nazwać człowiekiem małpą i zastosować do nich nazwisko, które niegdyś zbyt szczodroliwy Linneusz, nieostrożnie oddał małpom, zowiąc je *Homo troglodytes*. Ta rasa nie jest wyłącznie właściwą ani klimatowi jednemu, ani żadnej części ziemi, wszędzie jęj pełno, wyradza się nawet z pospolitych ludzi. Cechą, po której się poznaje, jest ciągłe naśladowanie drugich, nie oni nie czynią sami przez się, mózg ich gąbczasty nie trawi i nie wydaje chyłu myśli, pije myśl swoich czynności, jak pijawki krew z drugich, i gotową już żyje. Tacy ludzie po miastach, są pierwszymi prozelitami mody, żaden węzeł chustki z frankfortskiego żurnalu, żadna barwa, którą się podobowało pomazać rysunek paryskiemu illuminatorowi; nie przewinie się darmo przed ich oczyma; — muszą się ustroić, jak moda każe, prędkiej daliby się powiesić, niżby zezwolili na złamanie w czém kolwiek prawodawstwa téj kró-



lowej. Elegant mała, tém się różni od innych elegantów osłów, cieląt i lisów, że nigdy mody nie daje, ale ją tylko bierze.

Na wsi *Homo troglodytes*, starannie wywiaduje się o odmianach, jakie zachodzą u sąsiadów, aby je przejąć najniezgrabniej. Uważaj tylko. Sąsiad kopie rowy, bo ma błoto do osuszenia; on zabiera się i pędzi rów po suchej łące, bo, — powiada, nic lepszego nad rowy! rzecz zbawienna! I kopie rów, który zostaje suchy i trawą zarasta, dziwi się potem, że się to na nic nie zdało, łaje sąsiada, — a któż mu winien? Sąsiad sieje wcześniej i on sieje wcześniej, sąsiad zbiera, on traci; odtąd nigdy już wcześniej nie sieje i narzeka na sąsiada i na wczesną sieję. Sąsiad stawia wiatrak i on stawia wiatrak, — tamten na górze, ten że nie ma góry, w dole między lasami; ztąd naturalnie wiatrak jego stoi, tamten się obraca, a wiatraki na wieki łaskę straciły i t. p.

Inny biega i szuka myśli, słów, wyrażeń, żeby je sprzedać za swoje, ukradłszy wprzód komu. Słyszy kogo ganiącego teatr i jego sztuki, nazajutrz zaraz idzie na wieczór, wprowadza rozmowę o teatrze, aby się popisał wczoraj ukradzioném zdaniem, — i nieumiejąc go poprzeć, dziwi się bardzo, że nikogo nie przekonał. Cóż to się dopiero z nim dzieje, jeżeli ukradzionemu, przygotowanemu zdaniu przeciwne posłyszysz! Okropna walka i niepewność, — oba zdania

równie mu się zdają, dobre do wzięcia, choć są sobie przeciwne? kręci się, myśli, otrząsa i idzie dalej. — On chwyta całe myśli co do słowa, i pakuje w swoją rozmowę, zbiera swój zapas umysłowy, jak ubogi gałgany po śmieciach. I jego też głowa podobna jest do sukni nędzarza, zszytej z kawałków, które się raz pierwszy tak blisko spotkały.

Tacy to ludzie namiętnie lubią przysłowia, które gotowemi będąc do użycia, dając się stokróć nakręcić, bardzo im posługują. Gdzie nie ma myśli, tam może być przysłowie, — jest to bardzo wygodnie i dla tego zapewne przysłowia zowią mądrością narodów, chociaż one wcale co innego dowodzą.

Znałem osobliwszą małpę, która usłyszawszy zdanie jakie, myśl, sposób mówienia, nie dalej jak w kwadrans powtarzała je przy tych samych osobach, które tylko co, toż samo z innych ust słyszały.

Z téj rasy ludzi, trafiają się indywidua, postrzyżone na literatów, — jest takich bardzo wielu, kompilatorowie i erudyci prawie wszyscy, prawie wszyscy tłumacze, i wielu nawet oryginalnych pisarzy, którzy wachają tylko, z kąd ich zaleci, nowa jaka forma stylu, nowy jaki talentu charakter; — „jak tylko Mojżesz drugi różczką jeninszu, ze skały wyprowadzi źródło, — oho! już oni wszyscy są około téj wody! — piją, piją, belcą, rozlewają, stawiają



na strumyku mosty, tartaki, folusze, zapuszczają sieci, kąpią się, topią, noszą wodę wiadrami, bieg jój zwracają i kręcą na swoje pola, — słowem, używają tego daru; ale zapytaj ich o źródło? jak go dobyć i z kąd? tego się od nich nie dowiesz! Biedny Mojżesz sam się téj wody nie napije, sam jój nie użyje, pasorzyci mu ją wydrą!

Prawie zawsze na czele szkoły stoi jeniusz, lub talent wielki, jego naśladowcy są to małpy, przywłaszczają sobie jego formy, manjerę, zdanie, sposób widzenia i piszą. Czasem nawet bardzo znośnie dobierają kawalki, z których szyją; ale zawsze poznać można łataninę, od tego co jest z jednej sztuki, jednym ciągiem uszyte.

Mieliśmy tego świeży i uderzający przykład z Sir Walter-Scottem. Jeszcze się ten pisarz wahał, w nadaniu stałej formy swoim pismom, jak się to z jego pierwszych pokazuje romanów; już, ci co tylko czatowali na wzór do naśladowania, zoczyli wyłączny charakter pism jego i wzięli się do roboty. Zdaje się, że ci naśladowcy, a raczej prześladowcy Walter Scotta (traduttore traduttore) dali mu poznać sami jego sposób pisania z naśladowań niezgrabnych i ustalili go w raz przyjętej formie.

Gdyby nie było takich małp literackich, nie byłoby nigdy tego, co nazywamy szkołą, każdyby pisał i myślał, tak jak go natura usposobiła, właściwie sobie; lecz z ich pomocą for-

muje się zawsze przy każdej jenjalnej głowie, wielkie stado mniejszych główek, s kierowanych w tę stronę, w którą głowa typ się obraca. — Są jednak tak szczęśliwi, zupełnie ekscentryczni pisarze, którzy nie dają się naśladować. Taki jest Rychter u Niemców, może jeden tylko, nie wiem czy o naśladowaniu go pomyślał kto nawet. Hoffmann dziwny jak Rychter, nie tak był szczęśliwy, bo prościejszy. —

W literaturze dzieła małe, dają się poznać po tém, że nie mają żadnej cechy właściwej, każdy tom jest odbiciem jakiegoś innego, wybranego stósownie do czasu, w którym piszą i książki, jaką świeżo czytali. Mimo tego jest między dziełami ich, jakieś familijne podobieństwo. —

Do tejże klasy dadzą się policzyć ludzie, którzy we wszystkim, drobne zwyczaje i błędy, a nawet śmieszności wielkich ludzi naśladowają. Ci, noszą tabakę w kieszeni, jak Fryderyk, król pruski, obcinają krzesła jak Napoleon i jedzą obiad, chodzą jak on, jak on noszą szarą kapotę, zakładają ręce, nigdy na ból głowy się nie skarżą i t. p. co jawnie pokazuje, że niebo do ziemi podobniejsze, niż oni do niego.

Raczie uważać, że skutkiem roztargnienia zwykłego ludziom uczonym i poetom, którzy w innym świecie żyją, — wszyscy mający pre-



tensye do literatury, chwala się, lub narzekają,  
że są roztargnieni i nieprzytomni.

O! cieleta! —

# XI.

## S E R C E.

A kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić,  
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

*Kochanowski. Ks. I. IX.*

Lecz po długich dumanich i łzach dłuższych  
jeszcze, widząc się zmuszonym do pracy, uczuł  
Gustaw, że te nauki, które mu piękny świat  
jego dziecinny popsuły, jedne mogły go popro-  
wadzić na świecie. Westchnąwszy więc nad  
smutną koniecznością pracy, tak niemiłej poetom,  
postanowił przysłuchać się dawaniu nauk, wy-  
brać z nich jedną, i niezmordowanie w niej się  
doskonalić. Lecz wybór był trudny, — wszy-  
stko zdawało się błyszczącym z początku, wszy-  
stko stawało się nikczemnym po rozbiorze. Uwa-  
żał Gustaw medycynę, za rzecz niezmiernie po-  
żyteczną i niewystawiał sobie, jaki gmach na-  
uk składa tę jedną; — ją więc obrał sobie,  
gdyż obowiązek ratunku i pociechy zdawał mu  
się najchlubniejszy, najzaszczytniejszy dla czło-  
wieka.

— Będę lekarzem! pomyślał, i poszedł do jednego ze swoich znajomych, do pana Adama.

Pan Adam tylko co był otrzymał stopień lekarza i oprawiwszy w ramki pargaminowy swój patent, zaczynał praktykę od ubogich. Mieszkanie jego, było prawdziwie lekarskiem, wielki i widny pokój jeden, po ścianach rysunki anatomiczne bez ramek, w kącie szkielet, na głowie jego czapka, u nóg jego butelka próżna, na stoliku flaszeczki, bincech, papiery, pieniądze rozsypane, zegarek i brzytwy, pierścionek z włosów i bandaże, niezapominajki i szarpie!! Przy łóżku list od panny Petronelli, a na nim pigułki merkurjalne, nad łóżkiem pistolety i portret Hanemanna; — wszystko w nieładzie, w rozrzucie: świat nasz i lekarski, razem zmieszany niepojętym sposobem.

Wśród tego chaosu, pan Adam siedział w szerokim krześle z łajką w zębach, trzymał traktat o kółtunie w ręku, a pod pachą jeden Tom Narzeczonej Lamermooru — Walter-Scota i drzymał. —

Wszedł Gustaw, Pan Adam porwał się z krzesła, ścisnął za rękę i prosił siedzieć z uśmiechem.

— Cóż tam porabiasz, mój młody przyjacielu, rzekł do niego — nudzisz się w mieście?

— O bardzo! odpowiedział Gustaw, i właśnie dla tego przyszedłem do ciebie, poradzić się z tobą. — Chciałbym się uczyć?



— Nic łatwiejszego! ale czegoż chcesz się uczyć? Byle nie medycyny! zawołał ze śmiechem, udając fanfarona. Wiele pracy, a korzyści mało. Sama z siebie nauka oparta na macankach, niepewna. — Możesz mi wierzyć, bom sam doktor — i wskazał na patent, — a nie myśl, żebym ci przez zazdrość odradzał, jest chwała Boгу dosyć chorych, a dwa razy tyle głupich: wystarczy dla wszystkich.

— Właśnie, myślę się uczyć medycyny, rzekł Gustaw, jestto stan w którym można być bardzo użytecznym. —

— Albo bardzo szkodliwym, przerwał Adam. Na téj nauce, mój Gustawie, zetrzesz czucie i wiarę, staniesz się materyalistą, ateuszem, przed czasem się zestarzejesz, będziesz nieszczęśliwym człowiekiem. Zdaleka śliczną jest rzeczą medycyna, człowiek szlachetnej duszy, może ją kochać, jako środek pomożenia ludziom, ale medycyna dla zysku jest to prostytutuya.

— Ta praca jak każda inna, wymaga zapłaty, odpowiedział Gustaw.

— Tak, ale cóż powiesz o człowieku, który mając w ręku życie brata, bierze pieniądze za to, że mu je daje? Czy nie czujesz tego, że pierwszym obowiązkiem człowieka jest wspierać ludzi sobie podobnych? Możnaż brać zapłatę za to, co się czyni z obowiązku? Szczerście, że na to nikt nieuważa, mój Gustawie. Powtóre medycyna świat wysusza, z ludzi ro-

bi dla nas maszyny, i życie czyni smutném, jak teatr marionetek, którego widzieliśmy sprężyny.

— Zgoda na to, rzekł Gustaw, lecz nie jedna medycyna robi życie tak smutném, nauki, doświadczenie, ten sam dają skutek. — Jestem zdecydowany. —

— Ach! gdybyś ty wiedział, jakie skarby utracisz, zawołał Adam z zapalem — cały, cały urok świata! Odkąd poznasz medycynę, ludzie będą ci się figurkami z kart wydawać, ich gniew będzie dla ciebie, drażliwością nerwową, wylaniem żółci, zatrzymaniem humorów, wpływem atmosfery wilgotnej — ich przywiązanie, wyda ci się dziecinny egoizmem. — A kobieta! ten anioł na ziemi, w którym młodzieniec widzi tyle wdzięku, rozkoszy, tyle idealnych przymiotów, kobieta będzie dla ciebie tylko trzydziesto dwużebrowem stworzeniem na dwóch nogach! Gdy ją ujrzysz leżącą nagą, na anatomicznym stole, rzuconą tak pod wzrok kilkuset ludzi, którzy nierozumieją wstydu i żadnego delikatnego uczucia, gdy ci pokażą muszkuły i żyłki pod jej różowym rumieńcem, w jej ustach gruczołki ślinowe, w jej oku nerw przechodzący do mózgu, pod jej białem czołem kość żółtą, i szkielet pod alabastrową, piersią na sercu, w którym nic niema prócz toczącej się krwi, — całe życie potem, w jej objęciu, przy jej boku będziesz ją widział umarłą, będziesz na nią patrzył okiem skalpelów i bistura, ściskając jej rękę, mi-



mowoli rachować będziesz, bicia jęj pulsnu i prawda, rzeczywiście naga, szkielet nauki zabije w tobie urojone szczęście. Nie ucz się medycyny, Gustawie, przez litość nad sobą. Ja na przykład, wytrwałem ten nowicyat, mówił dalej Adam, jeszcze nie ze wszystkiem zezwierzęcony, a już czuję w sobie, że się wiele zniżył od mego dziecinnego szlachetnego charakteru, kiedy głodny, zadłużony, bez grosza, wezwany jestem do chorego, ileż to razy nieprzyjdzie mi na myśl, przedłużyć jego chorobę dla pieniędzy, tak jak robi połowa tych lekarzy, którzy uchodzą w świecie za najpoczcziwszych ludzi. Okropnie jest ciągnąć zysk z nieszczęścia, — okropnie jest czekać wezwania, życzyć choroby, zawsze się kręcić wśród łez, niepokoju, strachu! — na to trzeba twardéj, i żelaznéj duszy!

Gustaw westchnął.

— Wolałbym być grabarzem, trumniarzem rzekł Adam — stan lekarza jest okropny. Do tego, com ci powiedział dolicz jeszcze, że nasze oko widzi śmierć na twarzach przyjaciół, krewnych, żony, dzieci rokiem wprzody, niż wszyscy! — Miła rzecz! — Dolicz do tego, że my sami gryziem się całe życie, rojąc sobie choroby, że każdy z nas prawie kurując suchotnika, szuka w sobie zarodu i symptomatów suchoty, że każdy prawie lecząc chorobę, jest w sobie jęj zwierciadłem i dziwnym fenomenem moralném, odbija wszystkie cierpienia, które go otaczają. — Jestto kombinacya samolubstwa

z nauką. — *Tulpius* cytuje człowieka, który przez samo tylko czytanie dzieł lekarskich i chirurgicznych zmysły postradał, a *Monro* widział jednego, który pod sławnym Boërhavem słuchał medycyny, a będąc hypochondrykiem, ile razy znajdował się na prelekcji Boërhava, tyle razy wyobrażał sobie, że ma tę słabość, o której mówił professor. Tym sposobem tak wyniszczał, że w pół zawodu swego dla ocalenia życia, musiał go porzucić.

— Mimo tego, rzekł Gustaw, na tém całe moje nadzieje, muszę choć spróbować, zaprowadź mnie na lekcję medycyny.

— Na jaką? zapytał Adam ze śmiechem, czy myślisz, że jest jedna? Cha! cha! Medycyna jest to Briareusz stórzeczny; składa się ona z tylu osobnych nauk, że trudno wyliczyć ich nazwiska. Przygotowaniem do niej są: Fizyka, Chemia, Mineralogia, Botanika, Zoologia, Matematyka, Historya, Języki. Następuje Anatomia a w niej jeszcze naliczysz Osteologią, Syndesmologią, Miologią, Splachnologią, Angiologią, Newrologią. — Po niej narzuca ci Farmakologią, Materią medyczną, Fizyologią, Terapią, Patalogią, Chirurgią, Dietetykę, Medycynę praktyczną (klinikę) i Sądową, Weterynaryą, i t. d.; bo do jutra bym cię nudzić musiał, chcąc dać tylko ogólny rys rzeczy. Pomiarkuj teraz, że mało ci powiem, jeżeli kilka dziesiąt tysięcy nazwisk, części ciała, chorób i lekarstw



będziesz się musiał nauczyć jak papuga, żeby zostać lekarzem, że cię okują w formy, zabronią doświadczeń, każą iść cielecym sposobem w ślady poprzedników bez rozumowania, bez dochodzenia przyczyn, zabijają w tobie całą energią twoją, przez zmundną nomenklaturę, — a gdy ukończysz wszystko, znajdzie się, że wychodząc, nie będziesz jeszcze nic umiał, bo ci zabraknie doświadczenia i wprawy, bez której będziesz jak ten, który się nauczył temporować pióro, a pisać nie umie, póki od lasek nie zacznie. Trzebaż do tego mieć strawne sumienie, żeby doświadczać, bo twoją naukę, może nie jeden życiem przypłacić. — Chcesz że mimo tylu przykrości i trudności tylu, zostać lekarzem? —

— Cóż mam robić? odpowiedział Gustaw, chódźmy na lekcję anatomii.

— Chódźmy! rzekł Adam.

W drodze milczeli oba, Gustaw tarł ręką po czole i wzdychał. Ciężar przyszłej pracy uciskał jego serce i przeczucie stawiało mu w oczach, ten świat blady i nudny, jaki Adam opisywał.

Weszli do sali. Była wielka i jasna, w koło ławki wznosiły się jak schody, a na nich szemrała mnoga liczba słuchaczy; wesoło uśmiechających się, jak grabarze na pogrzebie. — Koło nich leżały kości poprzy-noszone, preparata muszkułów i nerwów. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili, — oczy

ich były wpadłe od pracy i bezsenności, twarze żółte, piersi skurczone i kaszlące od mefitycznej atmosfery sali, suknie nosili wytarte i stare.

Wpośrodku sali, był stół okrągły i krzesło profesora, na stole leżało coś wielkiego, okrytego prześcieradłem, z pod niego wyglądała noga ludzka, noga mała i biała, która była przedmiotem żartów, całego prawie zgromadzenia, — była to noga biednej jakiegś dziewczyny.

Po chwili wszedł professor, — i cisza nastąpiła. — Usiadł, posługacz zdjął prześcieradło, a pod niem ukazał się trup, z jedną tylko nogą i bez rąk, obcięty już dla doświadczeń. Gustaw zakrył oczy, — był to trup dziewczyny, jej główka, z której ostrzyżono włosy, wisiała ze stołu z zamkniętymi oczyma, z blademi usty, nieruchoma, jakby śpiąca. A tuż stał posługacz nauczyciela, ryży, czarny, barczysty mężczyzna, zwierze w ludzkiej skórze, którego nawyknięcie do widoku trupów i śmierci, zrobiło bydlęciem mięsożerném, który oblizywał palec, krając ciało, i rozrzucał mięso tym samym nożem, co człowieka.

Cichość była uroczysta, pióra wisiały nad papierem, oczy były zwrócone w środek, — słuchano! — Nóż rozkroił piersi, rozdarł ciało, podniósł kości i obaczył serce. — Potem głos dał się słyszeć spokojny, dzwięczący, miły. —



„Serce, Cor jest organem i środkiem cyrkulacji, muskułem, woli nie podległym, tworzącym liczne próżności, które zostają w związku z naczyniami krwistemi płuc. Kształt serca jest podobny do ostrokągu, — podstawa jego Basis jest częścią serca szerszą, zostającą w związku z naczyniami, wierzchołek częścią najwyższą, niekiedy rowkiem przedzieloną. Powierzchnia jego wyższa czyli przednia jest wypukłą, niższa czyli tylna płaską. Brzeg tylny jest grubszy znacznie od przedniego. Na powierzchni serca znajdują się rowki, które odpowiadają własnościom wewnątrz niego znajdującym się, albo raczej podziałom. Sulcus cordis longitudinalis. —

— Chódźmy! chódźmy! zawołał Gustaw, szarpiąc Adama uśmiechającego się za suknią — Chódź! i wybiegł, zatulając uszy. Jak tylko stanęli na ulicy, otrząsnął się i spojrzawszy mu w oczy, zawołał.

— Serce! serce! — To, cośmy przywykli uważać za najpiękniejszą część człowieka, serce, jest tylko muskułem będącym środkiem cyrkulacji? krzyknął Gustaw — nie chcę medycyny!

Adam się rozśmiał. — Biedny poeto! to, coś słyszał, jest jeszcze niczem! Wieleżby to rzeczy straciło urok dla ciebie, gdybyś je widział na anatomicznym stole.

— Odtąd, przerwał mu poeta, będę mógł kiedy wyrzec słowo tyle znaczące serce, bę-

dęż mógł kogo chwalić z serca dobrego, ganić ze złego, gdy w obu krew jest tylko niepodległa woli, krew i nic więcej. Gdzież jest dusza? zapytał nagle.

— Wszędzie i nigdzie — odpowiedział mu Adam, — między duszą i ciałem pośrednikiem są nerwy, a ich ogniskiem jest mózg.

— To jedno mnie nie oburza, — rzekł Gustaw, uderzając się ręką po czole, tak! czuję, że tu jest dusza moja.

Zapytaj się kobiet, one ci powiedzą, że dusza ich jest w sercu, że ją tam czują. —

— To być może.

— Ale jakżebyś się zdziwił, biedny Gustawie, jakby ci professor w tym domku duszy twojej pokazał, n. p. most Varolla i siodło tureckie, — piękna nomenklatura. Gdybyś poznał, Gustawie, człowieka, jak my go znamy, spadłbyś z wysoka na ziemię! gdybyś widział, jak drobne wpływy ziemskie rządzą jego zapalem, myślami, gniewem, łzami, dobrocią, — gdybyś ty widział, że w nim jak w maszynie można jednem lekarstwem zapalić miłość, drugiem gniew, że jedno ziarnko opium, odrętwi jego mózg, po którym będą chodzić osobliwsze marzenia, że filiżanka kawy, szklanka herbaty, często dają poecie natchnienie i zapal, ten ogień święty, często się gotuje w samowarze, — że drugiemu ten sam skutek robi kieliszek wina,



trzeciemu wszelkie inne lekarstwo; — o! jak-  
byś gardził tém stworzeniem, — Gustawie. —

— Nie, odpowiedział Gustaw, bo gdybym  
nawet widział tę niewolę duszy, która ciało  
ulega, mieszkając w niém, — nie pogardził bym  
nieśmiertelną, której ta chwila próby, jest no-  
wicyatem nieba! —

— A ciało człowieka, przerwał Adam, —  
ten Mikrokosmos, jakżeby ci zbrzydło, gdy-  
byś je widział z blizka we wszystkich stanach  
przejścia, w jakich się znajduje, nim się roz-  
sypie w użyźniające i pożywe innym stwo-  
rzeniom popioły. Człowiek urodzony z robacz-  
ka, na ciele swoim ma robactwo, we włosach  
robactwo, robactwo w ranach, które go okry-  
wają, we krwi jego płyną robaczki, w żołądku  
jego żyją robaki, na dziąsłach i zębach robaki,  
otaczają go wszędzie, wprzód jeszcze nim go  
pożrą po śmierci! Wspomniawszy na to, czyż  
można kochać kobietę? O! Gustawie! to okropnie!

— Nie mów, nie mów o tém, przerwał po-  
eta z odrazą. — Lecz, — dodał po chwili, czy  
poznanie téj cudownej budowy człowieka, wpły-  
wa u was na poznanie wielkości Boga i rozwi-  
nięcie uczuć religijnych?

— Ono je zupełnie ściera, — odpowiedział  
Adam z westchnieniem. Na stu doktorów,  
dziewiędziesiąt dziewięć niedowiarków, mate-  
ryalistów, atenszów. Bo cóż widzieli pod  
skalpelem i bisturem? — ciało i ciało! co

zobaczyli przez mikroskop? — robaki, — nie spotkali duszy, nie pokrajali, nie macali i nie wierzą w nią, głupcy!

— Nie będę lekarzem, — rzekł Gustaw, — nie do tego jestem stworzony. Ta jedna próba spać mi nie da długo i kiedyś może przy ko-  
chance, kiedy się dotknę jej bijącego serca, przypomnę jeszcze tę szkaradną lekcję ana-  
tomii!

— Zajdź do mnie, Gustawie, rzekł Adam, opowiem ci jedno osobliwsze zdarzenie, z pierwszych lat mojej nauki. Pewno z niego zrobisz balladę, lub legendę, bo ma minę bardzo poe-  
tyczną. —

— Dobrze, odpowiedział Gustaw zamyślony i weszli do mieszkania Adama.

## XII.

### EXDYWIZYA.

Aczciem prawie,

Niepewien, jeślim przez sen słuchał, czy na jawie.

Kochanowski. Tren. XIX.

**R**ozpalono ogień na kominie, postawiono dwa kulawe krzesła naprzeciw niego, a Adam zaczął robić herbatę.



— A twoja powieść? przypomniał Gustaw.

— Gotuję ją razem z herbatą, — odpowiedział Adam, śmiejąc się, zaraz ci dam oboje. —

W parę chwil i herbata i powieść były gotowe, siedli, zapalili fajki, a młody lekarz tak mówił:

— Było to w zimie przed examinami, drugiego roku mojej nauki, kiedym dopiero kursu anatomii słuchał. Dwa dni i dwie nocy siedzieliśmy w chłodnej izbie, grzejąc się tylko zapalem do nauki, obrzydliwą herbatą i szkodliwym tytuniem. Trzeba było wyuczyć się całej anatomii na pamięć, wszystkich jej nazwisk łacińskich, kości, muskułów, więzów, trzewów, tkanek, żył, błon, arteryi, nerwów, humorów, płynów i t. d.; ażeby być gotowym do odpowiedzi na każde pytanie, gdyż od tego zależał cały rok przeszły, którego na nowo trzeba było siedzieć na ławie, gdyby się examina nie udały. Miarkujesz, jak to nas biedaków obchodziło, nas kilku, cośmy byli sieroty, cośmy żyli w dzień z tego, co bogatszym przepisując sexterna, zarobiliśmy w nocy; nas, cośmy nie mieli dobrego płaszcza ani bótów, cośmy cali nadzieją żyli i każdą chwilę zbliżającą nam jej uiszczenie, liczyliśmy niecierpliwie. Długo siedzieliśmy tak za stołem, powtarzając w kolej całą anatomią i ciągnąc losy. Na nieszczęście wypadły mi kilka razy pytania z osteologii, na które dokładnym opisem kości odpo-

wiedzieć nie mogłem; zląkłem się tego strasznie i postanowiłem noc całą siedzieć nad osteologią, żeby się jój doskonale wyuczyć, aż do najmniejszych apofizys, exostozys, rowków, garbków; słowem od A do Z.

Było pół do dwunastój, — zapaliłem nowy kawałek świecy, wypilem szklankę zimnej wody, zapaliłem fajkę, zażyłem tabaki i natężyłem umysł, żeby sen odpędzić. Potém wyciągnąłem zapylone sexterna i z szafy cały szkielet złożony z różnych kości, zbieranych po smentarzach, kupowanych, kradzionych. Rozłożyłem kości przed sobą i zacząłem się uczyć. Lecz zaledwie usiadłem, powieki mi się kleić zaczęły, — bo już dwie nocy nie spałem. Próżno odpędzałem sen myślą mojej nędzy, losu, straconego roku, — wkrótce stał się dla mego ciała tak silną potrzebą, że wszystkie inne zabił, usiadł mi na oczach i powtarzając *os frontalis*, zasnąłem znużony; tym snem ciężkim, bez pamięci, jakim padał żołnierz po długim marszu, odmawiając strawy dla snu, którego sile oprzeć się nie może.

Tylko co oczy zamknąłem, ujrzałem przed sobą, światłą jakąś dolinę, tak długą, iż koniec jój ginął w chmurach. Nad nią było niebo jasne, bieluteńkie bez słońca, gwiazd i księżyca. I dolina była jasna i biała bez zieloności, trawy, drzew, mieszkania; długa, gładka, równa, nieskończona jak przepaść. Po chwili, — w od-



daleniu zaczęło się coś ruszać i poruszając zbliżać, — z początku jak punkt czarniawy, potem większe, — większe, aż rozeznałem tłum jakichś istot, — niby ludzi.

I strach mnie niepojęty ogarnął, drżałem, a nie mogłem się ruszyć z miejsca, miałem ochotę uciekać, a stałem jak przykuty. Wkrótce coraz wyraźniej ten tłum wydał mi się wielką gromadą szkieletów, lecących ku mnie. Jedne były bez głów, inne bez rąk, inne o jednej nodze, ten bez kości pancerzowej, tamte bez żeber, — wszystkie sunęły się do mnie, prosto do mnie, — a ja byłem sam jeden. Włosy najeżyły mi się na głowie, nogi wyprężyły, — chciałem uciekać, — ani sposobu. Niepojęta władza trzymała mnie przykutym na miejscu.

Chciałem krzyczeć, ust nie mogłem otworzyć. A widziałem ten tłum straszny, żółty, sunący się z wrzaskiem ku mnie, coraz bliżej, machający rękoma, wyjący tysiącem głosów. — I w miarę jak się zbliżali, robiło się coraz ciemniej, a pot lał się ze mnie i wszystkie nerwy drżały jak strony pod smyczkiem, krew nawalnie biła w piersiach, w tyle głowy, na skroniach, serce skakało w piersi, — wszystko się poruszyło, żeby się wyrwać z téj męki, lecz stałem na miejscu, — a tłum był i zbliżał się do mnie.

Już podchodzili i otaczali mnie w koło, ciemno się zrobiło zupełnie, tylko żółte ich kości

świeciły na czarném dnie nocy i głosy bucha, ły ze szczęk bezzębnych. Już byli koło mnie zamną, przedemną, nademną, — i bicie krwi z drzeniem nerwów ustało, — zamarłem nieporuszony, — ale czułem wszystko. —

Jeden wysunął się z tłumu prosto do mnie, skoczył mi do piersi i porwał za suknię, wskazując, że nie miał głowy, a drugi, któremu brakowało ręki, krzyknął mi nad samém uchem.

— Oddaj nam nasze kości! rabusiu! złodzieju! nasze kości! oddaj mu głowę!

— Oddaj mi rękę!

— Oddaj mi nogę!

— Moje żebro!

— Moja kość pacierzowa! I wszyjśię na mnie, szarpiąc za ręce, za głowę, za nogi, jakoby mnie rozerwać chcieli.

— Jak ja stanę bez nóg na sąd ostateczny? wołał jeden, oddaj mi moje nogi! Coś zrobił z memi nogami? oddaj, bo ci twoje odbiorę! Zrobiłeś pewnie szuwaks na twoje buty, tusz do swoich rysunków, farbę jaką? moje nogi! jak ja bez nóg zostanę? —

A drugi krzyczał mi z drugiejj strony. — Moja szczeka! moja szczeka! chcesz mnie zrobić potworem, kaleką! Na czémże powieszę ciało, czém będę jadł i całował w niebie? czém będę w piekle zgrzytać? Moja szczeka! oddaj mi moją szczekę, potrzebuję jēj! ona jest moją własną.



— Czterdzieści sześć lat ją nosiłem, a ty coś z nią zrobił, podstawkę pod kulawy twój stół, klamkę do twojej izdebki?

I nie dając mi czasu na odpowiedź, krzyčeli wszyscy razem, szarpiąc mnie ze wszystkich stron, — cierpienie moje było okropne.

Jeden poskoczył. — Gdzie są moje zęby, moje piękne białe zęby? krzyknął, nie zjadłem ich za życia, niespróchniały, niewypadły, były piękne, młode, białe. Powyrywałeś je po śmierci z mojego trupa, porozrzucałeś po śmieciisku gdzie ja ich teraz będę szukał? Oddaj mi zęby bankrucie!

I rozdziawiał szczęki swoje, jakby mnie chciał pożryć, a żółte palce swoje pakował mi w usta, chcąc na miejscu swoich, moje mi poodbierać.

A wszyscy krzyčeli —

— Moja noga!

— Moja ręka!

— Moje palce!

— Moje żebra!

— Jego głowa!

— Moje serce! gdzie jest moje serce, takie piękne i młode, coś z nim zrobił zamarynowałeś je w spirytusie, zjadłeś może? —

— Moje dziecko — coś zrobił z moim matką dziećciem? wołał inny szkielet, postawiłeś je w słoju na szafie i myszy je zjadły. — Oddaj mi teraz synka!

— Gdzie podziałeś, łotrze, mózg mojej żony zawrzeszczał drugi, — ha! ha namoczyłeś go, wygotowałeś, rozdarłeś, rozwinąłeś, popsuleś, a kto teraz będzie gadał za nas dwoje, na ostatecznym sądzie? Wszak ona podjęła się mnie i siebie bronić? Ach! nieszczęśliwy, co ja poradzę bez mózgu mojej żony!

I tak krzyczeli wszyscy, a ja drzałem, nie mogąc uciekać, potem rosnące coraz wrzaski nagle ustały. Jeden wystąpił naprzód, wysoki, tak wysoki, że głową był w obłoku, a po kolanach w ziemi — brakowało mu ręki.

— Cicho! zawołał, czy my go jeszcze będziemy prosić? żeby nam oddał, co się należy, — każdy niechaj bierze swoje!

Ledwie to wymówił, każdy rzucił się do mnie, olbrzym oderwał rękę, drugi zęby, trzeci mózg wyjął z czaszki, czwarty żebra, piąty nogi, szósty serce: słowem nic się ze mnie nie zostało, — a ja to czułem. Tym zaczął się kłócić o swoje zdobycze, zaczęli sobie wyrывать, bić się, wrzeszczeć i uciekać, — obudziłem się. Na stoliku pływał knot stopniałej świecy i kości trupie smażyły się w jego ogniu, moje włosy całe spłonęły, połowa stołu i papiery. Ogień dochodził łóżek śpiących towarzyszy, okropny swąd i kłęby czarnego dymu napępniały izdebkę, — zerwałem się, krzyknąłem i padłem!



Potém okropnym śnie, chorowałem długo na gorączkę, straciłem rok nauki, bom nie zdał egzaminu i wyłysiałem zupełnie jak widzisz.

Może wypijesz trzecią szklanę herbaty? —

### XIII.

## KLASZTOR I PRAWNIK.

Taki był Protensz, mieniać się to w smoka,  
To w deszcz, to w ogień, to w barwę z obłoka  
Dalej co będzie?

*Kochanowski. Fraszki Ks. III.*

Jest coś na świecie, kto chce pilnie wejrzeć w rzeczy,  
Z czego się dowcip wypieść nie może człowieczy.

*Kochanowski, Fraszki Ks. III.*

**W**ięc będę księdzem, rzekł Gustaw do siebie i w tym stanie można być lekarzem duszy, pociechą nieszczęśliwych, pośrednikiem między ludźmi a niebem. Zamknę się w klasztorze, ani świat dla mnie, ani ja dla świata. Ja i ludzie nigdy się z sobą zrozumieć nie mogę, — zostanę z Bogiem, który mnie zrozumie! —

Tak mówił i szedł oglądać klasztory, aby sobie w którym z nich obrać nieznaną mieszkanie, grób, w którymby się żywy zasklepił. Lecz jego wyobraźnia dziecinna, wystawiła mu te mury głuchemi — twarze ich mieszkańców blade i smutne, wszystko poetyczne i poważne, jak cisza grobowa. Spodziewał się to znaleźć — po-

szedł, lecz zawiódł się jak zawsze biedny Gustaw, który ubierał w fantastyczne barwy poezyi to nawet, co nigdy poetycznem nie było. I na miejscu posępnych gołych murów, ujrzał ściany białe, czyste, świeże; na miejscu zimnego kamienia, podłogę tylko co wymytą, na oknach kwiaty pożółkłe w doniczkach, — wszystko prozaiczne i zimne. Nigdzie włosiennic i dyscypliny, nigdzie smutku na czole, wszędzie rumieńce żywe, otyłość prawie obrzydliwa, wesołość okropna, nie ta cicha wesołość, niebieska spokojnie patrząca z naszego świata na drugi, lecz śmiech ziemski przerywany czkawką i kichaniem. —

Tylko w chwili nabożeństwa horyzont klasztorny, jak za wejściem słońca upromienił się i chwycił ku niebu duszę Gustawa. Kiedy zagrzmiały organy, kiedy księży na chórze zaśpiewali, kiedy na rozciągniętym całunem *Dies irae* długim jękiem się ozwała; wśród kłębow kadzideł przy blado świecących gromnicach, w zmroku kościelnym, jak gwiazdy na niebie zawieszonych: — w ów czas znalazła się w obrazie tego życia, cudna śmiertelnego łoża poezya i wszystkie te rumiane twarze, pobladły oświecone promieniem zapалу. Lecz le-dwie ostatnie *amen* pieśni rozbiło się po sklepieniach, i upadło na posadzkę, ustał czarnoksiężki urok, a rzeczywistość ze smutkiem, łaszlem, czkawką, brzuchata i śmierzdząca, brudna gło-



dna i chciwa zéru, wróciła niestety! a Gustaw — uciekł od niej. —

Niemogę być lekarzem, niemogę być mnichem, będę prawnikiem, rzekł Gustaw w sobie. Można w tym stanie opiekować się ubogimi, sierotami, dać pomoc uciśnionym i wybrać zawsze sprawiedliwą stronę; można zawstydzić oszukańców, oświecić nieświadomych, podać rękę opuszczonemu i pokazać, że sprawiedliwość się nie kupuje, lecz oddaje, że prawo nie mści się, lecz karze, że instytucje więcej są ustanowione dla zapobiegania złemu, niż dla poskromienia go, gdy wybucha. — Będę prawnikiem.

Tak pomyślawszy, poszedł Gustaw do biegłego prawnika, który jego propozycją i prośbę o radę przyjął z uśmiechem. — Nauka prawa, rzekł do niego, jestto morze do wypicia: Pandekta, novelle, kodexa, statuta, prawa kryminalne, cywilne, sądowe, miejskie, prawo polityczne, prawo natury, kanony i prawodawstwo kościelne, historia w najobszerniejszym znaczeniu, filozofia jako zasada, języki jako pomoce, ekonomia polityczna jako skutek i tysiąc innych rzeczy, mieści się w jednej nauce prawa; dodajmy jeszcze znajomość praw od Mojżesza do prezydenta Montesquieu, z tysiącem komentarzy, więcej niż dziesięć razy tyle wynoszących, trzeba więc z siłami i z cierpliwością swoją porachować się, nim w ten labirynt, noga się posunie a nauka zpotrzebuje poświęcenia całego życia.

A jako każdy prawie stan, któren człowiek dla zysku przyjmuje, i ten wymaga zaprzędania siebie, wyrzeczenia się sumienia, wytarcia czoła, wyrzucenia się z uczuć i zamienienia w towar licytowany, swojej wymowy i nauki. U nas nie ma sprawiedliwości, są tylko pieniądze, adwokat nie broni tego, kto niewinny, ale tego który zapłacił. Jeżeli pan chcesz poświęcić swoje sumienie, życie, a co najwięcej dobrą sławę swoją — zostań prawnikiem, mecenasem, adwokatem, notaryuszem, sędzią, czém chcesz. Lecz jeżeli myślisz, że wyrok śmierci, zguba całej rodziny, jej nędza i łzy, оголошение z ostatniego kawałka chleba przez dzieci niewdzięczne, przez zręcznego oszusta, przez złego sąsiada — z twoją dokonane pomocą, będą ci ciężać na sumieniu, — daj pokój! — Jestto prostytutuya swego rozumu, talentów, nauki, zdania, swojego czasu, nareście i sumienia pierwszemu lepszemu.

Kawałek chleba tym sposobem nabyty, zgorznie ci w ustach, bardzo być trzeba głodnym i nieszczęśliwym, żeby sięgnąć po niego. W chwili śmierci, gdyby nam dawano do wyboru nędzę, z czystém sumieniem, i złoto od łez spleśniałe, nabyte haniebną sprzedażą duszy, gorszą od sprzedaży wybralibyśmy nędzę. Świat często uniewinnia — sumienie nigdy, i ci nawet co powierzchownie szacują nas, co się nam kłaniają, co nas głaszczą, czynią to z takim uczuciem, z jakim psiarz pieści oswojonego wilka.



Masz pan ręce i głowę, tysiąc dróg przed sobą — idź i pracuj.

A Gustaw wyszedł zamyślony i słowa Adama i prawnika, przypomniały mu Molierowskie — *Vous êtes orfèvre, Monsieur Josse!*

Jednak niechciał być lekarzem, ani prawnikiem.

#### XIV.

### CZTERY LATA.

Czego nie kosztował?

Kochanowski. Fraszki III. 1.

Potém chodził jeszcze Gustaw wszystkich nauk próbować, lecz na każdą się oszukał.

Pod poważnym płaszczem historyi, znalazł suchą mieszaninę dat, nazwisk, erudycji, bajek i chronologicznych kłótni, która mogła próżną tylko głowę napchać niepotrzebną kupą nazwisk, bez żadnej korzyści moralnej, bez widoku i celu. I żałował, że zamiast tego wielkiego obrazu, którego tylko nieforemne kreślą rysy, żałował, że nie dają młodzieży biografii osób, którychby sprawy miały jaki związek z dalszém ich przeznaczeniem, biografii osób niższych stanem, a szlachetniejszych charakterem, osób któ-

re nie są w historii, a zasługują należeć do niej więcej od innych ludzi, których położenie na świecie umieściło w dziejach, którzy mieli za sobą drogo kupioną sławę i źle użyte talenta. Kto się zbuduje z tego, że Aleksander W. upił się przed śmiercią, że zajrzawszy w dyogenesową beczkę, zażądał być nim, gdyby nie był sobą, — co miało znaczyć: — że gdyby nie był tak sławnym, jak był, chciał mieć przynajmniej tyle sławy, co Dyogenes? Kogo polepszy przykład tak częsty ludzi, którzy sławie poświęcali wszystko, nędznój sławie Herostrata wyżebranój podłością i zbrodniami? Tak, — myślał Gustaw, historia nie powinna być nauką dzieci, lecz rozmyślaniem starych.

Tak samo zawiódł się na literaturze. Literaturę, estetykę znalazł on suchym szkieletem, w którym więcej było klasyfikacji, podziałów, definicyi, niż myśli, w którym prosty mechanizm zasiadł miejsce przed duchem rzeczy, a prawa i reguły zagroziły drogę talentom, normy i wzory dając na wszystko i mówiąc pracownikom jak przyrodzeniu:

— Nie rodź nic, coby już do urodzonego podobnym nie było, coby się nie dało podciągnąć pod klasę, rodzaj, podział, formę. Musiał się uśmiechnąć z litości i żalu, nad tymi pedantami, którzy widzieli tylko średniówki i rymy, w prozie interpunkcją i ortografią, którzy pisali słowami bez myśli, lub myślami nie z sie-



bie, lecz z pamięci tylko swojej ciągnionemi. Śmiał się z tych pedantów najeżonych łaciną, szafujących Horacyuszem, jak doktorowie rumbarbarum na każdą słabość, piorunujących na energiczniejsze owoce talentu, do których zrozumienia dojść nie mogą, chcieli, aby się wszyscy aż do ich ciasnego pojęcia zniżyli. —

Śmiał się z tych ludzi, co bogactwo języka zamykają w szmatach podartej frazeologii, różkazując językowi: Nie pójdziesz dalej! — którzy całują z uszanowaniem słowniki, przysięgają na grammatykę, żyją zgnieciemi cytacyami i umierają wśród oklasków tłumu, który nie wie, za co ich wynosi.

Śmiał się ze wszystkich sznurujących imaginacyą, wiążących fantazyą za nogi regułami, — bałwochwalców starożytności, odpisarzy, elegiopisarzy, poematopisarzy, nazywających się poetami, a umiejących ledwie nędzne rymy dobierać i sylaby liczyć, bez jednej iskiej niebieskiego ognia w duszy, bez zapалу, bez wiary, piszących dytyramby na zimno, odgrzewane przy kominku i flaszce, tragedye na stole z herbatą, elegie wśród kłótni domowych o pietruszkę i cebulę.

Śmiał się z tych wszystkich, co piszą, nie rozumiejąc siebie ani pisania, bez powołania, lecz z okoliczności, tak, jak szewc dla chleba szyje bóty, a parobek drwa rąbie, o każdej godzinie, każdego rodzaju, byle zapłacono!

Śmiał się z tych, co uczą smaku, co wlewają zapach i czucie, co robią poetów, jak garnki z gliny, co rozwijają talenta, talenta! które się same rozwijają bez pomocy, życiem i nauką dobraną i posilną. — Z tych wszystkich śmiał się Gustaw i płakał nad nimi. — Ach! musiał uczyć poezyi! nie jestżeto cud? nie jestżeto wdawać się w boskie rzeczy, — w stwarzanie? Poetę można skleić, zesztukować jak, stare bóty, ale zrobić poetę z niczego? — Będzie to zapewne poeta jak pan D., jak pan S., jak pan X. i Z, ale zróbcie mi Byrona, jeśli łaska? —

I tak dwa lata i jeszcze dwa lata, zaglądał Gustaw na dno każdej nauki, a wszędzie na dnie znalazł czarną przepaść lub brudne męty; ci, co tylko z wierzchu patrzyli, piękne rzeczy widzieli. Potém opuścił ręce i życie zdało mu się smutne, długie, nie do przeżycia, potrawą, której pierwszych łyżek strawić nie mógł!

Cztery lata! ileż to odmieniły jego charakter młodzieńczy, ileż się razy zawiódł przez te cztery lata, ile razy zasmucił, ile razy kładł się do łóżka, nie chcąc wstać jutro! Cztery lata, które spędził, ucząc dzieci dla chleba, zaprzeczając swoje życie od pierwszej do ostatniej dnia godziny, dla jedzenia, sukni i dachu, którychby nie miał inaczej! Ileż razy w tym stanie przeklął dzień swego urodzenia, widząc pogardliwych panów, szyderskie kobiety, niesforne dzieci, urągające się z pana guwenera, któ-



rego na równi liczyli z płatnym swoim lokajem!

Kto nigdy nie próbował rzemiosła pedagoga, ten nie pojmie, jak ten chleb na pozór lekki, okupiony być musi wielą przykrościami i w wielu to cierpieniach człowiek z odrobiną czucia, pożywać go musi.

Gustaw do nicz go więcj nie zdolny, musiał się chwycić tego sposobu do życia; lecz wkrótce poznał, że spokojniój daleko byłoby pracować rękoma na życie, być rzemieślnikiem bez myśli, niż myślącym człowiekiem, okutym w więzy pedagogii, i gorsze jeszcze więzy drugie, które korzystając z jego położenia, kuli na niego ludzie.

Naprzód trzeba było protekcyi, ogłoszeń, pochwał, żeby dostać nadzieję miejsca. Trzeba było chodzić, prosić, upokarzać się i żebrać prawie, żeby jego pracę przyjęto i zapłacono. Temu żebractwu i upokorzeniu, dodawało przykrości, dumne przyjęcie ludzi, którzy systematycznie, zawsze sobie z góry, bez delikatności postępują z tymi, którzy od nich jakiegokolwiek pomocy potrzebują.

— Przyjdź Waćpan jutro, — zobaczymy! odpowiadali protektorowie. A jak przyszło do prezentacyi, ileż to wejrzeń i zapytań kolących, palących biednego chłopca. Mama, papa, wuj, ciocia, kuzynkowie i dzieci z kolei,

oglądali go jak jaki mebel, który kupić mieli, jak konia na rynku.

— Nie podoba mi się, — mówiła ciocia, nie nosi kołnierzyków!

— Minę ma desperata, odzywała się matka i czoło zmarszczone.

— Czy gra w szachy? pytał ojciec.

— Za młody, decydował wuj, — czy był już gdzie na służbie?

— Chudy, pewno chorowity, lekcye nie będą regularne, dodawała troskliwa matka, na co nam tę chorobę i kłopot wprowadzać do domu.

I po tej piekielnej próbie odprawiali go z niczem do domu. A potem znowu potrzeba było chodzić, prosić, upokarzać się. — Dla jednych był za drogi, dla drugich za młody; ci chcieli Francuza, tamci Niemca, inni żeby umiał grać na fortepianie, malować olejno, tańcować, fechtować, i niewiem jeszcze wiele innych rzeczy, które w nim znaleźć żądali, jak dwadzieścia żelazek w jednych nożyka okładkach, — każdy go obracał, jak starą suknię na tandecie, a potem rzucał od siebie! Ale to były preludia tylko do życia pedagoga!

Samo życie! wy go sobie niewyobrażacie bogacze! Dobrze jest na takim miejscu dwunożnemu zwierzęciu, co w sobie duszy nieczuje, lecz człowiekowi z czuciem, z duszą — ach biada mu, biada! lepiej, lepiej sto razy koło młynskie obracać!!



Z początku to nic jeszcze, dzieci się boją i niby szanują, rodzice przynajmniej są grzeczni, wszyscy tylko patrzą, sledzą, co robi, jak robi. Czy rano wstaje, czy pisze co, czy się rozśmiał z kogo, czy spojrział na jaką pannę? czy przemówił do kogo z przedpokoju? — Ale powoli, gdy się z nim oswoją dzieci i rodzice, jak wróble ze straszylem — zaczyna się męka. Zaczyna się od liniowania papieru na rejestra, od nudnych deseników dla panienek, które na zimno rysować trzeba, za które mu płacą lodowatym dygiem. Potém wyprawują go do powiatowego miasta z podatkowemi pieniędźmi, krzywią się, że drogo kupił assygnaty; proszą go, aby postał przy obieraniu jabłek, nad przelewaniem wódki, żeby przepisał modlitewkę, mowę, czasem i całą książkę; posyłają go, szafują nim, posługują się jak *starą miotłą* i mają go za człowieka do wszystkiego, rozumiejąc, że tą pracą nudną i suchą, którą go obarczają, honor mu jeszcze robią. A spoufalwszy się już zupełnie, w nagrodę, że go czasem w dzień nierekreacyjny przymuszono stać w pluchotę, czatując na zajaca, lub na nędzną szkapie wygnano w pogoń za chartami, z poufałości, z przyjaźni, zaczynają mu ujmować pierwszych potrzeb życia, stawiają go w śpichlerzu, kiedy są goście, każą mu bawić kommisją, jeżeli jaka kiedy nadejdzie, nie sadzą go do stołu w dnie uroczyste, poją herbatą bez cukru,

karmią ostatkami pozawczorajszych półmisków, śmieją się z niego w oczy jemu, sama pani prosi go o podejmowanie kłębka, sam pan kręśli z pod niego odbiera! —

Nie liczyłbym tych biednych komarzyczych ukąszeń, gdyby w nich nie było umyślnego jadu i moralnego upokorzenia, posuniętego do tego stopnia, że pan Guwerner nigdy swojego zdania mieć nie może, a jeśli się kiedy dopomnieć o nie waży! — przyjmą to ruszaniem ramionami, podziwieniem, oburzeniami, i śmiechem!!

Więcej wam o tém męczeńskim życiu niepowiem, jeśliście go z tych kilku rysów niepojęli, już go nigdy nie pojmiecie.

O! ileż to razy, przez te gorzkie cztery lata płakał nad sobą Gustaw, jakże coraz dalej od niego odsuwało się szczęście, które w urojeniach dziecinnych, tak było blisko niego. Ileż to razy przez te cztery lata czyscowe zazdrościł bogaczom, którzy żyją spokojnie i nieumieją cenić téj drogiéj niezawisłości, téj niezawisłości, téj swobody życia, które do nich całkiem należy.

O! myślał sobie nie raz, Marynia i ja, przedzieleni jesteśmy na wieki! Cóż ona pocznie?

A od niej żadnej niebyło wieści, czasem tylko państwo Werner pisali do niego i dokładali: wszyscy cię ściskają serdecznie. Marynia w pierwszym tylko roku pisywała ukradkiem, potem przestała. Gustaw nosił jéj pierścioneł, jéj wstążkę różową, codzień się modlił za nią,



codzień ją wspominał, potem co tydzień, potem co miesiąc, potem czasem tylko, kiedy kwiatek, drzewo, zapach lub dźwięk znajomy, dawne mu czasy przypomniał.

Po czterech latach w pięknym dniu Czerwca wybrał się do Państwa Werner.

Byłoby dzieciństwem opisywać jego uczucia, na widok miejsc tak dawniej mu znajomych, tak lubych. Ta chwila odrodziła go na nowo dziecięciem, i cztery lata męki zatarła w pamięci, zdawało mu się, że jeszcze zbiera kwiatki na łące! Któż opisze te uczucia na widok miejsc znajomych, uczucia które zna każdy, nawet zwierzę. Jest w nich coś nadziemskiego, niepojętego, extasis poetyczna u najmniej poetycznych ludzi, łzy u najweselszych, śmiech u najsmutniejszych! O młodości! złoty wieku życia! człowiek kiedy cię już postradał, jeszcze żyje twojem wspomnieniem, i zjadłszy owoc obrany z łupiny, chciwie potem łupiny same zbiera po drodze! O młodości serca, o młode głowy! niech starzy gderzą i zbierają pieniądze, wasze pamiątki i rozkosze, droższe są od tamtych skarbów, one zostaną na ziemi, wy swoje poniesiecie do nieba. O młodości, dziedzictwo duszy, któż w szczęściu swoich łez niepożałował?

Któż otarłszy się między ludźmi, wspiąwszy się wysoko, niezrzuciłby swojej sukni i niezamienił na szarą kapotę ubogą, w której chodził za młodu po rodzinnej dolinie? powiedzcie lu-

dzie: jestże z was który, coby niezadrzał na samo imie młodości, coby nie wystawił w duszy swojej ołtarza jej pamiątkom? — Biada temu, kto niema wspomnień; bo przeszłość jest podporą, na której się idzie do przyszłości!

## XV.

### ODWIEDZINY.

To jest on brzeg szczęśliwy!  
Kochanowski, Fraszki Ks. II.

Któż tam zajechał przed ganek tą nędzną bryczyną? rzekł P. Werner, wyglądając oknem, pewno jakiś szlachcic z prośbą, albo Bernardyn po kweście, niechaj tam w sali poczeka. — Zapytajcie się, czego tam chce?

Służący poszedł i wrócił.

— To Pan Gustaw!

— Siostrzeniec mój! zawołała pocziwa pani Werner, rzucając pończochę.

— Pan Gustaw! mruknął Werner, poprawiając peruki. Pewno goły jak bizun przyjechał prosić pieniędzy! hm! powiedzcie mu tam, że jestem chory, że się widzieć nie mogę!

Gustaw wchodził właśnie i usłyszał te ostatnie słowa, serce jego oburzyło się, chciał uciec; lecz ciotka w tej chwili pochwyciła go



w objęcia i po macierzyńsku uściskawszy,  
— A jakże mi wyrósł mój Guciu! krzyknę-  
ła; jak wyładniał! Jakżem rada, że cię widzę!  
— Chodźże, chodź! odpocznij, a na długoś  
do nas przyjechał?

Na bardzo krótko, rzekł Gustaw, witając o-  
ziębłe pana Werner — dowiedzieć się tylko o  
ich zdrowiu i po tak długim niewidzeniu...

— Proszę siadać, przerwał Werner z niechę-  
cią i sam usiadłszy zaczął świstać i nogą tupać,  
co było znakiem jego gniewu.

— Jakże ci się Guciu powodzi? zapytała  
ciotka.

— Pracuję, odpowiedział, źle mi się wiedzie.

— Domysliłem się tego, rzekł po cichu pan  
Werner do siebie. Przyjechał prosić pieniędzy,  
ale zje diabła! —

Gustaw oglądając się w koło i czekając z bi-  
jącém sercem Maryni, roztargniony patrzył po  
wszystkich stronach.

— Gdzież jest brat Franciszek? zapytał, nie-  
śmiejąc o nią się dowiadywać.

On jak zawsze poluje, wróci zapewne wie-  
czorem.

— Zebyś widział, jak wyrósł i zmężniał,  
rzekł p. Werner, to nie tak jak ty blady, chu-  
dy, zuch chłopiec, krew z mlekiem, wesół,  
rumiany!

— Bo szczęśliwszy odemnie, rzekł Gustaw.

— Widocznie się do pieniędzy przymawia,

mruczał po cichu p. Werner, niecierpliwie szarpiąc perukę, ale ja nie niedam! kiedy jéjmość zechce, niech ofiaruje ze swoich! niedam, niedam!

— A panna Marjanna? zapytał Gustaw po chwili.

Tu p. Werner zamilkł i zmarszczył się, a pani Werner odpowiedziała:

— Właśnie dziś wyjechała z panią Ostrowską na jedne imieniny, zobaczysz ją jutro! ale co to za odmiana! Wcale nie wieśniaczka! była dwa lata na pensyi w Warszawie, jak gra na fortepianie, jak śpiewa, jak umie po francusku!!

— J ma już kawalera! rzekł pan Werner z przyciskiem. Gustaw się zarumienił i czapkę upuścił.

— Czy jednego? odpowiedziała matka. Byle tylko chciała!

— Czemuż niechce? rzekł zapominając się ojciec.

— Czy ja wiem? szepnęła po cichu matka. Gustaw milczał, lecz widział z téj małżeńskieć rozmowy, że państwo Werner niebyli już z sobą w zgodzie zupełnej jak dawniej i skryta wojna o dzieci wrzała w domu.

Cały wieczór p. Werner fajkę palił i perukę z ucha na ucho przeciągał, a pani Werner rozmawiała z Gustawem. O dziewiątej godzinie krzyk i hałas dał się słyszeć na dziedzińcu,



To Franuś powraca z polowania, rzekła matka po cichu, z westchnieniem, kiwając głową.

Pan Werner zadzwonił. Herbata i wieczera czy gotowe? krzyknął. Pan Franciszek wraca!

A pod oknami słyhać było szczekanie i skowyczenie psiarni. Pódz tu! Od konia! Tu Zagraj! Tu Dorskocz!! Potém w sieni klasnął z harapa p. Franciszek na psy, które go obskoczyły i słyhać było głos jego.

Tłucz czy gotowa? he? Tego łotra Antośka każe oćwiczyć! Kiedy wracam psy natychmiast tłuczę mieć powinny! A może i o baranich nóżkach zapomniał? Oćwiczyć Antośka i Pawełka!

Pani Werner ruszyła ramionami. P. Werner otworzył drzwi i rzekł:

— Oćwiczyć! Jak się masz Franciszku?

— Zaraz, zaraz papo, tylko tu jeszcze coś zadysponuję! I szepnął na ucho kilka słów dojeżdźaczowi, a potém, jak stał, obryzgany błotem, w ubiorze myśliwskim, w ciężkich butach, z trąbką i harapem, z dwóma nieodstępnymi chartami, wbiegł do sali. Uściskał ojca, uklonił się matce zdaleka i spojrzał na Gustawa, zmrużając oczy i podnosząc wąsy w milczeniu.

Gustaw się zbliżył.

— To Gustaw! szepnęła matka, czyś go niepoznał?

— Jak się masz? odezwał się Franciszek przez zęby i odwrócił się tyłem do niego.

Cały w płomieniach poeta rzucił się na krzesło.

— Maryniu! pomyślał, gdyby nie ty, noga by tu moja nie powstała! Lecz dla ciebie wszystko zniósę, nawet upokorzenie.

— Czemu herbaty niedają? rzekł ojciec kwaśno. Zadzwoń! A mówiłem o herbatę, czemuż nie dajecie? Pani Werner wstała sama i poszła. Franciszek rozwalił się na kanapie ze swemi dwoma chartami i ziewnął szeroko. Polowanie mi się nieudało, wszystkim psom każe w łeb postrzelać, a strzelców oćwiczyć!

— Warto, odpowiedział p. Werner, bo dla czegoż polowanie się nie udało? Tyś się znużył! Wypędź tych strzelców i kup psy lepsze!

— Za jedną chartkę, p. Trepsza chce 400 złotych, gdybyś mi dał ojczy pieniądze, kupiłbym ją.

— A jakże! trzeba kupić! odpowiedział ojciec; czemuż oni téj herbaty niedają?

— Eh! ci słudzy, rzekł Franuś, wszystkim-bym zęby powybił. Matka ich nadto pieści, na potem niebędą warci, i teraz bym żadnego z moich chartów nie dał za nich wszystkich. Wołoch! Chodź tu! Wołoch! skocz mi na kolana! o tak! pocałuj mnie! — I ściskając swego Wołocha, odezwał się do Gustawa:

— Jakże ci się bracie powodzi?

— Dobrze, odpowiedział Gustaw dumnie, dziękuję!



- Chorowałeś, żeś tak blady?
- Nie! taki zawsze jestem.
- Strzelasz? polujesz?
- Nigdy!
- Nigdy!! a cóż robisz? zapytał Franciszek z podziwieniem.
- Uczę się, pracuję.
- Polowanie to to praca! zawołał myśliwy, a reszta głupstwo, dzieciństwo, babstwo, mnichostwo! pojedziesz zemną jutro na polowanie?
- Niewiem.
- A! musisz zobaczyć, jak mój Wołoch chodzi, wszystkie charty siano za nim wożą. Zaproszę sąsiadów. Staniesz z fuzyą na łączce Daniłowej, to i charty będziesz widział i strzelić będzie można, bo to niezły przesmyk. Ale jak chybisz!! bracie, stęple cię nie miną.
- Tego delikacika to byście zabili, rzekł pan Werner.
- I! nic mu nie będzie, zawołał Franciszek śmiejąc się. Gadajże Gustawie! nu! co nowego, co śmiesznego? lubię śmiać się po polowaniu! no! Guciu!
- Nic nie wiem śmiesznego! odpowiedział Gustaw.
- Nudny jak Lukrecya, szepnął syn do ojca. Podano herbatę.
- Niewidziałeś Marysi, zawołał po chwili, zalewając się ponczem. Śliczna dziewczyna!

aż mi żal, że to moja siostra! jak łania dziewczyna! Wszakżeście się kiedyś podobno kochali, dodał śmiejąc się do rozpuku.

Oczy Gustawa zaiskrzyły się. P. Werner wyjrzał oknem, tupiąc nogą. Pani Werner rozlała herbatę. — Cóż! wszak tak? powtórzył Franuś.

— Jak siostra i brat! przebaknął niewyraźnie Gustaw.

— Oj nie! inaczej!! Jak kozioł i sarna, odpowiedział rad z konceptu, rycząc ze śmiechu, dowcipny braciszek. Tak! tak! było to coś! cha, cha! Gustaw zmięszany, już niewiedziały, co począć.

— Teraz jak ją zobaczysz, to cię diabli wezmą ze złości, żeś tak ubogi, kończył nielitościwy Franciszek; ale teraz niewiem, czy sobie dawne dziecinne miłości przypomni. Strasznie musisz być goły! Byłeś podobno guwernerem?

— Nie jestem ubogi, bo mam dosyć, odpowiedział Gustaw obrażony, i nikogo o nic nie proszę.

— Nie prosisz o nic, nikogo, o nic? podchwycił prędko P. Werner, biorąc go niby za słowo, nigdy nie prosisz? nie będziesz prosił?

— Nigdy!

— Pocciwy Gucio, rzekł wuj rozczulony, niechże cię uściskam, jakże się cieszę, że niczego nie potrzebujesz? jużem się lękał. —

— Dałem do stołu! zawołał służący.



XVI.

POLOWANIE.

— wolałem po gęstych dąbrowach  
Prędkie jelenie gonić, albo dzikie świnię,  
Anim ja sobie tego za niewczas poczytał,  
W budzie leśnej się przespać!

*Kochan. Odprawa Posł. Greck.*

**W** nocy śniło się Gustawowi, że był mężem Maryni, że uczył swoje dzieci, że siedzieli pod altaną bzów kwitnących, a nad nimi świecił księżyc i słowiki śpiewały. Piękny to był sen, lecz krótki. Nagle trzy harapy i dwie trąbki odezwały się koło jego łóżka, porwał się Gustaw i ujrzał przed sobą Franciszka ubranego jak do polowania.

— Wstawajże spiochu! krzyknął mu nad uchem, odprawując dwóch dojeżdźczaków z harapami, którzy mu tak skutecznie pomogli do obudzenia Gustawa. Jedziesz ze mną na polowanie; umyślnie dla ciebie kazałem się zebrać ludziom, choć wczoraj cały dzień latali, zaprosiłem sąsiadów na myśliwski obiad w lesie i ciebie tylko czekam. Ubieraj się, bo jak słońce zacznie przypiekać, a rosy nie będzie, psy niepogonią dobrze po suchem. Wiatr mamy

wyborny, sprowadziłem świeże gończe, fuzyą nagotowałem, bo swojej niemasz zapewne. No! marsz! marsz!

Gustaw wstawał rad nie rad, cóż było robić? Franciszek rzucił się na krzesło.

Czy się już niegniewasz na mnie Gustawie, za Ludwisię? rzekł po chwili ze śmiechem, ładnato była dziewczyna!

— Zapomniałem już o tém dawno! odpowiedział mu Gustaw.

Ja się z nią potem widziałem, dodał myśliwiec, kręcąc wąsy, wypiękniała, utyla, wystaw sobie była na jarmarku w Zelwie. Sliczna dziewczyna! A widziałeś terażniejszą służącą mojej siostry Agatkę? O! to książęcy kasek! sam ją tu wszrubowałem, choć się tego nikt nie domyśla. Niby sierota! coś takiego! Cha! cha! pan Trepsza dawał mi za nią sławną swoją charcicę, nie oddałem jej!

— Jesteś do niej przywiązany? rzekł szydersko Gustaw!

— Dosyc! bo téż to wesola, żwawa, rozkoszna, co to ona umie piosneczek! Jedyna, jedyna! Wyjrzał przez okno. No! ubieraj się prędzej, bo konie czekają, a słońce się podnosi jak na drożdżach; potem o Agatce, teraz do interessu, niegodzi się dla takiego dzieciństwa, tak wybranego tracić poranku.

I wyjechali na polowanie, które czytelnikom daruję, nie chcąc opisywać wszystkich awan-



turek myśliwskich, których się łatwo domyśli każdy, kto choć raz w życiu był na polowaniu. Bo tam zawsze téż same prawie wypadki, jednakowe żarty, tradycyjalnie podawane od pokoleń, pokoleniom o twardości skóry, gdy kto chybi, postrzeleniu, gdy trafi, i t. p. Gustaw jakimś przypadkiem zabił lisa, co mu zjednało wielką łaskę u Franciszka. Ale z całego polowania, najlepszy był wesoły obiadek myśliwców, nieoszacowanych czupiradeł, jakich rzadko można widzieć taką liczbę, tak dobraną. Był to cug z sześciu stworzeń złożony.

I. Pan Bonifacy stary szlachcic z starym brzuchem, który jeździł na polowanie, żeby miał okazją pić wódkę kilka razy, niepodając się w podejrzenie pijaństwa, i żeby chwalić się z zabitego raz w życiu łosia, o którym tyle razy mówił, ile tylko mógł. P. Bonifacemu brakło nie tylko piątój, ale zdaje się że nawet czwartój, trzeciój, drugiój i pierwszój klepki. Miał żonę i dzieci, ale o nich nigdy nie myślał, majątek, którym nie rządził, fuzyą, z której nie strzelał i dwie stare książki, których nigdy nie czytał. Umiał wszystkie przysłowia i dykteryjki, jakie kiedy plątające się po świecie mógł złapać, zagadki, koncepta, anegdotki, historyjki, które tak regularnie odmawiał, jak zegar kuranty. Zresztą pocziwy z kośćcami

człowiek, jak wszyscy poczciwi i dobrzy ludzie, co nawet głupstwa wielkiego zrobić niepotrafią.

II. Pan Trepsza, który miał sławną ową charcicę, ofiarowaną p. Franciszkowi w zamian za Agatkę. Stary szuler, stary kawaler, łgarz znamienity, burda, jakiego rzadko, myśliwiec zapalony, wążacz z wielkim, łysym łbem, w którym się dopiekała reszta łgarstw, jakie jeszcze miał w życiu swoim na świat wydać.

III. Pan Wincenty *koziół ofiarny* tego towarzystwa, nad którym się znęcano, jak chciano, zaczawszy od pstryczków, a skończywszy na grubych łajaniach i pośmiewisku; pokorny, malenki z szaremi oczyma, z tupetem ryżym na siwiejących włosach. Kawaler, wesoły, jak zaświadczał nos czerwony i gęba szeroka z odwalonemi wargami. Kiedy mu pstryczki w nos dawano, śmiał się, kiedy go łajano, gniewał się niby, i to w ówczas tylko, kiedy już koniecznie trzeba się było gniewać; ale bojąc się pojedyńku, jak piekła i przypomniawszy go sobie starał się wszelkiemi sposobami o zgodę. Zwyczajnie więc korzystano z tego i jedna i taż sama scena z malenkiemi waryacyami powtarzała się bardzo często z nim, jak tylko kilka osób się zebrało na tak zwane *wesołe myśliwskie towarzystwo*, którego jednak p. Wincenty nigdy nie opuszczał, choć bardzo dobrze wiedział, co go tam czekało. Czuł on swoje przeznaczenie i miał przy tém inne powody, gdyż pożyczal



wszystkim pieniądzy na zastawy, i niby nie nastroczając się, mógł tym sposobem, podać komuś myśl szczęśliwą, pożyczania u niego kilkudziesiąt dukatów. Skąpiec w najwyższym stopniu, podły, ale nieszkodliwy, bo nieśmiały, bojaźliwy, niespokojny i dosyć głupi, to jest troszeczkę rozumniejszy od P. Bonifacego.

*IV. i V.* Bracia Marmarki, dwa pieścioszki w zielonych merynosowych watowanych kamizelkach, w surdutach jednakowych, jednakowych czapkach i bótach jednostajnie podartych, z jednakowemi paciorkowemi cybuchami i piórkami do zębów, z jednakowemi fuzyami, jednakowemi głowami, dwa młodziuteńkie zera, zostające jeszcze pod opieką matczyną, mającą dożywocie na ich majątku. — Przyjaciele nierozzerwani.

*VI.* Pan Tryk, mający reputacyą dowcipu na cztery mile w około, w istocie niezmiernie złośliwy; lecz wcale nie dowcipny człowiek, gdyż jego sławne ucinki, zawsze były wyuczone, wysmażone, gorzkie, a niesmaczne. Umiał on po francuzku tyle, ile to zwykle uczeńsi organiści umiewają po łacinie jak wiejski pleban, po niemiecku trochę mniej od żyda, po polsku tyle, ile słudzy miejscy. Strzelał tak, że nigdy jak żyje nie trafił, pił za trzech, jadł za czterech, gadał za dziesięciu, a więcéj jeszcze śpiewał. Proszony czy nie, gdzie tylko był, choćby

przy łóżku umierającego, musiał się dobrać do jakiej gitary, otworzyć sobie fortepian i bijąc akorda, których połowy nieposłuszne palce wydać nie chciały, becząc swoje piosnki, czasem wesołe, częściej przez nos śpiewane, czułe o Filidzie, Damonie, Kloryndzie, Irydzie, Ewelinie, Koryllu i tym podobnych bohaterach, które wszystkie ekonomówny za arcydzieło sztuki najświeższe uważały i wzdychały nad niemi mocno. U ekonomowien też i drobniejszej szlachty sława jego dowcipu, rozumu, nauki, manier i znajomości świata, świeciła jak gwiazda.

Takie to było towarzystwo myśliwców, w którym Gustaw piekielne pół dnia nudzić się musiał; gdyż po południu dopiero powrócił do domu zmęczony, chory, a co najgorzej udręczony konceptami bez sensu, dowcipowaniem bez dowcipu towarzyszków swoich, którzy wiedząc o jego położeniu na świecie i ubóstwie, mieli sobie za rzecz arcychwalebną, żartować z niego, ile razy zręczność się podała, i pytać się go po sto razy dla dokuczenia: ile bierze pensyi za guwernerkę? Czy siada do stołu? i t. p.

Znudzony tém Gustaw, na ostatek odpowiedział im dość grubo:

— Wszyscy panowie, jak widzę, potrzebujecie guwenera, ale za żadne pieniądze świata nie podjąłbym się was uczyć. — Pół śmiechem, pół kwasem pokryto tę odpowiedź, ale wszyscy z niego bardzo byli niekontenci, i pan Tryk



którego dowcipu nie chwalił jak wszyscy, a francużczyzny na nieszczęście kilka razy niezrozumiał, i bracia Marmurki, którym mamunia zakazała wdawać się z hołotą, i P. Bonifacy, którego opowiadania o łosiu niedosłuchał i pan Wincenty, którego niechący broniąc rozjątrzył Gustaw, coś dwuznacznego o pieniądzech powiedziawszy i pan Treppa, którego charcicę zepchnął z kolan, właśnie gdy się na nich umiesciwszy, wygodnie do snu długiego zabierała. Franciszek wracał do domu tryumfujący, zabił lisa, którego powiesił na drzewie, bo skóra na nic się niezdawała i uszczuł dwa zajęce, które psy zjadły, a przytém naśmiał się do rozpuku.

— Zastaniem Marysię, Gustawie! rzekł zbliżając się do bramy z szyderskim uśmiechem. Serce Gustawa mocno bić zaczęło, ale Maryni jeszcze nie zastali.

## XVII.

### MARYNIA.

Nie za staraniem, ani przez mą sprawę  
Miła, po tobie znam taką postawę  
Szukaj, jako chcesz, nie znajdziesz przyczyny,  
Chyba, żeć miłszy podobno kto inny?

*Kochanowski. Ks. XV.*

**T**rzask bicza! Goście? Nie, nie goście!

— To Marynia!

Gustaw spłonął cały i wyszedł z innymi na ganek, Franciszek śmiejąc się szydersko, z oką go nie spuszczał.

Z daleka widać było kocz czterokonny, a w nim dwie kobiety w kapeluszach z kwiatami, strojne, wesoło rozmawiające. Furman powtórzył biczowe powitanie i pojazd zatoczył się przed ganek. Gustaw spojrzał i niepoznał Maryi.

Onaż to była, czy nie? Wysoka, blada, piękna jak anioł, wystrojona jak obraz cudowny.

Druga kobieta ospowata, czarna, wysoka, skoczyła za nią z pojazdu, poprawiając loki, przywitała się ze wszystkimi prędko, pochwyciła woreczek i torebkę z kocza i zaczęła gadać tak, jak młyn miele w czasie burzy, gadać bez oddechu, bez przestanku, oglądając się tylko, czy słuchają, pluąc w koło na ziemię, na niebo, na ludzi, zażywając tabakę i częstując nią w koło. Marynia niepoznała Gustawa, ukłoniła mu się zimno i dumnie, odwróciła do matki i zapytała:

— Kto to taki?

— To Gustaw!

— Niepoznałam, odpowiedziała, rumieniąc się trochę, a Gustawowi biednemu już się serce ścisnęło, widział, że był zapomniany, widział to po stroju, po spojrzeniu przeczuł.

— A! jak się ma pan Gustaw! odezwiała się Marynia, głosem słodkim i lodowatym, tak dawnośmy się niewidzieli!



— Dawno, jak gdyby nigdy! odpowiedział Gustaw smutnie. Marynia poszła się ubierać, za nią pani Ostrowska i Franciszek. Gustaw został smutny i przybity zimnem jój przyjęciem, został z rodzicami na ganku. Po chwili wziął kapelusz i czując łyzy w oczach, poszedł do ogrodu, pod te same bzy dawniejsze!

A w pokoju Maryni, gdzie przed zwierciadłem ziewając po całonocnym tańcu poprawiała loki, żywa była rozmowa. Franciszek siedział w krześle. P. Ostrowska chodziła po pokoju z tabaczką.

— Niepoznałaś Gustawa, mówił do Maryni brat ze śmiechem, a wszak to pierwszy kochanek?

— Dajże mi z nim pokój, odezwała się z gniewem siostra, u ciebie każdy moim kochankiem.

— Cóż to ten pan Franciszek niewymyśla, dodała pani Ostrowska, aby tylko gadać, któż zaś widział, wszak że to podobno cioteczny brat i ubogi.

— Jak turecki święty! odpowiedział Franciszek.

— Smutną też ma minę.

— A tobie, jak się, zdaje Maryniu? zapytał śmiejąc się znowu.

— Nieuważałam, zawołała prędko, widzę, że mi już nim myślisz dokuczać, proszę z góry dać temu pokój! Bo Mamie powiem.

— A cóż mi Mama zrobi? prawda Ostrosiu?

— Co mówiłeś?

— Prawda, że koń siwy zawsze jest starszy od gniadego, powtórzył, niby drwiąc Franciszek.

— Co? —

— Pytałem się: czy dobrzeście się na imieninach bawili.

— Ale jak! odpowiedziała pani Ostrowska ze zwykłą sobie szybkością. Wystaw sobie sto osób, lody, awantury, pióra, brylanty! awantury, tańce! I ja tańcowałam, słowem awantury!

— Któż to był tak szczęśliwy, że z panią tańczył? drwiąc ciągle, zapytał Franciszek. Ospowata i czarna pani Ostrowska odpowiedziała z krzywą miną:

— Wszyscy.

— Musiało braknąć kobiet?

Pani Ostrowska schwyciła się, dała klapsa Franciszkowi, pogroziła mu na nosie i wyjąwszy z woreczka karmelek zatabaczony, rozłamała go na dwoje, a mniejszą jego połowę dając Franciszkowi, rzekła z uśmiechem:

— Słodkiem za gorzkie płacę. —

— Bo jabym téż gorzkiego nieprzyjął, odpowiedział Franciszek. Lecz! ach! zapomniałem, dodał: wszak z rąk Pani wszystko słodkiem? I śmiał się, kręcił, paplał na wyścigi z niewygadaną p. Ostrowską, aż póki Marynia nie poprawiła ubrania, loków, sukni i nieoznajmiła, że się chce położyć, bo ją głowa boli. Wyszli, a ona obejrzawszy się tylko, pobiegła sama do ogrodu i jak-



by przeczuciem, trafiła na miejsce, w którym Gustaw smutny i zamyślony siedział, jak przed czterema laty!

## XVIII.

### PIOSENKA.

A mnie się zdało, że byłem wszystkim w niebie.  
Dziś inne wiatry przeciwko mnie wieją,  
Straciłem wszystko, razem i z nadzieją.

*Kochanowski. Ks. I. XV.*

Znaleźli się, stanęli, spojrzeli, i milczeli oboje. Ona zdjęła z szyi na wstążce zawieszony pierścionek ślubny matki Gustawa, on zdjął z palca obrączkę. I oddali je sobie nazad.

— A nasza miłość? rzekł Gustaw po cichu.

— Dzieciństwo! odpowiedziała Maryja.

— A nasze przysięgi?

— Nie pamiętam!

— Bądź zdrowa!

— Adieu!

I suknia jej znikła w krzakach, a głos z daleka inną już piosnkę zanucił, piosnkę wesołą, którą śpiewała Marynia odchodząc, szczęśliwa, że się pozbyła ostatniej pamiątki wiążącej ją z dawnym kochankiem.

Długo dzwięczyły w jego uszach słowa téj pieśni, a w sercu na zawsze zostały.

Chodź moj motylu, chodź moj skrzydlaty!  
Zapręgę ciebie! wień mnie wysoko!  
Lećmy na łąki, lećmy na kwiaty,  
Gdzie serce zachce, zapagnie oko,  
Przez wszystkie nieba, przez wszystkie światy,  
Nieś mnie daleko! nieś mnie wysoko!!!

XIX.

NAZAJUTRZ RANO.

W godzinie wszystko Bóg wywróci snadnie.  
*Kochanowski. Ks. I. XIV.*

Nazajutrz rano Gustaw wyjeżdżał, nie płacząc jak wprzody, blady, smutny, w niemój rozpacz. Żegnał się ze wszystkimi: Panna Marya siedziała w oknie i oskubywała wielki bukiet białego bzu, śpiewając znowu o motylu. I powóz już był przed gankiem, jeszcze go ciotka błogosławiła na drogę, a pieśń o motylu zawsze jednym głosem nucona, brzmiała w oknie nad jego głową.

Spójrzał, chciał choć jednego wejrzenia na całe życie, i tego nie dała Marynia, bo bukiet tak był wonny! możnaż było porzucić go dla



Gustawa? Matka posłała po nią, aby się po-  
żegnała z bratem. Jestem chora! odpowiedzia-  
ła posłańcowi, i nuciła ciągle!

Wyjechał, a w bramie jego nędzna bryczka  
spotkała wytworny koczyszek, karemi angielzowa-  
nemi końmi zaprzężony, w którym siedział  
przystojny, młody mężczyzna.

I widział jak Marynia wychyliła się z okna,  
jak on się jęj uklonił, a ona do jego koczyska rzu-  
ciła bukiet bzów, który trzymała w ręku.

Widział to, i pojechał!

## XX.

### O MIŁOŚNYCH PRZYSIĘGACH.

Zkąd tę niestałość białogłowy mają,  
Że się jako wiatr letni odmieniają?  
*Kochanowski. Ks. I. XV.*

— Ale co komu rzecze białogłowa,  
Pisz jęj na wietrze i na wodzie słowa.  
*tenże. Fraszki Ks. I.*

**T**u, zastanowić się musim nieco, nad rzeczą  
dotąd prawie nieroztrząsaną, a jednak wielkiej  
wagi będącą, nad miłośnemi przysięgami, ich  
świętością, wagą i trwałością. Zaczem proszę  
o chwilę cierpliwości, a zaręczam że długo mó-  
wić o tém nie będę, bo wiem, jakie to moim  
czytelnikom przykre może wzbudzić wspomnie-  
nia. Przysięgi te uważane są pospolicie w je-

dnym stopniu z temi, które codziennie z ust człowieka wychodzą, bez żadnego celu i wagi; i bardzo słusznie, bo w wszystkich przysięgach miłości, niema ani kropelki sensu! Można komuś przysiąc wierność, ale miłość!?. Ona wchodzi i wychodzi z serca niewiadomym sposobem, wzrost jej tylko nieco od człowieka zależy. Jest to rodzaj gorączki pochodzącej z przyczyn zewnętrznych i schodzącej podobnie. Można przysięgać, że będziemy całe życie mieli gorączkę? Przysiąc, że się będzie kochało, jest to przysięgać po pijanemu, że się nigdy nie wytrzeźwi, a wytrzeźwienie nie pytając człowieka, samo przychodzi z ustaniem przyczyny. Kiedy dwoje dzieci kocha się serdecznie, z całym ogniem swemu wiekowi właściwym, powinny sobie przysięgać, że się będą kochać, póki tylko będą mogli, nigdy, że się będą kochać zawsze, bo w takiej przysiędze niema sensu, jakeśmy tylko co dowiedli. Toż samo jest przysiąc komuś szacunek, bo ten także póty się tylko w sercu trzyma, póki nań ktoś zasługuje. Wierność jest zupełnie co innego, być wiernym zależy a przynajmniej powinno zależeć od człowieka, można więc przysiąc na wierność, ale nigdy na miłość i szacunek wieczny. Między erotologami wielkie jest i nierozwiązane pytanie, jak zadanie kwadratury koła. Od czasu królowej Bianki, do panny Scuder, nic stanowczego niemamy, nikt tego



gordyjskiego węzła nieprzeciał. Co zrobić, kiedy jedna strona kocha, a druga zapomniawszy przysięg, przestaje? Nasz wiek xix. łatwo na to odpowie. Naprzód przysięga złamana z jednej strony, drugą obowiązywać przestaje, a jeśli jej serce tak będzie uparte, że się odwiązać natychmiast niepotrafi, może sobie narzekać na niewiarę ludzką, co jest wielką osłodą w takim położeniu, kląć cały podstępny świat i zalewać się łzami, póki czas, to panaceum powszechne, nie zabije gorączki, lub człowieka.

A propos przysięg dodaję jeszcze, że Filip król Macedoński (którego mocno przepraszam, że go z grobu wyciągam) powiadał bardzo rozumnie, że dzieci cackami, a ludzie dorośli przysięgami się bawią. Jest to dosyć dobra zabawka, szkoda tylko, że się łamie tak często! Wieczne odpocznienie Filipowi Macedońskiemu!

## XXI.

Niemasz dziś, jedno kupcy a rataje!

*Kochanowski. Satyr.*

Gdzieby w ludziach nie było takiego starania,

O te biedne pieniądze!?

*Kochanowski. Satyr.*

**I** znowu powrócił Gustaw do miasta, chociaż miast niecierpiał, ich ruchu, ciasnoty, krzyku,

ciężkiej atmosfery, ludzi samolubow, kobiet bez wstydu, dzieci zestarzałych przed młodością, młodejzy moralnie umarłej przed dojrzaniem, zepsucia pod wszystkimi kształty, przedajności wszystkiego, zacząwszy od ciała, skończywszy na duszy. Lecz cóż począć było, poeta nie miał nawet kąta na szerokiej ziemi, gdzieby mógł marzyć spokojnie, nie miał drzew, którychby cień należał do niego, kwiatu, któryby mu kwitł i pachniał, musiał wracać do miasta, do murów, do steku ludzi i błota, bo miasto do każdego, należy kto mu zapłaci, wieś jest żoną wierną, miasto nierządnicą, wszystkich za pieniądze przyjmuje!

Serce Gustawa bolało nad Maryą, której wspomnienie niósł z sobą, niemogąc pogodzić dawnych pamiątek z teraźniejszą jej obojętnością. Kochał tamtą, Marję dawniejszą, z którą się połączył ślubem pocałunku, przy śpiewie słowika, pod kwitnącemi bzami; dla téj drugiej Maryi słusznej i bladój, był zimny. Szkoda mu było tamtéj, a tamta już umarła, tamtéj nie było już na świecie, tylko w sercu jego, i nigdzie nawet w niebie, nie miał jej zobaczyć. Tamta Marya była robaczkiem, z którego wyleciał i rozwinął się motyl, a w tym motylu nie było jednak nic dawniej postaci, nic dawniejszego, choć był tym samym robaczkiem. I ludzie zmieniają się jak motyle!



Lecz erotyczne smutki Gustawa rozbić się musiały o smutniejszą rzeczywistość nędzy, o konieczną potrzebę pracy dla życia. Sądził, że poświęcając się piśmiennictwu, literaturze, poezyi, będzie miał i z tego kawałek chleba, i w tej chwili rachował nieborak, wiele mu przynieść może jego święty zapał i gorące myśli poetyczne! Stawały mu tylko na przeszkodzie młodość i nieznajomość, jeszcze miał przed sobą do odbycia cały nowicyat autorski, zaczynający się krytyką mechanizmu, bez myśli i sensu, kończący się tryu młalnie papuziem pochwami głów cielőcych, nowicyat straszny, którym potrzeba przejść we wszystkich upokorzeniach i mortyfikacyach ciała i duszy, póki na uściech tłumu nie wypłynie nazwisko przyjęte oklaskami lub szyderstwem.

Gustaw w nocy, w chwilach zapału, pracował dla siebie, i dla sławy, w dzień dla pieniędzy. Tłómaczył artykuły gazeciarzom, poprawiał druk słowników, znosił najplugawsze ciężary literackie, żeby tylko żyć i część życia ulubionej pracy poświęcić. Lecz prędko postrzegł, że jego nadzieje sławy i pieniędzy, były marzeniem, jak wszystkie nadzieje.

Napisawszy pierwszą swoją książkę poezyi, Gustaw jednego ranka wybrał się z nią do księgarzy.

— Cóż to jest? zapytał pierwszy, krzywiąc długą bladą twarz swoją, zagryzając usta i ryżę zacierając bakombardy.

odrobiny czucia. Dla nich najpiękniejsza książka jest ta, co się najlepiej sprzedaje, słownikopisarz, kompilator dla nich jest śmietanką jeniuszów, bo jego karłowate robotki, najgęściej się sprzedają. Są to kupcy, kramarze i nic więcej, żaden prawie niezna się nawet na tém, co sprzedaje, a każdy ma sobie za obowiązek chwalić dzieła najdroższe. Rachować na nich, że wesprą talent i pomogą jego rozwinięciu, jest to sądzić, że kupiec będzie się troszczył o zasianie pola, kiedy bez tego, za pieniądze, gotowego zboża dostanie.

Najpocieszniejsze są płacone przez nich krytyki i pochwały, gdyż każdy księgarz ma zawsze osobistego nieprzyjaciela w drugim księgarzu, z którym walczy, gdzie się tylko spotka, jak pająk z pajakiem, jak szczupak z szczupakiem, każdy z nich utrzymuje, płaci, najmuje dniowo, tygodniowo, miesięcznie, rocznie, jednego z tych jenjuszów wałęsających się po świecie i szukających miejsca, który dla niego pisze prospekt, krytykę, dykcyonarz, tłómaczy romans, poezye, algebrę, botanikę, słowem, co mu każą, po rublu, dwa i trzy od arkusza według ugod, który gotów za trochę wyższą cenę podjąć się encyklopedyi, i sam wychodzące płody swojego *dowcipu* natychmiast artykułami nadesłanemi z podpisem X. Z. M. B. L. R. J. S. i t. p., wynosi pod niebiosą. Bardzo słusznie!



bo któżby się domyślił chwalić go, gdyby on zapobiegając obojętności, sam tego nie uczynił.

Po długich próbach, Gustaw bezsilną ręką rzucił rękopisma o stół i powiedział sobie: będę pisał dla siebie, jeśli świat zechce, niech sam weźmie, niebędę rzucał mu w oczy pracy mojej i napierał się z nią. Lepiej się stało, bo nie wstyd oddać światu swoją duszę i talenta, lecz podle dosyć, sprzedawać tak siebie po kawałku. I to jest prostytutuya.

## XXII.

### STARUSZKA.

Nie porzucaj nadzieje  
Jakoć się kolwiek dzieje,  
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,  
A po złej chwili, piękny dzień przychodzi.  
Patrzaj teraz na lasy.  
Jako przez zimne czasy,  
Wszystką swą krąse drzewa utraciły,  
A śniegi pola wysoko przykryły!  
Po chwili wiosna przyjdzie,  
Ten śnieg znienagła zyjdzie,  
A ziemia, słońce skoro jęj zagrzeję  
Wrozliczne barwy znouu się odzieje.

*Kochan. ks. II. 11.*

Wypróbawwszy więc, że i sławy mieć niemożna bez pieniędzy, Gustaw ostatkiem już goniąc, miał wyjeżdżać znouu na wieś, na ten nudny obowiązek pedagoga, któren zjadł życie utalentowanych ludzi, niemających, dla zatrud-

nień machinalnego bakałarstwa, czasu do innej pracy. Lecz jednego ranka galonowany lokaj przyniósł mu bilet z adresem mieszkania Hrabini N. do której proszono, aby się udał natychmiast. Nie pojmując co by to znaczyło i nie lubiąc panów, rzucił bilet z dziewięć punktową koroną na stolik i ubrawszy się z dosyć kwaśną miną, poszedł do pani Hrabini.

Puszczono go natychmiast i w kilka minut, wyszła do niego staruszka też sama, której uratował życie, kiedy ją pojazd miał rozjechać. Taż sama, ale jeszcze bardziej pochylona wiekiem, z trąbką akustyczną w ręku i uśmiechem na ustach.

Przecież cię znalazłam, moje dziecię, zawołała natychmiast, zobaczywszy go i ściskając po macierzyńsku. Miałam i mam dług wdzięczności dla Waćpana, uratowałeś mi kawałek życia, które się jeszcze trochę weselsze miało zrobić na starość! Widzisz! jestem bogata, wygrałam mój proces z dziećmi!

— Z dziećmi! zawołał Gustaw.

— Tak, tak z rodzonemi córkami i synem, którzy mi kawałka chleba na starość pożalowali, niech im Bóg tego niepamięta! Siadajże, mój chłopcze i bądź u mnie jak w domu!

A modliłeś się ty do mego patrona?

Gustaw był zarumieniony i zmięszany, staruszka wesół, usiadła sama i kazała mu w krótkości opowiedzieć sobie jego los i życie i dała



sze nadzieje, które on jak mógł najlakoniczniej, przez trąbkę do ucha jej wrzucił. Kiwała głową.

— Znałam pp. Werner i s. p. rodziców Wać pana, znałam! stracili majątek na posesyach, gradobicia, pożary, nieurodzaje! a Wcpan sam jeden z dzieci zostałeś?

— Sam jeden.

— I tak cię opuścili krewni?

— Niemam im tego za złe, zdaje się zawsze ludziom, że najlepiej robią, kiedy o sobie tylko myślą.

— Prawda, moje dziecię, takich najwięcej, ale Bóg dobry. Przyjdź do mnie jutro, moje serce, koniecznie przyjdź, bardzo proszę, długom się ja Waćpana naszukała, bo mi ten dług ciążył.

— Żaden dług — to było moim obowiązkiem.

— A moim jest wdzięczność, odpowiedziała staruszka, przyjdź jutro o téj porze, przyjdź, moje serce.

— Moje życie, pomyślał Gustaw, zaczyna być podobne, do powieści moralnej Marmon-tela. —

Otóż i rozwiązanie! Nagroda niezawodna, za rzecz, która się niepowinna nagradzać, bo tego nie warta. W powieściach tylko wolno moralistom, których opowiadanie niczego nie dowodzi, jak wszystko, co jest dowolnie wymyślone, w powieściach tylko wolno im dzieci zachęcać do cnoty nagrodą. Ale w rzeczy samej

i to, jak wiele innych świata tego rzeczy, nie-  
ma sensu. Cnotę potrzeba wypełniać dla cno-  
ty, nie w myśli nagrody, inaczej będzie to pro-  
sta sprzedaż — ja ci to — ty mnie to, i kwita!  
Jeśli staruszka zechce mnie nagrodzić, nieprzyj-  
mę tego, pomyślał, raz, że ratunek, którym jej  
przyniósł nie wart jest tego, drugi raz, że uczyn-  
ki z serca pochodzące, sercem się płacić po-  
winny. Dała mi swego patrona — czyż niedo-  
syć?

Ale nazajutrz rano poszedł do staruszki, któ-  
ra z pończochą w ręku, czekała już na niego,  
przed nią leżał papier bielejący z daleka na  
stoliku i jakiś Jegomość rumiany i tłusty cho-  
dził po pokoju. Poznał go Gustaw — był to  
ten sam prawnik, który mu odradzał naukę  
prawa. Przywitano się, usiadł. Po chwili  
obojętnej rozmowy, staruszka wzięła papier ze  
stolika i oddała go Gustawowi.

— Moje dziecię, rzekła, tyś jeden w mojem  
życiu pokazał mi, że ludzie czynią czasem do-  
brze z serca i nie są wszyscy zepsuci. Dałeś  
mi życie, którego i w ówczas i teraz nie ceni-  
łam, ale znam jednak wartość twojego uczynku.  
Bóg oddał mi bogactwo, bez którego bym się  
była obeszła, dla tego, żebym ci choć cząstkę  
długu oddała.

Gustaw nie zajrzawszy do papieru, położył  
go na stole i całując rękę staruszki, te słowa  
powiedział do niej powoli. —



— Mój uczynek nie wart jest nagrody, a co uczyniłem z serca, to się sercem zapłaciło. Jakakolwiek jest ta nagroda, ja jej przyjąć nie mogę.

— Musisz przyjąć, kochanku, przerwała starszka, ja na starość nic nie potrzebuję, moje dzieci mają dosyć. — Będę mieszkać przy tobie. Weź, weź, mój drogi! bardzobyś mnie zmartwił. Dowiadywałam się o tobie, jesteś ubogi, pocziwy i pracowity, — weź to nie jak odemnie, ale jak od Boga.

Przerwał im jurysta, który oparłszy się o stół kiwał głową.

— Dzieciństwem byłoby, rzekł do Gustawa, gdybyś Waćpan miał odmawiać tego dobrowolnego daru, który go może uczynić niezawisłym i szczęśliwym na całe życie. Jeśli cię delikatność wstrzymuje, dodam że dzieci pani Hrabini na ten dar chętnie zezwoliły, gdyż proces ich z matką przegrany, nic im nie ujął, lub bardzo małą część z tego, co niesprawiedliwie posiadały: rade więc są, że się tą ofiarą okupiły od gorszych daleko skutków, któreby poszły za całkowitem spełnieniem dekretu.

Gdy jurysta tak mówił, oczy głuchej starszki biegały to na niego, to na Gustawa, chciała widzieć z jednego, co mówił, z drugiego, jaki to na nim skutek czyniło.

Wreszcie pochwyciła.

— Musisz przyjąć, przyjmiesz! Będiesz sobie

żyć spokojnie, czytać, i pisać, bo słyszałam, że to lubisz. Będiesz miał wieś, wszak nie lubisz miasta? wieś w pięknem położeniu. — Ożenisz się, i przynajmniej zamkniesz mi oczy, a może zapłaczesz po mnie, czego dzieci pewno nie zrobią, choć Bóg widzi, żem im tylko dobre czyniła, a one mi się najczarniejszą wypłaciły niewdzięcznością. Niech im to Bóg przebaczy, jak ja ludzkiej ich słabości przepuściłam i zapomniałam!

Gustaw milczał i spuścił oczy, serce jego połechtala nadzieja szczęścia, sławy, spokojnego życia na wsi — i już się mniej, a potem nic nie wymawiał. Staruszka była uszczęśliwiona, ścisłała go i błogosławiła. Jurysta kłaniał mu się nisko i świat trochę weselszy zdawał się przez chwilę poecie, bo już jego marzenia podsycone rzeczywistością, jak balon gazu płomieniem, pięły się do góry i świat obejmowały lubieżnym uściskiem. —

Ale jeszcze szczegółów tego daru niewiedziało. Po śniadaniu dopiero, jurysta rozwiniawszy papier, czytał akt, wieczystodarowny majątku Wasilkowa z przyległościami, *cum lasis, boris gais, dombrovibus, silvis, pratis, tugis, fluminibus molendinis etc. etc.* Złożywszy papier, dodał, że ten majątek kupiony był przez męża Pani Hrabini za 500,000 złotych, że na nim niema żadnego ciężaru, długu, summ hipotekowanych, zapisów, procesu, kwestyi o granice; że gospodarstwo



jest znacznie podniesione przez dawnego właściciela, że possesor płaci z niego trzydzieści kilka tysięcy złotych, że położenie majątku jest cudowne, ogród, dom mieszkalny, — wszystko, czego tylko żądać można — znajduje się. Dodał nareście, że prosi o przyjęcie połowy rocznej dzierzawy, u niego złożonej.

Gustaw w strasznym był kłopotcie, niewiedział, jak dziękować staruszce, która zdawała się więcej uradowana od niego.

— Jak tylko rok dzierzawy ostatni upłynie, powiedziała, obejmiesz zapewne majątek na siebie, a tym czasem będziemy mieszkać w mieście.

— Jak każesz! odpowiedział Gustaw.

— Jak chcesz! odpowiedziała staruszka. Tym czasem najmięj mieszkanie blisko, albo w tym samym domu, moje dziecię i użyj choć cokolwiek majątku. Lubisz książki, naukę, ja ci zrobię znajomości po świecie, powinieneś się ożenić, koniecznie się ożenić. Będziecie mieszkać przy mnie i wami się przynajmniej pocieszę. Tymczasem zostaw mnie samą, bo mam pacierze do odmówienia i idź odpocznij.

Gustaw wyleciał na ulicę, zawsze myśląc, że mu się śni ta nagła zmiana położenia. Przyszła mu na myśl Marya, ale przypomniawszy sobie jej zimne przyjęcie, spuścił głowę na piersi, westchnął i pomyślał: — Moja Marya umarła! —

Przerwał mu te myśli, lekarz Adam, który

już wiedząc o tém zdarzeniu, o którym całe miasto gadało, chwycił go i uściśnął —

— Winszuję ci, rzekł śmiejąc się wesoło. — Śmiałem się z ciebie, gdyś tę staruszkę wyrażował, lecz to ci szczęście przyniosło. Odtąd będę utrzymywał, że niema lepszój rachuby jak chodzić po ulicach, i ludzi z pod koni ratować.

Drugi i trzeci znajomy, wpadli potem na Gustawa z powinszowaniami, każdy mu patrzył w oczy, chcąc widzieć zmianę losu na jego twarzy, ale twarz jego była smutna, bo sobie przypominał Maryą.

### XXIII.

## ZEMSTA.

Za jednego krzywdę,

Oni się wszyscy wzięli.

KOCHANOWSKI. odpr. pośl. Greckich,

**K**iedy Gustaw opowiedział staruszcze całe swoje życie i swoją miłość dla Maryi i swoje przyjęcie ostatnie i charakter pana Werner, i wypadek, który go wygnał z ich domu; podniosła się na kanapie, oczy jej zaświeciły i zawołała.

— Teraz pojedziesz do nich, weźmiesz kocz nowy, kupisz konie, ubierzesz się jak najwytworniej. —

— Po cóż? zapytał Gustaw, ja Maryi nie chcę! —



— Ani ja dla ciebie! odpowiedziała staruszka, ale potrzeba, żebyś ich trochę nawzajem upokorzył, ich, co cię tak dumnie przyjęli, potrzeba żebyś im pokazał, że jesteś bogatszy od nich, że nie niepotrzebujesz, potrzeba żebyś im pozawoził prezenta, gdyż tym ludziom, jak widzę, prócz jednej pani Werner, prezentami można zapłacić, a sercem nie warto! Pojedziesz o! pojedziesz do nich! I to co najprędzej!

Zadzwonila zaraz, cała zajęta myślą wyprawienia go do nich, wprzód nim tam wieść doleci o jego z bogaceniu. Cały dom był w ruchu. —

— Jutro, zaraz jutro pojedziesz, wołała staruszka, dając rozkazy. Poczyniono przygotowania do drogi, ona sama wybierała liberyą, konie, pojazd, płaciła i przepłacała, ciesząc się tą małą zemstą i przepychem Gustawa, do którego co dzień mocniej się przywiązywała. Łatwo się to daje tłómaczyć, kobieta a sama jedna, ujęta jego wdzięcznością, nadskakiwaniem, łagodnym charakterem, rozplywała się we łzach mówiąc o nim, i o nim tylko dnie i noce myślała. Co dzień jakiś nowy dar, cacka, strój, dowodziły téj nieustannéj pamięci. A gdy przyszło go pomścić, jakże się całym sercem wzięła do téj niewinnéj zemsty, jakże go ustroiła i obsypała wszystkim, co może mieć wartość w oczach ludzi, którzy tylko złoto i bogatych cenią i szanują.

mu nareście na wyjeźdźnym, nie baw się długo, choć wiem pewno, że cię teraz zatrzymywać będą. Wracaj prędko, bo stary niewie dnia ani godziny, a zawsze się śmierci spodziewa! Chciałabym, żebyś mi oczy zamknął.

Gustawowi lzy w oczach stanęły, gdy do pojazdu siadał.

---

## XXIV.

### DRUGIE ODWIEDZINY.

---

A ci co z tobą teraz przestawają,  
Twój się fortunie, nie tobie kłaniają.

*Kochanowski. ks. II. III.*

— **A** ja w szlafroku! krzyknął pan Werner, porywając się z kanapy i biegąc się przebrać, zobaczywszy przez okno świeży kocz czterema pięknymi końmi zaprzężony, zajeżdżający szumnie przed ganek.

— Któż to jest? zawołała pani Ostrowska, nieznajomy ekwipaż. — To gość zdaleka!

— Nie rozumiem! przebaknęła Marynia, przyglądając się powozowi, uśmiechając do siebie i myśląc: — pewno do mnie przyjechał!

Pani Werner prędko kazała pościagać kapki z krzeseł, pył pościerać i zdjąć serwetę od kawy. Lokaje biegli się dowiedzieć, kto to taki. Pan Werner aż dwóch posłał, oba przybyli z wiadomością: — pan Gustaw! —



— Poszaleli! czy co? krzyknął stary, kręcąc peruką: pan Gustaw! takim koczem z liberyą! takimi końmi! osły!

Tenże sam głos dał się słyszeć w salonie! — To być niemoże! to być nie może! Marya niepokojna trzęsła głową i patrzyła w zwierciadło, nienkontentowana tą wiadomością. Pani Ostrowska szastając się po salonie z tabakierką, wypytywała się, czy to ten sam, co był niedawno?

— Ale to być nie może! zawołali wszyscy nareście! — I wtój chwili otworzyły się drzwi, a Gustaw wytwornie ubrany, śmiałym krokiem mocno jednak zarumieniwszy się, wszedł do salonu. Pan Werner stał na progu drugiego pokoju w nowym fraku, przyczepiając dewizki do zegarka, i zobaczywszy Gustawa, a za nim zamykające się drzwi, poszedł się rozebrać. — Pani Werner przyjęła go czule, ale trochę zmieszana, Marya zimno, obojętnie, a dla odstręczenia od siebie trochę pogardliwie. Pani Ostrowska z wytrzeszczonemi ciekawie oczyma.

Wszedł nareście P. Werner w szlafroku i zimno Gustawa przywitał. Potem pobiegł do okna spojrzeć na pojazd.

— Śliczny ekwipaż! Czyjże to Gustawie? zapytał.

— Mój! odpowiedział Gustaw zimno.

— Twój? zakrzyknął zdziwiony, odwracając się szybko od okna, a wszyscy spojrzeli po sobie. —

— Cóż, z kądże to? wygrałeś w karty? co?

— Nigdy nie gram! odpowiedział Gustaw, kupilem go.

— Ale z kądże wzięłeś pieniędzy? zapytał niecierpliwie P. Werner.

— Mając taki, jak ja mam majątek, coś dziwnego, że mam kocz i konie! — podziwienie wszystkich rosło. Milczeli.

— Ale z kądże znów masz majątek? zapytał Werner, jeśli sukcessya jaka, to i mojej żonie przypada połowa. — A możesz się?

— Nie, nie jest to ani spadku, ani ożenienia skutkiem, odpowiedział Gustaw powoli, patrząc na Maryą, która wielkimi oczyma, patrzyła także na niego. — Sądziłem, że to być musi od dawna wujowi i cioci wiadomo?

— Cóż? ale coś takiego? zawołali P. Werner z podziwieniem, pani Werner z radością.

— Niema nic ciekawego, to później opowiem, rzekł Gustaw niedbale, wszak wuj pozwoli mi przenocować? Pan Werner już dzwonił z całej siły.

— A jakże, jakże, kochany Guciu, konie do stajni! I wszyscy poruszyli się, szepcząc do siebie, ruszając ramionami, niepójmując nic jeszcze; Gustaw zimny, obojętny, chodził po salonie i nie patrzył nawet na Maryą, która zaczynała już być obrażoną jego obojętnością, wprzód tak usilnie pożądaną. —

— I jakże to było? i co to było? rzekł pan



Werner natychmiast wracając. Powiedźże nam to, Guciu, jesteśmy ciekawi, cieszym się twojem szczęściem, mocno się cieszym. —

— Było to tak, odpowiedział nareście Gustaw głośno i powoli: — Wyratowałem na ulicy od roztratowania końmi ubogą staruszkę, tą staruszką była Hrabina N. która wygrawszy proces z dziećmi, zapisała mi darem majątek Wasilków.

— Wasilków! krzyknął pan Werner, chwytając się za perukę. Na Boga! pszenne grunta, rzeka! staw! 40,000 intraty przy dobrym gospodarstwie! E! toś ty bogatszy od nas!

I stał osłupiały. — Marya wyszła z pokoju. Pani Ostrowska już Gustawa częstowała tabaczką, pani Werner go ścisłała, a pan Werner ruszał ramionami, chodził po pokoju i myślał sobie: — gdybym był wiedział, byłbym tam Franciszka posłał na ratunek.

— A gdzież jest brat Franciszek? zapytał Gustaw.

— Na polowaniu! odpowiedziała matka.

Potém rozmowa powolna i żywa na przemian tysiąc pytań, odpowiedzi, powieści, śmiechu i wszystkiego tam było przez wieczór, póki się nie wtoczył Franciszek ze swoim towarzystwem myśliwskim. Słysząc go było zdaleka, a pan Werner był jak na gorących węglach, lękając się żeby zimnem przyjęciem Franciszek nie obrazil nowego bogacza. — Bo myślał sobie,

kto wie? blady, chudy, może umrzeć bezdzietnie, my najbliżsi krewni! kto wie?! I tak ten samolub już swoje korzyści rachował w szczęściu Gustawa, już myślał, jak mu się przypochlebić, już dumał nad wymyśleniem pretensyi do niego za utrzymanie, za kosztą wychowania i. t. d. jak ci wszyscy, co się nigdy cudzém szczęściem inaczej cieszyć nie umieją, jak wyciągając z niego dla siebie korzyści i widoki!

Franciszek nie sam był jeden; — bracia Marmurki, pan Bonifacy i pan Trepsza, towarzyszyli mu. Z trzaskiem otworzyli drzwi salonu, a każdy z nich niósł w ręku zająca. —

— Ot to! polowanie! — wykrzyknął w chodząc Franciszek, charty nasze popisały się należycie, trzy godziny, trzy zające.

— A moja chartka, rzekł pan Trepsza, zawsze była na przedzie, i wodziła tylko resztę psów za sobą.

— Co to zające!! odezwał się pan Bonifacy, łось, to zwierzyzna. W roku 1812 — było to w jesieni. —

— Ubiłeś łosia! — przerwał mu Franciszek, wiemy o tém dobrze. I zaczęli się witać wszyscy. Bracia Marmurki ukłonili się jednakowo i oba razem wszystkim, w takt jak dwie lalki poruszone jedną sprężyną, siedli obok siebie jednakowo się trzymając, milcząc, wyprężeni jak struny, uśmiechając się tylko za wspólną zgodą



do p. Ostrowskiej, która wzięła na siebie obowiązki zabawiania ich.

Ojciec porwał Franciszka nieznacznie na stronę. —

— Czemu się nie witasz z Gustawem, rzekł mu na ucho. — Gustaw tu jest. — Osobliwszym przypadkiem stał się bogatym, ma pół miliona majątku. Bądźże grzeczny dla niego. —

— Ożenił się?

— I nie, potem ci to opowiem, rzekł ojciec, idź, idź się przywitaj! tylko serdecznie!

Franciszek, nie w ciemność go bito, skoczył tak namiętnie ścisnąć braciśka, że mało go nie udusił. —

— A! jakem szczęśliwy, że cię widzę! jakże ci zdrowie służy? Utyłeś zdaje mi się? ślicznie wyglądasz, siadajże, proszę!

Wszyscy posiadali, patrząc z podziwieniem na to, a pan Bonifacy odezwał się po cichu do p. Trepszy: —

— Wszak to ten hołysz, co to był na polowaniu?

— Ten sam hołysz, co moją chartkę zepchnął z kolan; jakiś fanatyk! odpowiedział p. Trepsza.

— Miljonowy pan! przerwała im po cichu, przysuwając się p. Ostrowska, czy nie wiecie? a! to awantura arabska! scena! ratował z pod koni na ulicy jakąś Hrabinię i ta darowała mu

ogromny majątek! a! awantury! ktoby się to spodziewał!

— Jemu? zapytał p Trepsza.

— Tak, jemu!

— A! rozumiem! odpowiedział pan Bonifacy, musiał — i kiwnął głową, dając do zrozumienia panu Trepszy, z czego to zbogacenie powstać mogło. —

— A! Broń Boże! przerwała p. Ostrowska. Waćpanowie to zaraz takie niegodziwe podejrzenia wymyślicie. — To siedemdziesiąt letnia kobieta!

— Bywają przykłady! odpowiedział pan Bonifacy, wiem właśnie jedną anegdotkę stósowną.

— Daj temu pokój! — rzekł Trepsza niecierpliwie, ot lepiej zaproponujmy mu wista. Możemy go ograć. — Z rozegranej wyniknie faraonik; — trzeba łyka drzeć. I zaraz rozpierzchowawszy talję kart, podał Gustawowi cztery jak zwykle do wyboru.

— Ja nie grywam nigdy, rzekł Gustaw, długie ubóstwo nauczyło mnie oszczędności, — nie było co przegrywać, teraz nie umiem.

— Ale jakto nie umieć, rzekł nalegając pan Trepsza, dla kompanii! dla kompanii! to może jaką inną grę — na prawo na lewo — to bardzo łatwo, a wieczór tak długi.

— W tym domu, rzekł Gustaw z uśmiechem będzie mi się pewno bardzo krótki wydawał.



Odstąpił przecie natręt, lecz mimo tego założył banczek w nadziei, że się Gustaw do niego później przyłączy; — bardzo się na tém omylił. W położeniu Gustawa to było najśmieszniejsze, że nie bardzo jeszcze dawno, w tym samym domu, od tych samych osób, pogardzony, zapomniany siedział w kącie; teraz w jego osobie, oddawano podły hołd złotu, które do niego przyszło. O ludzie! pomyślał, o głupcy! trzeba być ubogim, ażeby poznać podłość waszą i nędzne rachuby, kryjące się pod zimnemi pozorami grzeczności. Teraz już mnie nie oszukacie, wiem, ile wam wierzyć!

Ku wieczery przyszła i Marya, w bardzo złym humorze, do salonu. Skarzyła się na ból głowy i nie chciała grać na fortepianie. Franciszek uczynny ciągle ją zbliżał do Gustawa i żartował z nich; ojciec teraz już życzący go sobie całem sercem za zięcia, przypominał im wszystkie dzieje młodości, lecz oni oboje byli obojętni, — nic ich już nie wiązało. Nareszcie niby przypadkiem zostawiono ich samych przy fortepianie. Marya patrzyła w okno, Gustaw na salę — nagle obudził go z dumania dźwięk cichy fortepianu. Była to nota bardzo mu znajoma, téj dawnéj dziecinnéj ich piosenki.

O mój aniele, pojdziem połączeni

Przez świat i życie, rozkosz i boleści,

Jak powój, co się na dębie zieleni,

I miękkim listkiem korę jego pieści!

Jak dwie łzy oczu, dwa piersi westchnienia,  
Razem do życia i świata skończenia.  
Ty ze mną zawsze, ja zawsze przy tobie,  
Na świecie, w niebie i w grobie!!

O mój aniele pójdziem połączeni,  
Przez świat ten zimny, przez życie bez celu,  
Przez burze lata i wichry jesieni,  
Razem méj duszy luby przyjacielu,  
Jak dwie łzy oczu, dwa piersi westchnienia  
Razem! o razem do świata skończenia,  
Ty zemną zawsze, ja zawsze przy tobie,  
Na świecie, w niebie, i w grobie!

I coraz ciszej, ustała piosnka i westchnienie  
Maryi zakończyło ją, a Gustaw mimowolnie w  
przeszłość przeniesiony, uniósł się ze łzą w oku  
w krainę marzeń i w niej zobaczył pierwszy  
pocałunek i dawną Maryą swoją. — Lecz spoj-  
rzał tylko — i urok pękł od razu — nie by-  
ła to Marya z pod bzów kwitnących! Zbli-  
żył się do fortepianu i jedną ręką po cichu, za-  
grał na odpowiedź wesołą pieśń drugą. —

Chodź mój motylu, chodź mój skrzydlaty.  
Zaprzęgam ciebie, wieź mnie wysoko!  
Lećmy na łąki, lećmy na kwiaty,  
Gdzie zechce serce, upatrzy oko,  
Przez wszystkie nieba, przez wszystkie światy,  
Nieś mnie daleko, nieś mnie wysoko!



Marya od pierwszego uderzenia w klawisze porwała się szybko, spójrzała i odstała od fortepianu. — Zrozumiała ona dobrze tajemną rozmowę, — poszła do okna i dumać zaczęła.

Teraz w jej sercu kobiecem, obudziła się miłość wzgardzona. Póki jej żądał biedny Gustaw, nie było — teraz kiedy ją odpychał, wzrastała ze zgasłych popiołów. — Nie przypuszczam, niechęć wierzyć, boję się wnioskować, aby podły pociąg do złota, skierował sercem, lub postacią uczuć Maryi, jeśli w niej uczuć nie było już wcale. Postępowanie jej mogło być tylko zwykłą kobiecą naturze sprzecznością, a trudno też zaprzeczyć, choć smutno wyznać, że prze-pych i powierzchowność, niewiadomym, magnetycznym sposobem często na uczucia tej natury wpływa. — Rozeszli się więc po tej muzykalnej rozmowie, nie tak obojętni, jak trochę rozgniewani na siebie, a bardziej jeszcze zgody pragnący. Poznał Gustaw obudzające się w Maryi uczucie, i już powoli zaczął w niej upatrywać podobieństwo i tożsamość z dawną Maryą swoją, tak dalece biedny, potrzebował drugiego młodego serca, któreby sercu jego biciem i uczuciem odpowiedzieć mogło.

Cóż to jest, żeście z Maryą tak na zimno? rzekł mu Franciszek cicho, — czy się gniewacie?

— O! bynajmniej, odpowiedział Gustaw, lecz mogłeś uważać, że tak samo było i za pierwszą razą, kiedy tu był.

Franciszek zagryzł usta. — Goście grali w karty. Ty nie grasz? zapytał Gustawa pan Werner.

— Nigdy!

— Bardzo dobrze robisz, mogłoby to wejść w nałóg, często powtarzam Franciszkowi, że nic gorszego nad karty! Gustaw się uśmiechnął, pewny będąc, że wszystko, co teraz zrobi, będzie zawsze najlepszem. Chciał sam jeden podumać, ale mu niedano chwili spokojnej, wszyscy się go z kolei czepiali, a on uśmiechał się szydersko, widząc te nadskakiwania osobliwsze. Nawet pan Trepsza gadał z nim o polowaniu, nawet pan Bonifacy cztery razy opowiedział mu, jak zabił łosia w 1812. roku, nawet bracia Marmurki kłaniali mu się z uśmiechem, nawet pani Ostrowska ciągle powtarzając awantury, sceny, częstowała go tabaczką i opowiedziała mu z rzadką wytrwałością i ciągiem niezwykłym jej rozmowom, całą historią powszechną okolicy. I ona biedna chciała go usidlić, jeśli nie twarzą, na którą i po ciemku nawet rachować nie mogła, to przynajmniej dowcipem.

Ledwie o północy dano mu zasnąć spokojnie, a jaką mu jeszcze Franciszek chciał na dobitkę uczynić przysługę, tego wam nawet powiedzieć nie mogę.



XXV.

POD BZAMI.

Patrzaj jako śnieg po górach się bieli,  
 Wiatry z północy wstają,  
 Jeziora się ścinają,  
 Zórawie czując zimę precz lecieli.  
 Nam nie lża iedno patrzeć też swe rzeczy,  
 Niechaj drzew do komina,  
 Na stół przyniosą wina,  
 Ostatek niechaj Bóg ma w swój pieczy.  
 Przypadków dalszych żaden z nas niezgadnie.  
 I próżno myśleć o tym,  
 Co z nami będzie potem:  
 W godzinie wszystko Bóg wywróci snadnie.  
 Krótki wiek długiej nadziei nie lubi,  
 Niechaj nie schodzi cało,  
 Coć się rąk dostało.  
 Za to co ma być żaden ci nie ślubi.  
 Jeleniom nowe rogi wyrastaia,  
 Nam gdy raz młodość minie,  
 I na wieki wieków ginie,  
 A zawzdy gorsze lata przypadaia.

*Kochanowski. Ks. I. XIV.*

**N**azajutrz, rano, bardzo rano, Marya i Gustaw  
 byli koło ławki przy kasztanie, koło bzów  
 przekwitłych teraz jak ich serca. Znaleźli  
 się tam, nieoznajmując sobie, że się znajdują —  
 bo między osobami, które myślą o sobie, ko-  
 chały się lub kochają, jest jakby jedna dusza,  
 co niemi rządzi, wiedzą swoje myśli, jedne ma-  
 ją żądania, i charaktery ich nawet w czasie tej  
 gorączki miłośnej zbliżają się jeden do drugiego.  
 Tę ofiarę swojej indywidualności podłość tylko

i miłość uczynić potrafią. — I nie dziwnego, bo podłość jest Proteuszem o stu postaciach, a miłość metafizycznie i materialnie uważana, niczem innem, jak wielką tajemnicą zjednoczenia duszy i ciała.

— Co za śliczny ranek! odezwał się Gustaw.

— Bardzo piękny! odpowiedziała Marya. Patrzyli po niebie i milczeli. Trudno było przyjść do rozmowy, zdawało się, że ich coś dzieliło od siebie.

Ileż to pamiętek w tém miejscu, zapomnianych spoczywa, odezwał się znowu Gustaw. Marya zarumieniła się.

Tak! pamiętek dziecinnych!

— Teraz postarzelśmy oboje, rzekł Gustaw szydersko, już nas one zająć nie mogą. Ale ja, chociaż już wiele czasu upłynęło, dla dawnych pamiętek i dawnych przyjaciół, jam się nie zestarzał.

— I ja nie, — odpowiedziała Marya po cichu. —

— Wybacz, — lecz czy szczerze to mówisz? przed kilku tygodniami nic nie pamiętałaś?

— Kazano mi zapomnieć.

— Kazano? zawołał Gustaw, któż to jest tak wielowładnym panem serca, żeby kazał zapomnieć, a serce go usłuchało — i serce kobiety!

— Sercu nigdy, odpowiedziała Marya — ustom!



Skrzywił się poeta, ręce założył, głowę spuścił.

— Cóżbym niedał, żeby się ten dawny czas wrócił, ten wieczór, ten ranek.

Marya westchnęła. Lecz przeszłość już się nie wróci, mówił Gustaw po cichu, tamta Marya umarła, tamta miłość umarła, tamtych przysięg dziecinnych zapomniano. — Trzeba wszystkiego zapomnieć!

Zapomnieć, tak! trzeba zapomnieć, powtórzyła Marya szydersko ze śmiechem, tyś już zapomniał!

— Chciałbym.

— To dosyć.

— Bo gdzieś znajdę tamtą Maryą?

— Jest ich wiele na świecie! odpowiedziała z gniewem dziewczyna, odwracając się od niego. — Bądź zdrow!

— Bądź zdrowa! I stali jeszcze oboje i spojrzeli i zdawało im się przez chwilę, że powtórzą pocałunek. — Lecz nie — rozeszli się, on smutny, ona zagniewana.

## XXVI.

**R**eszta tego dnia spędzona była na polowaniu, od którego się Gustaw wymówić nie mógł. Wśród niego przybiegł posłaniec z wiadomością o chorobie pani Hrabini i Gustaw, niespokoj-

ny, siadł w ten moment i nazad jak piorun po-  
cztą poleciał.

Ale gdy przybył, zastał tylko całun w sali,  
a na całunie ciało staruszki i żółte świece po-  
zapalane, i księży, i cały orszak kruków, który  
za sobą śmierć prowadzi. — Staruszka dniem  
wprzód umarła.

## XXVII.

### MONOMACHJA DUSZY Z CIAŁEM.

Jest kto coby wzgardziwszy te doczesne rzeczy,  
Chciał ze mną dobrą sławę tylko mieć na pieczy?

A starać się ponieważ musi umrzeć ciało,

Aby imię przynajmniej po nas tu zostało?

A szkoda zwać człowiekiem, kto bydlęce żyje,

Tkając, lejąc w się wszystko, póki stawa szyje.

Niechciał nas Bóg położyć równo z bestyami,

Dał nam rozum, dał mowę — a nikomu z nami.

*Kochan. ks. II. XIX.*

**W**łożył Gustaw żałobę i pojechał na wieś.  
Z rozerwaniem tego ostatniego związku, uczył  
się okropnie sam jeden na świecie, sam jeden,  
bo nie miał nawet kochanki, a tych, których  
przyciąga do człowieka złoto, jak bursztyn  
słomki i drobne wiórki, mógłże liczyć za coś?  
Muchy do cukru, krucy do ściervu, podli lgną  
do bogaczów, żeby żyć niemi. Z temi towarzy-  
stwo i związki nudne i niezdolne — inni — ró-  
wni Gustawowi, przypadkowe jego wywyższe-  
nie widząc złem okiem, stronili od niego. A tak



ci, którychby on żądał, jego niechcieli, ci się tylko cisnęli, których odpychał.

Wówczas jak pustelnik zamknął się Gustaw w domu, obsadził książkami i pracował, uczył się, pisał, niedając spoczynku głowie, aby się próżne serce nie odezwało. Lecz naprożno dusza jego nurzała się w Lecie nauk, ciało wzywało do świata. Walczył ciałem, opierał mu się i oparł, na chwilę!

Nic ciekawszego pod względem chodu działań i skutków, nad to wieczne działanie i oddziaływanie ciała i duszy w człowieku. Jest ono najwyraźniejszym dowodem bytności dwoistego pierwiastku w tém stworzeniu, której jednak zaprzeczają!!! pokazuje stosunek sił ich wzajemnych i czyni często z życia długą i nieznosną walkę. Dusza i ciało, dwa te pierwiastki są sobie przeciwne jak ogień wodzie, a jednak połączone tak ściśle, tak nierozzerwane, że jedno z nich na ziemi bez drugiego obejść się nie może. Ziemia, do której należy ciało, potrafi powiedzieć ludziom, co się z ich ziemską dzieje powłoką, kiedy z niej dusza wystąpi; lecz któż powie, co się w ówczas dzieje z duszą, kiedy emancypowana wyrывa się z więzów, zwycięzka lub spodlona, czysta lub cięższa od kału ziemi, w którym się tarzała?

Każdy jednak kto wierzy w duszę, musi wierzyć w jej nieśmiertelność, kiedy ciało jest nieśmiertelne (bo cząstki jego rozbiegają się tyl-

ko, z jednego stanu w drugi przechodząc, ale nie giną) dusza zginąćby miała? — To niepodobna!

Fenomena duszy wlanej w ciało, jej walka z tém ciasnem naczyniem, w którem się burzy, z którego się wyrывa, stanowią jeden z najpiękniejszych przedmiotów postrzeżenia i rozważgi ludzi godnych. — W dzieciństwie, duszy niema, ciała niema, ciało nierozwinięte, zmysły nie wszystkie w stopniu działalności, w jakim dopiero ze światem połączyć się mają. — Dzieciństwo, ten szczęśliwy wiek człowieka, dla tego że żadna myśl śmierci nie mieści się w głowie dziecka, dzieciństwo niema walki. Jak brat i siostra spoczywają razem ciało i dusza w jednej kolebce, szczęśliwi sobą, nie znając siebie, nie lękając się siebie. — Człowiek jak Herkules, dopiero pozna niebieskiego ojca, kiedy pierwszego węża, który jego szyję obwinie, udusi. Dopiero w młodości, kiedy tłumem myśli nowe, czucia nowe, życie nowe, walą się na człowieka, przychodzi i ta walka, ażeby skutkiem swoim naznaczyć mu dalszą drogę. Jeśli wychowanie nie pokaże w człowieku duszy, a ciało o-władnie, niema walki, człowiek staje się bydlęciem, brzuch panem, stół ołtarzem, wino ambrozyą, kobieta ładna (tylko taka) celem zabiegów młodości, pieniądz starszego wieku; egoizm staje się religiją, a on sam sobie bóstwem.



Przeciwnie jeśli dusza mocniejsza, a ciało słabe, jeśli dusza czuje godność swoją, upokorzenie i niewolę, jeśli czuje powinność wybicia się z jarzma, zaczyna się walka śmiertelna, a zgody nie będzie nigdy, aż póki jeden z przeciwników, nie padnie na twarz przed drugim. Odmalować wszystkie epoki, odmiany, cienie, odcienie i rysy tego boju, niepodobna. Dusza ma za sobą swoją niebieską wyższość, niebieskie rozkosze, zapaly, złudzenia, lecz ciało czyż niema nic przeciw temu? O! wiele! kiedy dusza ulatuje z niego marzeniem za kochanką, kiedy platoniczna miłość zaświta w dziewiczym sercu; ciało stawia na drodze kobiety piękne jak anioły, palące jak ogień, rozkoszne, lecz rozkoszne ciałem tylko, a bez duszy.

Stawia naprzeciw czystego pocałunku, którym nie usta kochanki, lecz powietrze tylko uświęcone jej oddechem witamy; stawia obraz lubieżny długiego uścisku, długich nocy bez dni, pieśzczot bez końca. — Usiłuje rozbić niebieskie exaltacye pierwszój, czystej miłości, o pierś swoich bogiń, które przykuły duszę jak niewolnicę zmysłów do ciała i kazały jej tylko nosić sobie rozkosze, które ciało daje.

Ta walka z początku straszna i niebezpieczna. — Kochanek, który z zapalem wita z daleka wzrokiem kochankę swojej duszy, swoje czyste bóstwo, często upada przed ciałem, które mu tę samą kochankę pokazuje w jego objęciu, na jego

łonie. Lecz te dwie miłości tak się łatwo zlewają, że w końcu walka staje się mało znacząca, jak przejście z platonicznej do materyalnej miłości, zwierzęcej, żyjącej tylko jedną chwilą nasyce-  
nia. Powoli zniża się dusza obłąkana i żebrze u ciała o rozkosz, niepatrząc na upokorzenie, bo chce już koniecznie, żąda, pragnie rozkoszy! — musi ją mieć i na oślep za nią leci.

Posiada nakoniec, nasycą się i żałuje, że znała tę rozkosz, bo o ciało rozbijają się złudzenia duszy i miłość idealna najrozkoszniejsza z miłości tego świata, topnieje i ulata na zawsze.

Straszniejsze daleko są fenomena téj walki w ludziach, którzy mocniej duszę czując w sobie, przeszedłszy już ten pierwszy peryod upokorzenia, nasyceni, podnoszą się duszą i rozumem, i pracy umysłowej oddając życie, chcą nawzajem rozkoszami, jakie ona przynosi, upokorzyć ciało zwyciężkie. — Nauka wymaga zupełnego zaparcia się ciała i jego rozkoszy, na chrzcie tym, który umysłowie żyć zaczynając sam sobie daje człowiek, musi się wyrzec innych rozkoszy nad umysłowe, innego szczęścia nad to, które mu dusza poda z siebie samej. Życie pracowite uczonych, poetów, filozofów, postrzegaczy, tych osobliwie, którzy czuć umieją wartość czasu i potrzebę zrealizowania go na uczynki, jest ciągłą taką walką. Młody czy stary, pogrzebiony w księgach wieczór i rano, dniem i nocą, musi się umieć oprzeć pokusom



które raz go schwyciwszy, na wieki oderwałyby od pracy. Wśród tego natężenia wszystkich fibr mózgowych, w poprzek strumienia myśli płynących lub odpływających do głowy i z głowy, ciało staje, zagraджа i wstrzymuje bieg. Tu ból, tam świerzb, tam kurcz czuć się daje, głód, pragnienie, gorąco, zimno, wszystko nań z kolei uderza, a kiedy to wszystko odepchnął, nowe pokusy. — Dzień pogodny, słońce piękne na zachodzie, wiatr miły i wonny wpadający oknem, szum miasta, które leci za roszkoshami innemi, gwar wesoły, pieśń swywołna, twarz kobieca, pierś (wzdęta) dziewczyny, westchnienie dalekie, spojrzenie z drugiego okna, wszystko to wabi ciało i duszę od pracy odrywa.

— Przed oknami, przed oczyma przelatują kobiety strojne na bal, na teatr, na wesele; a ty siedzisz sam jeden, szepcze ciało, a ty nie będziesz słyszał muzyki, nie będziesz w tańcu ściszał kobiety, nie złapiesz w drodze jej ogni-stego spojrzenia, balsamicznego oddechu. Przesiedzisz noc i wieczór w twojem krześle, nad zapyłonym ksiąg stosem! chodź! chodź!

— Patrz! przechodzą mężczyźni, bracia twoi, na uczty, na rozkoszną, próżniacką rozmowę u kominka, przy butelce, lub jakiejś Laurze łagodnej, rozkosznej, która nie broni się od pocałunku i sama leci w objęcia! A ty siedzisz sam jeden??

— Patrz! czy widzisz te okna oświecone, tam się śmieją i bawią, a ty siedzisz? Czy widzisz ten ogród, ile tam kapeluszów kobiecych, jak poufałe wiatr niesie rozmowy? Tam ktoś czeka na ciebie, ktoś tęskni i wygląda za tobą — a ty siedzisz??

Wszystko to podsuwa ciało i tysiąc innych pokus uwija się w koło, aby wyrwać pióro, podrzeć papier, odepchnąć książki, *potłuc* i pomięszczać myśli. — Czasem zdaleka usłyszany urywek rozmowy, srebrny głos kobiecy, śmiech pusty, lub cokolwiek wyobrażającego świat, wpada do ucha, bije w sercu pustelnika, zatrzymuje pióro, wytrąca księgę na chwilę. — Tamte rozkosze są mocniejsze, bardziej rzeczywiste, bo są bardziej powszechne; bardziej powszechne, bo więcéj rzeczywiste, — dusza waha się, a ciało niedaje wytchnienia, zabija nowemi dowodami na swoją stronę. — Wówczas zwyciężony rozbijasz nogą książę stósy, krajasz swoje rękopisma na papiloty, wylewasz atrament za okno, rzucasz piora na śmieć, a myśli swojej głowy w kąt izby; ubierasz się, idziesz, bawisz, śmiejesz się, lecz niedługo! Odurzony z początku, prędko pożalujesz ciszy twego samotnego pokoiku, książek i pracy, bo po nich pożytek zostaje i pamięć słodka, po przyjemnościach świata nudy i fussy, jak dym po zgaśnięciu balowego kandelabru.



Jeśliś jednak nie upadł ani przed kobiecym głosem!, ani przed zaraźliwym przykładem twoich przyjaciół próżniaków, ani przed zimnem, zwierzęcem szyderstwem ludzi, którzy nigdy nie mieli i nie czuli w sobie duszy; jeśliś nie upadł jeszcze, ciało przynosi ci księgę dziejów doświadczenia, księgę prawd swoich i powiada:

Cóż z twojej pracy? chcesz umieć wiele? czyż ta nauka pójdzie z tobą do grobu? Umrzesz, niewiedząc, co to życie, — umrzesz i wszystko z tobą!

— A imię?

Imię twoje, to nie ty! Jest tobą, poki żyjesz, jak suknia, w której chodzisz, która chodzi, rusza się, żyje, jest tobą prawie, póki jej nie zrzuć. Imię twoje — suknia! Ono będzie może kiedyś, gdzieś świeciło, lecz cóż ci potem, gdy ty zginiesz? Wartoż tyle pracy dla niczego poświęcać? tyle czasu dla twojej sukni, którą wyłatawszy nosić ci czasu niestanie?

Wszak równie, odpowiada dusza — wszystkie rozkosze giną z człowiekiem i twoje giną. Wspomnienie tylko zostaje po ich przejściu, a przejść muszą!

Po śmierci cóż mi z twoich rozkoszy?

— Za nicze liczysz, mówi ciało, chwilę terazniejszą, chwilę, w której będziesz istotnie używał? Wolisz więc łatać poszarpaną suknię twoją przez tę chwilę, w której byś mógł połączyć tyle istotnych rozkoszy? Nareście jeśli two-

je ofiary wszystkie są tylko dla imienia i sławy, jesteś samolub. — Wyrzekasz się ciała, a czynisz jak ono czyni, słuchasz jego praw. Jesteś prócz tego głupi, bo imię ginie niechybnie i ginie prędko. Ty téj sukni twojej poświęcisz życie, a przyszłe wieki przypatrzwszy się jej krojom, obeirzawszy ją, uśmiechnąwszy się nad nią, rzucają w błoto, lub śledząc szwu, rozedrą. — Tak mówi ciało do człowieka, szydzi z jego pracy, aby go od niej oderwać, spotwarza cele, aby odstręczyć, pokazuje przyszłość jak otchłań teraźniejszości, która cię ze wzgardą odepchnie; pokazuje, że ta nauka, w której żyjesz, małym będzie pożytkiem dla świata, że po twoich kościach i krwi zapieklój idąc następni mędracy, nie zechcą nawet wyznać, że się wzniesli bohaterką ofiarą twojego życia, kośćmi, krwią i mózgiem twoim wykarmili. Pokaże ci ciało tę przyszłość od której czekasz nagrody i świat pokaże ci sędziów twoich w ludziach, którzy cię rozumieć nie będą, którzy dla uszycia swojej, podrą twoją sukienkę; którzy myśleć będą, że wiele uczynili dla ciebie, jeżeli dwa razy wspomnieli imię twoje. Pokaże ci ludzi, od których czekasz sławy, stworzeniami miernemi, papugami bez myśli, zwierzętami bez duszy, kamieniami bez serca.

— Przekona cię, że gdybyś zobaczył i poznał z blizka każdego z osobna, z tych co imię twoje podnieść mają, — niedbałbyś o jego zda-



nie. — Pokaże ci, co to jest sława? sława!! poruszenie kilku, kilku set, kilku tysięcy, kilku milionów papuzich ust, przez pewny przeciąg czasu powtarzających imię twoje tak zaraźliwie, jak ci, którzy kichać muszą, gdy jeden kichnie; — kilka — kilkaset — kilka tysięcy lub milionów imion twoich wybitych na płatkach papieru, których los Bóg wie jaki! Sława twoja, gmach z błota, póki świeży, świecący jak marmur, potem zgarbiony, suchy i nikczemny.

Pokaże ci jeszcze ciało, aby cię oderwać od twojej umysłowej pracy i dusznego życia, ludzi, którzy ciałem żyją — ich szczęście, spokojność! — oni bowiem tylko są na ziemi rodzeni jej mieszkańcy (*indigenae*), a ty — przychodzień z innym językiem i myślami, dla których niema współczucia, bo ich nikt nie rozumie. Pokaże ci nakoniec ciało, że twoje prace, twoje życie jest, tylko ofiarą, dla kilku takich jak ty wygnańców, którzy cię poznają i rozumieją, którzy zabijają się jak ty na ołtarzu duszy, aby niemi żyli ich nieszczęśliwi następcy. Pokaże ci nikczemność pracy, usiłowań i zdolności twoich, nikczemność nauk, doskonalenie się wszystkiego, a zatem upadek twojej pracy, pokaże ci niebo, ziemię, światy i ludzi, którzy się zaciekaają w nich i w sobie, a nie jeszcze od początku świata nieskończyli tak, aby przyszłość nie mogła dorzucić cegły do ich gmachu. Po-

każe ci to wszystko ciało, i tysiąc pokus i obrazów swoich w sprzeczności z temi obrazami.

A wówczas kto zwycięży, czy dusza czy ciało? Jeżeli dusza stanie opornie i królować będzie jeszcze, ciało ma najstraszniejszych pomocników do sponiewierania duszy — choroby i i nędzę! Temi narzędziami spodli ciebie, poniży, zhańbi, zetrze na miazgę i zwycięży! — ale — nie zawsze!

## XXVIII.

### CZUPIRADEŁA.

Bóg w ludzkie głowy wlepił różne obyczaje.  
*Kochanowski. Marszałek.*

Gustaw siedział na wsi z książkami, od czasu jak zostawszy bogatym, mógł mieć przynajmniej podostałkiem tego pokarmu duszy, którego ubodzy żebrac muszą. Czuł on, że można się obejść bez ludzi, mając tylko książki i naturę. Można dumać i żyć w tém towarzystwie umarłych daleko spokojniej niż między żywymi, a jednak życiem pełnem energii, którego wypadki coraz się zmieniają, przenoszą z końca w koniec świata, wesołe, smutne, łzawe lub śmieszne, olbrzymie lub drobne, na zawołanie, na rozkaz; czego próżnoby kto żądał od rzeczywistego życia. Lecz mimo tego niepodobna się było zupełnie odosobnić i żyć pustelnikiem,



bez powszechnego oburzenia, ludzie bowiem mszczą się obmową na tych, którzy ich towarzystwo odrzucają. Nieumiejąc sami sobie wystarczyć, wymagają od drugich, aby im żyć pomagali i choćby się przyszło na śmierć z nie-  
mi zanudzić, trzeba dla świata dać czasem jałmużnę kilku godzin życia swego, którychby się lepiej w samotności użyło. — Czuł to Gustaw i niemogąc się zupełnie odstrychnąć od sąsiadów, niezaciągał z nimi poufałych stosunków, lecz całkowicie też od nich nie stronił. Tym sposobem zyskał sobie ofiarą części swego czasu, szerokie pole do postrzeżeń i obserwacyi nad ludźmi, nad którymi często miał ochotę płakać, częściej jeszcze śmiać się.

Nie tylko prostych dusz wiejskich, co siedząc na zagonie rodzinnym o polu tylko, owcach swoich i browarze myśleć umieją, bo ci są na swoim miejscu, pracują, nie marnują życia, nie sięgają wysoko; i jeśli nierozumieją uczuć wyższych, myśli wyższych, przynajmniej mogą się pochlubić sercem czystym, spokojnem i życiem nie próżnem.

Lecz prawdziwie śmieszni byli literaci wiejscy, ludzie którzy czuli w sobie jakąś niespokojność i przecucie talentu; którzy nie pracując, mieli pretensye do nauki, poezyi, dowcipu, nie niemając za sobą, prócz trochy pamięci, a wiela zarozumiałości. O! na tych patrząc, musiał się śmiać Gustaw.

Trzeba bowiem wiedzieć, że na wsi tak jak jest sędzia, komornik, lekarz powiatowy i t.p. tak zwykłe też bywają: poeta, dowcipniś, literat powiatowy, figura, która liznęła nauki i książek, przewróciła sobie głowę i chodzi po świecie wiele krzycząc i gadając, pół gospodarz, pół poeta, spekulant i filozof, agronom z kalendarza, erudyt ze słowników. Osobliwszy exemplarz takiej karykatury, miał Gustaw w sąsiedztwie. Znano go, że ciągle nad książkami siedział, umyślnie więc dla niego zaproszono P. Perelkę, kiedy miał być Gustaw. Trzeba było widzieć, jak tryumfalnie wnosił się na salę, otoczony kilką klaskaczami P. Perelka, kończąc we drzwiach jeszcze, jakiś koncept w sieni zaczęty, któren jego towarzysze głośnym śmiechem przyjmowali. Mały, czerwono nakrapiany, z małeńkimi oczkami, z nosem wklęsłym, z szerokimi usty, z czupryną w poetycznym nieładzie, w wytartym fraku i brudnej bieliźnie, którą umyślnie starał się brudną dla swojej reputacyi utrzymać, wszedł ten jeniusz wiejski. Jak go witano, jak konceptami i wierszykami strzelał, jak mu się kobiety wdzięczyły, lękając się jego mniemanego dowcipu!! potem wskazano mu Gustawa i naturalnie jako literat do literata skoczył z rekomendacją natychmiast P. Perelka, i emfatycznym stylem starego roman-su, z prozopopeją, która w jego mniemaniu dobry ton odznaczała, zaczął najosobliwszą rozmowę.



— Słyszałem, wiele słyszałem o jego pracach, odezwał się do Gustawa, mianowicie w poezyi! Ale w druku nic jeszcze podobno nie mamy?

— Nic nie drukowałem dotąd, odpowiedział Gustaw kwaśno.

— I ja jeszcze nic, rzekł P. Perełka, chociaż piszę, wiele! Czułem w sobie inspirację, powołanie, ale ubóstwo, panie, interessa, gospodarstwo! Trzeba pracować na kawałek chleba. W jakim rodzaju P. Dobrodziój pisze? w smutnym, elegiackim, jak się domyślam?

— Ja bardzo mało piszę.

— To szkoda! wieleśmy słyszeli o jego talentie. A bajek Pan niepisze? nie! To piękna rzecz także, ja napisałem sto i oko bajek czterech wierszowych i bardzo je chwalam. Piękne są bajki Krasickiego, czy znajome? a Niemcewicza czytał Pan? Ja to wszystko mam w swojej bibliotece. Niechwaląc się, moja biblioteczka z samych klassycznych dzieł zebrana, do 300 tomów wynosi. Niedawno dostałem *dzieło Robinsona Crusoe*! Pan Dobrodziój ma też zapewne bibliotekę?

— Bardzo małą! kilka tysięcy tomów.

— I to mało! To ogrom. Proszę Pana, czy pan ma w swojej bibliotece Powieści Hrabiny Mostowskiej i Wyspiarza południowego morza?

— Nie pamiętam prawdziwie i bardzo wątpię.

— Ja to się mogę dobrą pamięcią pochlubić! Nie mówię, że cały katalog moich książek *posiadam*, ale wierszy też umiem mnóstwo. Zna pan Ode do *Priapa*? umiem ją na pamięć. Zna pan te wiersze dowcipne o pożarze lubelskim? umiem je na pamięć. Zna pan przedmowę Korsa-  
saka do Baki, umiem ją na pamięć, a do tego wszystkie własne oryginalne bajki i wiersze różne.

— Bardzo winszuję i, odpowiedział Gustaw, uśmiechając się — piszesz pan wiele?

— Dosyć dużo! najwięcej powinszowań, nie-  
mogę się od tego obronić, ciągle mnie proszą to dla dzieci, to dla tego, to dla owego, mu-  
szą im *wyświadczać* tę łaskę. Często mi tak *przyporuczają* podobne prośby, że muszę być w to zawsze *zaopatrzony*. *Pouczyło* mnie do-  
świadczenie o potrzebie gotowości, na wszelki przypadek. Oto mam w kieszeni właśnie, je-  
dną probkę, chce pan posłyszeć?

Cóż było robić? Gustaw obłączony w kącie, musiał słuchać, choćby niechciał. P. Perelka deklamował, uśmiechając się.

POWINSZOWANIE PRZYJACIELSKIE

przez

*Hydrocephala Perelkę.*

**W** dzień twego Imienia,  
Niosę ci życzenia!



Żyj dłużej niż świat,  
Sto tysięcy lat,  
Pij dzień i noc  
I skacz hoc, hoc.  
Bądź zdrow jak dąb,  
Miej pieniędzy zrab;  
A nieznając biedy,  
Jeżeli umrzesz kiedy,  
Niemogąc jeść chleba,  
Prosto idź do nieba!

— Jak się to panu zdaje? he? nie złe? —

— Bardzo piękne, rzekł Gustaw, wiele dowcipu. —

— Dowcip to mi wszyscy przyznają, dowcip w rodzaju Krasickiego, szkoda, że zapomniałem w tamtym fraku moich bajek, — tak bo téż jestem roztargniony!! Mógłbym je recytować na pamięć, ale częste roztargnienia! — — —

Trzeba wiedzieć, że p. Perelka, dla utrzymania reputacyi poety, zawsze udawał i wyprowadzał najaw swoje mniemane roztargnienie, nosił się brudno, umywał się tylko, kiedy się smołą powalał, zawsze wychodząc z domu, wprzód powywracał kieszenie i nigdy nic nie zrobił przytomnie, ażeby ludzie mogli powiedzieć: — „Co to za jeniusz! jak on cały żyje w sobie! jak mało ceni powierzchowność?“ —

Drugim po panu Perelce, był p. Plaksa, także powiatowy poeta, romantyk wysoki, bla-

dy, chudy, lubiący pić, jeść i wesoło się bawić, a ciągle udający rozpacz, mizantrop z systematu nie z charakteru, całe życie zakochany, z bukietem i *Elegią na srogość Chloi lub Kloryndy* w kieszeni. W swoim ogrodzie miał grób miłości wystawiony z darniny pod cherlawą jedliną, ołtarz przyjaźni i chatę pustelniczą. D'Arincourta był wielbicielem najgorliwszym, panią de Genlis uważał za największą z kobiet, Marmontela za jeniusz, a z jego stołu nigdy nie zchodziły: *Alfons, Zakonnik Trapistów, Nierozsądne śluby*, i tym podobne łzawe i czułe brednie. P. Płaksa całe życie wzdychał dla ludzi, śmiał się dla siebie, kochał dla dobrego tonu, a mimo tych platonicznych ogniów, któremi strzelał do wszystkich panien w sąsiedztwie, w domu uwijało się kilkoro drobnych dzieł, które go *Papą* nazywały, kiedy gości niebyło.

Trzeci literat powiatowy, z rodzaju *kryptopędów*, to jest kryjących w sobie naukę, którzy czytają wiele, ale nic niepiszą i z niczem się nie popisują, był p. Mazanka. Tłusty, dumny, miłą miał strasznego sędziego, gdyż książki, które czytał w istocie niemiłosiernie szarpał. Był to rodzaj mecenasa, — literata; cały w projektach ekonomii politycznej i polepszenia edukacji, człowiek postępowy z charakteru, wszystkie nowości przyjmujący za arcydzieła, mający na języku wszystkie nowe wynalazki, zachęcający do odmian i polepszeń, protegujący śle-



pych naśladowców wszystkiego, co granicą robiono. Ten nie tak wart był śmiechu, gdyż w jego niedowarzonej głowie, był przynajmniej jakiś ciąg i systemat myśli, a jego zamilowanie w nowości, chęciami dobrymi tłumaczyć się mogło.

Czwarty był bibliofil powiatowy, który nigdy nie czytając, zbierał książki i kradł nawet, czyniąc to, jak mówił dla dzieci. Tym sposobem zebrał z rozmaitych szmatów, parę tysięcy książek. Wszyscy ci ludzie, jak krucy na pastwę, rzucili się do Gustawa: trzeba było słuchać ich rozmowy, chwalić ich koncepta, i nieuniknąć od nich, aby ich nieurazić. Lecz mimo całej grzeczności Gustawa i usiłowań jego, aby się im, jeśli nie podobać, to przynajmniej znośnym uczynić, p. Perełka od razu go osądził, wychodząc z salonu.

— Nie widać w nim nic, rzekł do swoich towarzyszków, zimny człowiek, pedant. Ale i nauki coś nie pokazuje. Zdaje mi się, że nawet bajek Krasickiego nie czytał. Kiwał głową na moje powińszowanie przyjacielskie, ale chwalił, chwalił — zimno.

P. Płaksa przerwał mu. — Co ty go menażujesz, niedowarzone stworzenie! śmiał się zemnie! sam widziałem, śmiał się!

— Z ciebie?? zawołali wszyscy z przestraszeniem.

— Widziałem, śmiał się, kiedym wiersze deklamował.

— Śmiał się! śmiał się! I nikt pojąć nie mógł, jak można było śmiać się z powiatowego romantyka, który w ogrodzie swoim postawił grób miłości i ołtarz przyjaźni!

— Mnie się zdaje, przerwał Kryptoped, chociażem go nie zbadał i niepoznał jeszcze, że musi być fanfaron. O machinach parowych rozprawiał i chciał mnie przekonać, że je jakiś pan Watt wynalazł, wówczas kiedy ja wiem dobrze, że to Papin! Co on zemną o takich rzeczach chce dysputować! ale!

— A mnie, powiedział, dodał bibliofil, że nikomu książek nie pożycza, bo najwięcej tym sposobem ginie! Nieużyty jak wszyscy ludzie, *nizka dusza!*

— I nikogo z nas na obiad nie prosił, dodał nareście p. Perelka, ani się polecał przyjaźni, tak na zimno się pożegnał.

— Prawda, że to szkaradne nadużycie, dodał Kryptoped, jeżeli ma być literat, poeta, czemuż z nami żyć nie chce?

— Zapewne dumny, jak wszyscy bogaci, rzekł P. Plaksa.

— Ale nie to! dam ja jemu! odezwał się Perelka, jak napiszę na niego *krytykę!*

— Nie *krytykę*, mów, ale *satyrę*, przerwał Kryptoped.

— To wszystko jedno.



— Ale nie jedno!

— Jakto nie?

— Nie pojmuję, przerwał im Plaksa, co ty masz za przyjemność *krytykować*, wołałbym płakać nad ludzkim plemieniem, na tym padole łez.

Ty masz charakter zbyt ostry!

Oczy p. Perelki zaiskrzyły się z radości, gdyż chciał uchodzić za Satyryka, uśmiechnął się, kiwnął głową i poszedł.

## XXIX.

### ZMIANA.

Bóg tylko ludzkie myśli wiedzieć może:

*Kochanowski. Fraszki. ks. III.*

Jednego ranka przybiegł posłaniec z listem do Gustawa od państwa Werner. Proszono go na wesele Maryi, — Marya szła za mąż!

Niewiele to poruszyło Gustawa, przywykł był do téj myśli, że już tamtéj Maryi nie było na świecie, pojechał więc dość obojętnie na wesele. Zgromadzenie już było liczne, choć jeszcze kilka dni do ślubu zostawało. Pan młody, człowiek bardzo dobrze wychowany, przyjemny i miły, nikt mu nie zarzucić niemógł. Gustaw przygotował się trochę śmiać z niego

w duchu i gniewać się nawet, lecz poznawszy go, niemógł. Pan Alexander czyli Oleś, jak go zwyczajnie nazywano, był tak dobrym chłopcem, że niemożna było, choć trochę go niekochać, po kilku godzinach znajomości. Był to jeden z tych ludzi, dobrego serca i głowy, którzy na świecie nie wiele robią łośkotu, lecz od wszystkich są kochani, nikomu się nie naprzykrzą, za nic się niegniewają, z nikogo się nieśmieją, — byłto jeden z tych blondynów z wiecznym uśmiechem dobroci na ustach, których wszyscy równo chwalą, którzy umieją zastósować się do każdego towarzystwa, do każdego charakteru, pochlebić każdej słabości, zniżyć się do każdego pojęcia, udając jeszcze wysilone natężenie. Łagodny i dobry Oleś pokochał zaraz Gustawa i on jego nawzajem. Serce młodego zawsze jest dla wszystkich otwarte, a w tej chwili, która mu się niebieskiem szczęściem wydawała, jeszcze było skłonniejsze do przyjaźni. Wesoły był, trzpiotał się, swywoił, śmiał się, płakał, niewiedziało, co zrobić z sobą. — A Marya była smutna. Widziała ona w Olesiu człowieka, któremu mogła los swój powierzyć, lubiła go nawet; — ale od ostatniego widzenia się z Gustawem, odepchnięta od niego —

— Kochała go!! Bez nadziei, skrycie, dumnie, niechcąc po sobie miłości pokazać. — Gustaw trochę się tego domyślał, lecz zdawało mu się, że na zawsze ostygl dla niej, że ona



będzie sobie inaczej szczęśliwą. Był wesół z przymusu, lecz razem niespokojny; zdawało mu się, że ten ślub niepowinien był dojść do skutku; — niechciał się żenić z Maryą i niechciał, żeby się z nią kto inny ożenił. W jego sercu była reszta miłości, z gniewem i zazdrością zmieszana, miód, ocet i żółć, jakby powiedział perski poeta: Potrawa, której nikomu nie radzę kosztować.

Już jutro miał być ślub. Cały dom pełny był przygotowań do niego, kręcili się wszyscy, Oleś szalał, a Marya była smutna. Każdy inaczej tłumaczył sobie ten smutek, — jeden Gustaw go rozumiał.

Zwieczora jak zwyczajnie Oleś odjechał do domu. Wieczór był piękny, i chociaż jesień na drzewach wypłowiła liście, pozrywała kwiaty, pożółciła trawy, niebo jednak było jasne, słońce ciepłe jeszcze, powietrze lekkie. Tylko jakby przecucie zimy, wisiało nad uwiedłym a jeszcze żywym światem.

Wśród powszechnego zajęcia, Gustaw zostawiony sam sobie, wyszedł do ogrodu, i jak zawsze kierował się magnetycznym pociągiem, do téj ławki pod kasztanem. Szedł powoli, — i zdawało mu się, że słyszy szelest sukni. Spojrzał, pod bzami, w ciemności, świeciła biała suknia. Marya siedziała na ławce ze spuszczoną głową, oparta na ręku, z chustką na oczach, — siedziała i płakała. Zadrzał i sta-

nał. — Czegoż ona płacze? pomyślał, wszak sama zerwała ślub naszej młodości? miałażby płakać po mnie? miałażby mnie żałować?

Postąpił kilka kroków i stanął. — Marya obudzona podniosła głowę.

— Zawsze się tu spotykamy, rzekł po cichu. Jest to nałóg dzieciństwa. Serce prowadzi zawsze w jedną stronę!

— Zapewne to raz ostatni, odpowiedziała Marya. Serca nasze dawno się nieznają, a i my rozstrzeleni po świecie, już się pewno nie spotkamy więcej!

— Tu się jeszcze może spotkają wspomnienia, — rzekł Gustaw.

— Wątpię, — odpowiedziała Marya. Kiedy się nic wrócić nie może, na cóż nosić wspomnienie, na co? kiedy przyszłości świecić nie będzie, — zabić je trzeba. I westchnęła.

— Ono jest nieśmiertelne, odpowiedział Gustaw, — żyje z człowiekiem, uwinięte koło serca. Śmiercią jego umierają dopiero wspomnienia młodości. — Wprzód — nigdy.

— Zabiją go nowe ohowiązki i życie, rzekła Marya. Co za dziwny wypadek, żebyśmy się tu dziś zeszli, pożegnać na progu drugiego życia!

Serce Gustawa biło mocno i żał go przejął. Miałże ją stracić!! W tej chwili ujrzał bzy rozkwitłe i dawną Maryą swoją, — smutny spuścił głowę.



— Drugie to już będzie pożegnanie, rzekł po chwili, lecz nie takie jak pierwsze. —

— Smutniejsze! bo na zawsze, odpowiedziała Marya ze łzami.

— Pozwól się przynajmniej pożegnać dawném imieniem.

— Zawsześ mnie Maryą nazywał.

— Nazwij mnie Gustawem jak dawniej.

— Bądź zdrow, — Gustawie!

— Bądź zdrowa Maryo! I zbliżyli się do siebie, spojrzeli. A w oczach biednej dziewczyny świeciły dwie łzy i drugie dwie toczyły się po bladéj twarzy. Oboje byli poruszeni, wszystko dawne przypomniáło się. Gustaw schylił się ku niéj, porwał ją, uściśnął ze łzami i nowy pocałunek złączył ich, — na wieki.

Obudzeni z tego odurzenia, jakim ich uścisk obwinał, spojrzeli i zawstydzili się.

— Maryo, — rzekł Gustaw, jesteś moją, do nikogo już należeć nie możesz. Dwa razy związał nas święty ślub serca w oczach nieba, — od dzieciństwa byliśmy dla siebie przeznaczeni sercami.

Nie oddam cię nikomu!

— Jestem twoją, odpowiedziała Marya, schylając głowę na jego ramię. — Tak, — na zawsze. Chodź, uciekajmy ztąd! Bo jutro, — włożą mi suknię ślubną i każą iść do ołtarza! Chodź! uciekajmy!

— Dobrze! rzekł Gustaw bez namysłu. Idź,

przygotuj się, za dwie godziny konie moje będą za ogrodem. Znajdziesz mnie tutaj. —

I rozbiegli się prędko. Gustaw wszedł do pokojów. Tu wszystko czuć było jutrzejszem weselem, kosztowne materye, stroje, bukiety, suknie porozrzucane były wszędzie. Przygotowywano świece w żyrandolach, woskowano posadzki, znoszono kwiaty. Pani Werner przezydowała w kuchni, wszystko się ruszało i gotowało na wielki dzień jutrzejszy.

— A jutro, pomyślał poeta biorąc kapelusz, jutro będzie tu tylko zamięszanie i smutek, na miejscu tego wesela. Jutro! będą płakać i załamywać ręce, jutro będą mnie przeklinać, — jutro, biedny Oleś, który dziś w rozkosznych marzeniach zasypia, będzie rozpaczał! O życie ludzkie! o serce ludzi! pomyślał, jechałem na cudze wesele, a żonę przywiozę do domu, Maryą! pierwszą gwiazdę mojej młodości!

Maryą, którą jedna chwila z martwych wskrzesiła! —

W parę godzin po gościńcu pędził pojazd czwałem, a pani Werner mówiła pacierze, a pan Werner szedł spać spokojnie, a Oleś zasypiał kołysany marzeniem! Biedne dziecię!



XXX.

ROZRUCH.

Żonę mu wziął i przywłaszczył sobie.  
By mu był niewolnicę najlichszą przemówił,  
Winien by mu był został? coż kiedy wziął żonę?  
*Kochan. Odpr. post. Greckich.*

Nazajutrz bardzo jeszcze było rano, a już Oleś przyleciał ze wschodem słońca, dzień swego szczęścia w oczach Maryi powitać. Zastał wszystkich na nogach, dom cały w przestachu, sługi biegające po dziedzińcu, po domu, Franciszka z fuzyą na progu, panią Werner omdlałą, p. Werner bez peruki. —

— Cóż się stało? zawołał zbladłszy, wyskakując na ganek Oleś. Pani Ostrowska wybiegła przeciw niemu z załamanemi rękoma, zatańczona i straszna; ale tak straszna, że gdyby nie okropność téj sceny, mogłaby podać myśl, że furyc piekielne tabakę zażywać musiały.

— Awantura! nieszczęście! zawołała, Marya znikła z Gustawem!

Oleś osłupiał, spojrzał i uderzył się w czoło.

— Kiedy? dziś?

— Wczoraj w wieczór. Dziś dopiero obejrzelśmy się, że jój niema, ogrodnik widział, jak wyjeżdżali, ale znać nie dał! —

— Teraz rozumiem! rzekł Oleś, jakby z głębokiego snu wychodząc. Poszedł do pp. Werner. Tąż samą przywitali go nowiną, płacz był we wszystkich oczach, oburzenie w sercach. —

— Chciał się żenić, wołał p. Werner, czemuż nic nie mówił? trzebaż mnie było, mój dom, moje imię plamić? Wydziedziczam córkę! wyrzekam się jej, przeklinam!

Pani Werner całowała go w ręce ze łzami.

— Nie mów tego, wołała, nie mów, bo przekleństwo rodziców, nie na dzieci, ale na nich samych, spada. Franciszek przyrzekł w łeb strzelić Gustawowi. W moment całe sąsiedztwo wiedziało o tym przypadku, domysły, potwarze z ust płynęły, każdy inaczej rzecz opowiadał. Wszyscy ze zgrozą. A jednak któż nie wie, że tylko cnota jest pobłażającą, że kamień rzucony na nieszczęśliwego, tylko z ręki Faryzeuszów wypaść może!

Oleś powrócił do domu i wieczorem przygotował pistolety: nabił, odwiódł kurki, napisał list do Maryi, wysłał go, zamknął się, siadł i myślał długo, kilka razy próbował się zastrzelić, próżno! nie miał dość siły. Położył się spać i nazajutrz wyjechał za granicę. Powiadają, że tancerka z Opery w Paryżu, dla której majątek stracił, wielce go kochała, aż do ostatniego dukata. Co się dalej stało, nikt nie wie, i ja niezgadnę.



XXXI.

OBOJE.

HELENA.

Daj Boże, aby przyniósł co pociesznego.  
*Kochan. Odpr. Post. Greckich.*

**M**arya i Gustaw niewyszedszy jeszcze z tego szalu, który ich owionął, w czulej dzieciennéj rozmowie, przytuleni do siebie, jechali do Waskowa. Gustaw był szczęśliwy, ale jego szczęście mieszał jakiś przestach i wstyd. Widział on nieślachetność swego postępku, któren tłómacząc swoją miłością, jéj przywiązaniem wymawiając sam przed sobą, niemógł jednakże usprawiedliwić. Widział on plamę, którą świat miał rzucić na ślubną suknię jego kochanki i w jéj uścisku najpierwszym, już marzył o upokorzeniach, któremi go miał opłacić.

Ona nie myślała o tém, oddała się całkiem Gustawowi, zapomniała o wszystkim, otoczyła go rękoma, uczepiła się jego, powiedziała sobie zamykając oczy na wszystko: Jestem twoją! — I dla niéj skończyło się wszystko, niesłyszała obmowy i potwarzy, śmiechu ludzi, gniewu rodziców, — nic — nic, o wszystkim zapomniała! Cały świat zostawiła za sobą! Gustaw przepłacił indulta co najprędzej, naznaczył dzień ślubu i chcąc jéj oszczędzić upoko-

rzenia, nim nadszedł termin, zostawił ją w domu jednej ze swoich sąsiadek, niechając w wozie do Wasilkowa, aż z imieniem żony. Ale Marya nierada była temu, niepojmowała celu tej oziębłości, i ile razy Gustaw pożegnawszy ją, odjeżdżał w nocy do domu, wybiegała za nim na ganek i prosiła, ściskając go czule:

— Weź mnie z sobą! weź mnie z sobą!

— O! chciałbym Maryo, — lecz czyż mogę, świat ten przeklęty, co mi już tyle chwil szczęśliwych odebrał, jeszczeby ci wydarł czystą sławę twoją! I ja cierpię, wyrywając się z twojego uścisku, — lecz czynię to dla ciebie.

— Ale ja tego niechcę! wołała Marya, — na cóż mi sława, kiedy mam sumienie? na co mi świat, kiedy mam ciebie? Weź mnie z sobą! I przytulała gorącą twarz swoją do jego twarzy. Ale Gustaw po długim uścisku wyrywał się od niej, smutny jechał do domu, a na jutro wracał znowu dzień z nią przepędzić.

W kilka dni po ucieczce, — siedzieli razem u pieca na kanapie, wieczór był chłodny, jesienny wieczór. Sami jedni w tej szarej godzinie rozprawiali o swojej przyszłości, tworzyli projekta i obejmując się rękoma, o swoim domu przyszłym, o swoich dzieciach przyszłych, o swojej starości spokojnej gwarzyli. Gustaw spokojniejszy już po napisaniu listu do państwa Werner, jak ona dziecinny, pomagał jej budować te zamki na lodzie, — czasem tylko myśl



o biednym Olesiu opuszczonym, chmurzyła jego czoło. — Oles się także ożeni, wołała Marya — to dobry chłopiec, znajdzie sobie dziesięć za mnie jedną; taki trzpiot prędko zapomni!

— Daj Boże, bo chciałbym, żeby na tém niecierpiał, rzekł Gustaw. W tém właśnie miejscu rozmowy wniesiono świece, gazety i listy z poczty, które Gustaw z tego miejsca odbierał. Jeden był z czarną pieczętką do Maryi. Zadrzała, biorąc go w ręce i spojrziała na Gustawa; on niespokojny zdawał się zgadywać, od kogo był. Marya dawno już o tém wiedziała, rozpieczętowała powoli, uśmiechając się, zbladła czytając, dokończywszy, pochyliła się, krzyknęła i omdlała.

Rzucono się ratować, Gustaw list porwał. — Był to list Olesia oznajmującego im, że się zastrzeli. Drugi list p. Werner pisany w okropnym gniewie, wyklinał córkę i zięcia, — Gustaw niepokazał go Maryi.

## XXXII.

### LIST. OLESIA.

Ledwie się znajdzie kto ciało pogrzebie!  
Takim ja chcę być przyjacielem tobie,  
Lecz wolę, że ty płaczesz na mym grobie!

*Kochan. ks. I. XV.*

**Z**egnam cię, Maryo tego samego dnia, którem cię miał słodkiem imieniem żony powitać, że-

gnam cię, bo kochasz innego, bo nie chciałaś być moją. Zegnaj i życzę ci szczęścia, tyle szczęścia, ilem sobie marzył przeżyć z tobą. Dziękuję ci i za kilka chwil nadziei. Bądź zdrowa! Gdy ten list odbierzesz, ja już żyć nie będę. — Bądź zdrowa!

### XXXIII.

## ŻYCIE.

Lutni moja ty ze mną, bo twe wdzięczne strony  
Cieszą umysł strapiony,  
A troski nienśpione

Prędkim wiatroin podają za morze czerwone!

*Kochanowski. ks. II. VII.*

Nie będę wam opisywał kilku dni szczęśliwych pierwsiosnku życia Maryi i Gustawa, nie były one jeszcze takie, jak im się wydały zdaleka, ciężko wspomnienie gniewu rodziców, przekleństwa ojca, zamknięci sami z sobą wyczerpawszy rokosze, pieszczoty, rozmowy, spojrzeli po kilku dniach w jasną przyszłość i zobaczyli ją szarą, długą, smutną. Marya dla siebie widziała w niej jeszcze tysiące odmian, zatrudnień, uczuć, dom, dzieci, cały świat kobiecy. — Ale poeta, biedny poeta! uczuł okropny mróz na sercu i z rozbijającym się urokiem



miłości, która schodziła z nasyceniem, ujrzał po kilku dniach w Maryi, już nie Anioła, lecz prostą kobietę, piękną, przywiązaną do niego namiętnie, ale poziomych uczuć i myśli. Smutny spuścił głowę, widząc, jak się oszukał i jak, co się pod maską miłości wydawało aniołem, było tylko człowiekiem. Marya po ziemsku przyjmowała poetyczne jego zapęły, miłość jego eteryczną, przyjmowała nierozumiejąc i nie pojmując jego charakteru, niemogąc często pojąć myśli z zimnem posłuszeństwem, słuchała tylko biernie słów jego, przyjmowała cześć, która ją otaczała, i rozumiała, że tak być powinno, nie wiedząc dla czego. Często pokazywała się między nimi ogromna różnica charakteru i upodobań, kiedy Gustaw chciał błędzić po księżycu, słuchać słowika i dumać z nią na przechadzce, ona przypominała mu godzinę wieczorny lub spoczynku, rozbijając jego myśli niebieskie i złudzenia, swojemi ziemskimi prawdami, swoją ziemską, zimną rzeczywistością. Kiedy jęj mówił o dawnéj dziecinnéj miłości, ona mówiła, że woli terażniejszą; często wśród dumań poety, przybiegała go rozerwać drobnostką jaką domową, często gdy głośno marzył o świecie i niebie, przerywała rozmowę o sukience, o spodziewanych dzieciach, o jedzeniu i t. p. To prędko przekonało Gustawa, że poeta chcący zostać poetą na zawsze, nie powinien się pętać w małżeństwo, kochać tylko zdaleka,

tylko na krótko, żeby nasycenie i zbliżenie do rzeczywistego, materyalnego życia, nie zabiło jego najdroższych urojeń. Przekonał się biedny, że niema aniołów na ziemi, chociaż ich skrzydła przyprowadza czasem ludziom chwila miłości, chwila odurzenia, której nikną wszystkie wady ludzkie, oświecone zapalem: przekonał się, że szczęście poety zawsze w dumaniu i nadziei, nigdy w dotykalmnej rzeczywistości szukać się nie powinno.

Lecz te uwagi przysły za późno, bo już ciężar materyalnego życia całem swoim nieznosnem brzemieniem zwałił się na niego, i w prędkę Marya jego dzieciństwa, Marya jego ulubiona, stała się pospolitą Marysią z kluczami u pasa, w czepeczku nocnym i przydeptanych trzewiczkach. A te rozkosze zdaleka tak błyszczące, długie, prędko spowszedniały i wybladły.

— Więc marzenia nas zwodzą? więc szczęście jest tylko w marzeniu? pytał sam siebie Gustaw, więc rzeczywistość, którą kupujem na wiarę marzenia, zawsze nas oszukuje? Nie, — odpowiedział sam sobie, — marzenia w tém tylko nas zwodzą, że nam pokazują długiem, to, co tylko trwa chwilę. I taki jest zwykły chód szczęścia, — długie marzenie, krótka chwila rzeczywistości, a potem wieki wspomnień i żalu.



# XXXIV. RZECZYWISTOŚĆ I MARZENIE.

Gościu! tak jakoś począł, już do końca czytaj.  
A jeśli nie rozumiesz, i mnie się nie pytaj  
Onac to część kazania, część niepospolita,  
Słuchaczom niepojęta, kaznodziei skryta!

*Kochan. Fraszki. ks. III.*

**K**toby był przewidział w tym uścisku tak rozkosznym, mówił do siebie Gustaw zamknięty między książkami, w których znowu szukał zajęcia, zatrudnienia, ułudy, już zgasłych w małżeńskim życiu, — ktoby się był spodział, że po téj rozkoszy tak prędko następuje przesyce nie, ktoby się domyślił, że to, co nam się zdaje obiecywać całą wieczność szczęścia, daje ledwie dni kilka, któż mógł przewidzieć, że miłość ginie tak prędko i topnieje w rozkoszy? Jój trwanie podsycają przeszkody, łzy, rozpacz, a uścisk ją gasi? Ktoby się spodziewał, ktoby uwierzył spodziewając się nawet, że życie z kochanką staje się długim zawodem, w którym złudzenia, uroki, w jakieśmy ją stroili, zdzieramy powoli, po kawałku, i dziwim się, widząc pod niemi tylko kobietę, bez skrzydeł anioła, bez serca anioła! prostą kobietę!

A jednak to, czego najmniej można się spodziewać kochając, tego się koniecznie spodziewać potrzeba.

Przywiązanie, szacunek, wszystko zostać może, miłość pierwszych rozkoszy nie przeżyje.

Bo przywiązanie jest to nałóg serca, bo szacunek jest to dług sumienia, a miłość jest poetycznym złudzeniem, które żeby długo zatrzymać, nie trzeba dotykać palcami, jak bańki z mydła, bo się zmieni w kroplę brudnej wody. — Lecz stało się, jestem żonaty, dochowam wszystkich obowiązków, jakie na mnie stan mój wkłada, pójdę drogą życia, a słodząc nudy, rzucę się do dawniej pracy, do dawnych dumań i marzeń, utopię się w książkach!

Tak też i zrobił Gustaw. Marya znalazła w domu całodzienne zatrudnienia i zabawy, któremi zapełniała czas, przymuszona trawić go sama, — wieczorami schodzili się gwarzyć i czytać. — Lecz bliższe poznanie żony, same smutki Gustawowi przyniosło, im dłużej z nią żył, tém bardziej się przekonywał, że ona mniej jeszcze od wszystkich go rozumie. Marya bowiem, najlepsza w świecie kobieta, przywiązana do niego całą duszą i sercem, jak lwica do dzieci, która za nich walczyć pójdzie i da się zabić, Marya, — nie miała w duszy ani kropelki poezyi. Książki były dla niej rzeczą obojętną i te tylko czytała, które ją mogły rozśmieszyć, — innych nie rozumiała. Zapał w jej oczach wydawał się rodzajem oblakania, exaltacją, a nie zrozumiałem pomieszaniami. Lord Byron, kochanek Gustawa, dla niej był tak nudny, że sto razy od niego wołała Pigaulta, zbiory anegdot, dowcipne wierszyki i tym po-



dobne dzieciństwa, których Gustaw cierpieć nie mógł. Proszę sobie wyobrazić jego życie z kobietą, która nie dzieliła jego zdania, nie rozumiała jego myśli, jego smaku wytłómaczyć sobie nie mogła; która, jednym słowem, nierozumiała nawet alfabetu języka, którym on myślał, i mówił całe życie. Lecz Gustaw na szczęście miał cierpliwość, rzadką cnotę u poetów; cierpliwość, którą utrzymywała pamięć poświęcenia się Maryi dla niego, wdzięczność za jej przywiązanie czułe, uprzedzające, przywiązanie matki, sługi, psa, kochanki i żony. Marya bowiem uprzedzała wszystkie jego materialne potrzeby, zgadywała, myślała o nich za niego, dotykała najdrobniejszych szczegółów, aby on się niemi nie zajmował i zostawiała mu czas dumania, pisania, czytania, zatrudnień, których wagi zrozumieć, celu pojąć, upodobania uczuć nie mogła. Takie to było życie Gustawa i Maryi, poety i kobiety; — i nieuchronny skutek marzeń dających nadzieję, — tłumiące przeczenia i rady rozumu.

— Lecz czy wszystkie kobiety są takie, jak Marya? myślał Gustaw. Żadnaż z nich nierozumie zapału, poezji tamtego życia drugiego, z którego Marya ciągnie mnie na ziemię, żadnaż z nich nie może się utrzymać ze swoim lubym, w tém niebie poetyczném pierwszych chwil miłości? To pytanie, na które niemógł inaczej sobie odpowiedzieć, jak przeczeniem,

uczyniło go niespokojnym. — Więc mógłbym być szczęśliwszym? rzekł sam do siebie, tyłkom szukać i znaleźć nie umiał! —

## SHAKESPEARE.

Idąc mimo libraryj

Kędy mądre księgi biją — —

*Kochan. Fraszki. ks. III.*

**G**ustaw pojechał do miasta, już się nudził, choć był na wsi ulubionój. Wszystkie dumania jego, przerywała żona, pytając co chwila, czy nie chce jeść? i tak mu dokuczyło to staranie zwierzęce, bez żadnego pokarmu duszy, bez téj rozmowy poufałej, której z żoną o innych rzeczach jak o nudnych szczegółach domowych prowadzić nie mógł, — że wyjechał. Wiózł znowu swoje poezye, swoje roboty do druku, ale nie tak jak wprzód, kiedy im musiał szukać ojca, coby je na świat kosztem swoim wypuścił. Teraz wiózł je z posagiem, gotów zapłacić za nie. Zaraz go téż księgarze inaczej przyjęli. Ten sam, żółty, z ryżemi bakenbardami i wygryzionemi usty, któren się tyłem do niego i jego poezyi obracał, teraz podał mu krzesło, katalogi, uśmiechał się, kręcił, poczuwszy pieniądze, jak pudel kiedy widzi kawał chle-



ba w ręku człowieka. Gdyby takie zdarzenie nie godne było litości, warte by było śmiechu. — Rzuciwszy swoje poezye, o których druk się ugodził, Gustaw siadł w księgarni, wybierać książki, które miał z sobą powieść do domu. Cały stós ich ułożono przed nim, a ryż typografo-bibliopola zacierał ręce, licząc ile mu to da zysku; oblizywał się, szachrował, zachwalając każde dzieło, opowiadając anegdotki, zdarzenia, bibliograficzne wiadomości o dziełach, z całą uprzejmością, z jaką zwykle ci ludzie dają w dodatku do towaru, jeśli go kto dużo bierze. Dziwna rzecz, że i żydzi mogli się tego nauczyć!

Gdy tak zatrudniony siedzi Gustaw, weszły dwie kobiety. — Księgarz nim siedzieć poprosił, spojrzał czem przyjechały. — Karetą! — Porwał się zaraz, wyrzucił z za komtuaru krzesła, zaczął [się] kłaniać i prawić komplementa, grzeczności, wszystkimi językami tego świata.

Kobiety spojrzały na Gustawa, Gustaw na nie.

Dwie ich było, jedna średniego wieku dość otyła, niepiękna z twarzą pospolitą i nie charakterystyczną, druga młoda, biała, wysmukła, bardzo wdzięczna blondynka. Ta pochwyciła katalog z dziecinną radością.

— Ach moja Mamo! zawołała, co ja tu książek nakupuję! I zaczęła wybierać z niesłychanym pospiechem, pożądlivością, poetów, hi-

storyków, moralistów, romanse, wszystko co było nowe, sławne lub ciekawe. Księgarz kilka razy podsuwał jęj trochę dawniejsze książki bez żadnej wartości; ale ona spojrzawszy na nie odpowiadała: —

— Znam to dawno! czytałam, słyszałam o tém, to nic nie warte! Gustaw z podziwieniem patrzył na nią i ciekawość jego rosła w miarę, jak się pokazywało, że życie téj kobiety, musiało być jedynie długiem marzeniem nad książkami.

— Czemuż takięj nie znalazłem, rzekł w swoim sercu smutny, bylibyśmy się zgodzili z sobą! I ona zapewne jak ja oszuka się na wyborze towarzystwa i męża, — będzie ją kochał, nie będzie rozumiał!

Błada panienka, chciała jeszcze dostać najnowsze tłómaczenie Shakespeara, lecz Gustaw tylko co dla siebie ostatni exemplarz odłożył.

— Ten pan, rzekł księgarz, wskazując na niego, kupił ostatni exemplarz, może na prośbę odstąpi pani. Panienka trochę się zakłopotowała, lecz chęć posiadania Shakespeara przemo-gła nieśmiałość i obracając się do Gustawa, odezwiała się bardzo pocichu.

— Czy nie mógłbyś pan być tak łaskaw odstąpić mi Shakespeara, trudno mi go będzie dostać, — wielcebym była panu wdzięczna.

— Odstąpić go nie mogę, odpowiedział Gustaw prędko, lecz jeśli pani pozwoli go sobie ofiaro-



wać, będę szczęśliwy, jeśli się nim przysłużyć potrafię.

Matka i córka stanęły wryte, niewiedząc co i jak odpowiedzieć, — nieznały Gustawa, — milcząc, można było obrazić; mówić, nie pojmowały, jaką myślą, jakim tonem. Uprzedził je Gustaw, oddając służącemu książki i powiedział:

— Prawda, że nie jest przyjęto na świecie, od nieznanomego podarunki przyjmować, lecz między nami równem jest wszystko. Ja również nie mam szczęścia znać pani, jak pani mnie, pierwszy, a może i ostatni raz w życiu widziemy się, czemużby niewolno nam było, zostawić sobie pamiątki? Wolno jest czcić i szanować zwyczaje świata tym ludziom, co nic innego do roboty nie mają; lecz kto czyta Shakespearą, możeż na to uważać?

Matka z córką spóirzały po sobie, i Gustaw odebrał takie podziękowanie od panienci, za jakie byłby oddał całą księgarnią, nie jednego Shakespearą i to jeszcze tłómaczonego. Potém zaczęła się rozmowa o książkach między nim a nieznaną, do której matka ani słowa nie przymieszała. W godzinę byli sobie tak znajomi, jak gdyby od dzieciństwa z sobą razem żyli, chociaż nie wiedzieli nawet swoich nazwisk; a gdy już trzeba było rozstać się koniecznie, pożegnali się, pokazując sobie oczyma, jak im smutno się było rozstawać. Na progu zamienili adressy i

Gustaw odszedł wesoły z téj znajomości, mówiąc do siebie.

— Czemuż moja Marya nie czyta Shakespearą? —

### XXXVI.

## LUCYA.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,  
Tęgoć nie wydrze nieprzyjaciół srogi,  
Nie spali ogień, nie zabierze woda, —  
Nad wszystkim innem, panuje przygoda.

*Kochan. ks. II. III.*

**J**akąż śliczną zrobiliśmy znajomość, moja droga Mamo, wołała Lucya, klaszcząc w ręce i skacząc po sali.

— Cieszę się bardzo, moje dziecię, że ci się ten pan tak podobał, ale wstrzymaj się z tym zapalem, póki się o nim niedowiemy cokolwiek.

Wstrzymaj się! Słowo starych, słowo zimne. Powiedz sercu poetycznemu młodej dziewczyny, powiedz zapaleńcowi młodemu, wstrzymaj się! Słowem je zatrzymać, jest to chcieć palcem zatamować bieżący z góry strumień. O w jakże słodkich marzeniach przepędziła Lucya noc całą! Ten człowiek przypadkiem poznany, już był w jéj sercu, on ją rozumiał, on mógł całe jéj życie uczynić tak poetycznem, ja-



kiem je sobie życzyła i wyobrażała, on mógł to uczynić, on jeden. Ci ludzie inni, których widziała koło siebie, stworzenia bez duszy, prawali ję o koniach i kartach, o ubiorach i pojazdach, on o Shakespearze i poezyi! Razem mogli się wznosić do nieba, marzyć całe życie! Łucya w téj gorączce nadziei przepędziła noc całą. —

— Pojedziem na wieś, będziem czytać, przechadzać się, śpiewać, grać, będziem marzyć, dumać, ach! będziem tak szczęśliwi! będziem się rozumieć, będziem przeczuwać swoje myśli, polecim wysoko! polecim daleko! —

— Mamo! zawołała wstając rano, całą noc śnił mi się ten p. Gustaw, zdaje mi się, że go kocham.

— Wstrzymaj się, moje dziecię! odpowiadała matka.

Wieczorem byli goście na herbacie, ale Gustaw nie przyszedł. Matka Łucyi troskliwa i niespokojna, jednego z przytomnych zapytała, czy nie zna Gustawa.

— Jakże nie! jestem jego sąsiadem! odpowiedział p. Perelka. Osobliwszy człowiek! Jego historia do bajki podobna. Naprzód był to ubogi chłopiec, wyratował Hrabinę N. z pod koni, kiedy jeszcze była ubogą, a ta po wygraniu procesu, zapisała mu wielki majątek, teraz niedawno wykradł cioteczną swoją siostrę i ożenił się z nią.

— Więc żonaty! zawołała Łucya, okropnie zdziwiona i pomieszana.

— Żonaty od roku! odpowiedział p. Perelka.

— Jakiś niebezpieczny człowiek, szepnęła matka, wykradł, powiadasz pan! wykradł!

— Wykradł w wilją jój szlubu! ts! ach o toż i on!

Wszedł Gustaw, — zimno go przyjęto.

Łucya spadłszy z wysokości swoich marzeń, bezsilna, smutna, milcząca, nie umiała słowa powiedzieć. Spojrzał, — i przytomność pana Perelki wytłómaczyła mu wszystko.

— Już wiedzą moją historiją, pomyślał, ale to nic jeszcze. Siadł więc przy Łucyi, zaczął rozmowę o poezyi, o książkach. Z początku milczała, lecz powoli poruszyły się strony jój duszy, zapomniała o wszystkim, a Gustaw nieznanie nakręcał mowę do tego, co jój chciał powiedzieć, uparczywie siedząc przy niej, chociaż rozumiał dobrze, co mu chciały mówić niepokojne oczy matki nieustannie, na nich zwrócone.

— Wiesz pani, rzekł nakoniec, smutno przepędziłem ten czas, który przeszedł od pamiętnej chwili naszego poznania. Myślałem o szczęściu człowieka, któryby znalazł drugą duszę swojej podobną, mogącą go zrozumieć. Ten, któremu los nie dał trudnych do uskutecznienia nadziei, którego myśli cały świat rozumie; łatwo znajdzie drugą duszę swojej podobną, bo ich jest miliony. —



— Ale, to dziwna, przerwała Łucya, że pan o tém mówisz, jak gdybyś nie był żonaty.

— Mówię o tém i czuję to, jak gdybym nim nie był! odpowiedział Gustaw.

Łucya chcąc prawdę wybadać, spojrzała mu w oczy — toż samo i oczy mówiły.

— Więc to jest niepojęta zagadka, odezwała się, po chwili. — Sądziłam, że ta, którąś pan tak gwałtownym, namiętnym otrzymał sposobem, musiała go zrozumieć, musiała być drugą jego duszą? —

Gustaw milcząc, potrząsnął głową. Łucya wstała z krzesła i uśmiechnęła się, pomyślawszy. — Ona go nie rozumie, a ja go rozumiem! — I Gustaw wstał także, bo się już wytłómaczył, wielki ciężar z serca zrzucił. Oboje spokojniejsi się rozeszli; lecz matka równie zaturbowana i przełęczniona jak wprzody, nie spuszczała oka z córki, i z bijącym sercem uważała każde jej poruszenie, drząc na widok tego zwodziciela, o którym myśleć nie mogła, bez pobożnego oburzenia i przeżegnania się ukradkiem, jak gdyby ujrzała szatana.

Gustaw cały w myślach wyszedł z tego wieczora, — okropna walka w jego sercu się zaczęła. Dwie kobiety stały w niem naprzeciw siebie, Marya, która mu poświęciła wszystko, a nie dla niego była stworzona, Marya biedna, prosta, która niebo widziała na kościelnem sklepieniu, a miłość w ciepłym łóżu małżeńskim, — Ma-

rya, z którą go złączyły nierozzerwane węzły wdzięczności, przywiązania, przysięgi, — — i Łucya, z skronią uwieńczoną wieńcem poety, Łucya natchniona, której duszy oczy obejmowały światy, wieki, która pojmowała łatwo zapał, piękność, całą muzykę duszy, cały wdzięk natury, piękność pejzażu, choćby w nim nie było ani rozwieszonej bielizny, ani gęsi, kur, ani chlewów, Łucya, która jak orzeł mogła żyć w tych wyższych strefach, do których nie każdy podleci, w których nie każdy wzleciawszy, wyżyje eterycznym pokarmem.

Przy Łucyi było szczęście poety, przy Maryi obowiązki pocziwego człowieka. O straszną ofiaro! Jedno z tych dwojga trzeba było dla drugiego poświęcić, — cnotę lub szczęście. Gustaw myślał noc całą, płakał i rozpaczał, rzucał swój ślubny pierścionek, pełzał za nim, szukał go, całował, przepraszał. Palił go ogień wewnętrzny, niespokojność dręczyła, — lecz nad ranem stały już zaprzężone konie i Gustaw wracał do domu, rzucając szczęście dla cnoty, zostawując tylko list do Łucyi, — list z pożegnaniem.



XXXVII.

GUSTAW DO ŁUCYI.

Ja chcę podobać się w mowie,  
Nauczonej białej głowie,  
Ey mnie pochwal, moja pani,  
Niedbam, choć kto inszy zgani.

*Kochan. ks. II. II.*

**N**ie prawdaż, żeśmy się zrozumieli i niepotrzebujem tać przed sobą, dla nędznych zwyczajów i form światowych tego, — co czuję oboje. — Nieprawdaż, Łucyo, że bylibyśmy szczęśliwi! Ta myśl wpła mi się w serce i zakrwawiła je na długo, na zawsze odjęła spokójność. Wahałem się, lecz obowiązki moje oderwały mnie od szczęścia. — Marya poświęciła dla mnie sławę najdroższą kobiecie, kocha mnie, i nie winna jest temu, że mnie nierozumie. Niemogę ję opuścić, bo czuję, że byłaby nieszczęśliwą na zawsze, tak, jak ja Łucyo zawsze, bez ciebie nieszczęśliwy będę, bo dusze nasze są nastrojone do siebie i muzyka życia naszego byłaby zgodną harmonią niebieską. Przeklnijmy los, który nas rozgrodził od siebie i wierzmy, że dusze, co się kochają na świecie, znajdują się w niebie. Gdybyśmy byli wolni choćby w starości, choćby nad grobem, jakżeby był szczęśliwy, choć

dwa kroki po drodze życia przejść z tobą Łucyo. Do zobaczenia, tu lub tam, a zawsze do zobaczenia!

### XXXVIII.

## ODPOWIEDZ.

— pełen nadzieje!

*Kochanowski*, Psalterz. CII. LXV.

**W** domu czekała go osobliwsza na ten list odpowiedź.

Na stoliku w salonie, gdzie Marya krzątając się koło herbaty i ściskając swego kochanego Gustawa, starała mu się, powrót do domu jak najprzyjemniejszym uczynić, wypytując się starannie, jaka choroba jego czoło marszczy, jakich mu ziołek, jakiego lekarstwa potrzeba; na stoliku leżał Schakespeare i list dosyć gruby. Porwał go, domyślając się wszystkiego Gustaw. Odpowiedź była od matki, w środku niej był list Gustawa do Łucyi — rozpieczętowany!

— „Niewiem, pisała matka, co mogło pana ośmielić do nieprzyzwoitego postępu, którym podobało się panu nas upokorzyć. Ani ja, ani moja córka niepojmujem tego. Odsyłamy panu list przez omyłkę rozpieczętowany, i podarunek, którego nieuważne przyjęcie, tak dalece uzuchwalało pana. Życzym szczerze, aby krótka



znajomość zapomnianą, a wszelkie stósunki przerwane zostały.

*Kornelia z D :: F. ....*

Z gniewem rzucił Gustaw list zmięty do pieca, ale z koperty wypadł jego własny. Otworzył go machinalnie, lecz jakże się zdziwił, gdy u spodu ujrzał obcą ręką drobnym charakterem powtórzone te słowa: — „Do zobaczenia! Imaleńkie *Z* u spodu.“ Uśmiechnął się, wstał i zaczął chodzić. —

— Cóż to za interes i listy? zapytała go Marya, co cię tak zajęły.

— Dzieciństwo! odpowiedział Gustaw zimno, chodziło mi o książki.

— Pewno ci, pożyczwszy, oddać nie chcieli, — dodała troskliwie, a jeszcze tak dużo! a pewno tak drogie! Gustaw ruszył ramionami. —

— Coś podobnego! odpowiedział. Maryo! każ zanieść te książki na górę.

— W ten moment! I zaraz pobiegła sama biedna Marya, dźwigając całego Schakespeara w fartuszkę.

— Położyłam go u ciebie na kanapie.

— Bardzo ci dziękuję! Dobra noc, moje serce.

— Głowa cię boli?

— Nie, — ale jestem zmęczony.

XXXIX.

JA GO NIE ROZUMIEM.

A ta dopiero zlekła się nieboga,  
Gdzie spojrzy, zewsząd morze, zewsząd trwoga.  
Brzegu nie widać, przewoźnik niepewny,  
Strach serce ujął, a oczy płacz rzewny!

*Kochanowski, Ks. I. VI.*

**W**krótce Gustaw znowu z domu wyjechał. Tego czasu użyła Marya na uporządkowanie jego gabinetu, ciesząc się, że tak wszystko zostanie odświeżone i czyste. W oknie poustawiała kwiatki, które lubił, porozkładała książki na tém samém miejscu, w którém czytać przestał, pościierała pył, odczyściła jego ulubione obrazy i zebrała w jedną szufladę wielką kupę papierów rozsypaną na podłodze. Lecz ciekawa, jak kobieta, kaźden z tych pogryzmołonych kawałeczków przeczytała wprzody. Były tam listy, wiersze zaczęte i pomazane notatki, uwagi, rysunczki, plany i tytuły dzieł — cały śmietnik literacki.

Na nieszczęście w tym osobliwszym zbiorze leżał zapomniany i porzucony przez roztargnienie list do Łucyi! Marya go przeczytała i myśl, którą w nim znalazła, jak błyskawica oświeciła jęj przeszłość.



— Więc ja go nierozumiem! zawołała, zalamując ręce, ja, starając się każdą cbwilę życia poświęcić dla niego, ja, co we śnie nawet myśle tylko o jego przyjemnościach, o nim i o nim tylko. — Ja go nie rozumiem! I biedny Gustaw męczy się zemną, poświęca się dla mnie. Mogęż mu zostać ciężarem i przeszkodą do szczęścia? — Czemuż mi Bóg nie dał tego, co ma Łucya! żebym i ja mogła go zrozumieć. Czemuż myśl moja błądzi zawsze po ziemi, kiedy jego jest w niebie? Biedny Gustawie! ja niechcę twego poświęcenia, — rozstaniem się, ale ty niebędziesz wiedzieć, dla czego?

Położyła list z drugiemu, poprawiła płacząc kwiatki na oknie, książki na stole, siadła i lzy jej biegły po twarzy i sercu.

— Czyż ta, co cię tak rozumie, będzie jak ja myśleć o tobie, czyż ci odświeży twoje bukiety, czy ci posadzi pod oknem twoje bzy, fijołki i róże, czy ci przygotuje drewek do twego kominka, czy będzie tak, jak ja czuwać nad tobą, jak nad dziecięciem swój duszy. I ja ciebie nierozumiem! Nierozumiem! prawda! przykutą jesteś do mnie, jesteś myślą moją jedyną, jedynem szczęściem; lecz kiedy ty dla mnie chciałeś szczęście poświęcić, czemuż ja ci nie mam oddać swojego! Oddam ci swoje; o oddam ci swoje! Bo nierozumiem ciebie! Czemuż ja ciebie nierozumiem! —

I biedna Marya płakała, siedząc w pokoju Gustawa, pierwszy raz oddawna płakała, bo dotąd jój życie z nim było tak zajęte pełne, żywe i wesołe! — Trzeba uciekać, powiedziała sobie z tego spokojnego domu, od mego Gustawa od tylu pamiątek, od takiego szczęścia. — Uciekać — i dokąd? — Rodzice mnie nie przyjmą — nikt niezna! pójdę jednakże — bo trzeba, żeby Gustaw był szczęśliwy! — I znowu płakała, niemogąc się rozdzielić z tym domem, do którego ją przywizały pierwsze dni pożycia z Gustawem, w którym już myśl jój wysłała gniazdo na całe życie, z którego trzeba było uciekać, niemając dokąd! —

## XL.

### CORKA, OJCIEC I MATKA.

Bracia się mnie zaprzeli, matki mój synowie.  
Ten cudzoziemcem, i ów mnie zowie.

*Kochanowski, Psalterz, CII. LXIX*

**K**iedy Gustaw powrócił do domu, Maryi już nie było; wyszła niewiadomo dokąd, sama jedna piechotą, nic z sobą nie wzięwszy, jak nie prócz serca nieprzyniosła. Biedna! nierozumiała poety, ale rozumiała poświęcenie, — poszła do domu, do matki.

Wieczór był, gdy znużona drogą, z pokaleczonymi nogami, usiadła, patrząc w oddaleniu na



dom rodziców, ogród, kasztan znajomy i te łąki, na których dziecięciem jeszcze zbierała kwiatki z Gustawem. — Łzy biegły z jęj oczu: tyle czasu od tych lat ubiegło, tyle się rzeczy zmieniło i ona z pieszczonego dziecka była wygnanką, sierotą, bez domu, bez przyszłości. Psy ją tylko poznały na dziedzińcu, nikt więcéj. — Weszła do pokoju matki i rzuciła się jęj do nóg.

— Matko! to ja! zawołała, padając.

Pani Werner porwała się —

— Ty!! cóż się stało? ty Maryo? cóż się stało z Gustawem.

— Uciekłam od niego i przyszłam do ciebie.

— Wypędził cię?

— Nie! on tam może płacze po mnie! Lecz kocha inną i zemną niemoże być szczęśliwy. —

Trzeba się rozstać, wróciłam do ciebie.

I obie padły w swoje objęcia, i wiele łez było w tym uścisku.

— Lecz ojciec, ojciec cię nie przyjmie, odezwiała się matka po chwili — jemu o tobie wspomnieć nawet niemożna!

— Więc i ztąd pójdę, — odpowiedziała Marya, daj mi tylko błogosławieństwo na drogę!

— O nie! niepuszczę cię, zawołała matka, lub pójdziem razem! Chódz ze mną!

W pokoju przechadzał się pan Werner, matka weszła naprzód, śmiało, prowadząc córkę za sobą.

— Nasza córka wraca do nas, rzekła stanowczo, nim pan Werner miał czas przyjść do siebie z zadziwienia.

— Córka, wrzasnął okropnie, ja nie mam córki! ona splamiła moje imię, ona nas zhańbiła, ona nie jest moją córką! ja jej nie znam, ja ją przekląłem! ja nie mam córki. — I odepchnął Maryą, która leżała u nóg jego i odskoczył w drugi koniec pokoju.

— Precz gadzino! precz odemnie!

— Ojczy! odepchnij, lecz nie przeklinaj, słabym głosem odezwiała się Marya.

— Przeklinam! zawołał ojciec. Ona pełzła do niego i głowę położyła na jego nodze, i całowała ją płacząc! biedna Marya!

— Idź precz! słyszysz! idź precz, nierządniczo! nie znam ciebie, znać niechcę! idź ztąd, idź precz! I w gniewie uderzył ją nogą po głowie. Padła bez przytomności.

Pani Werner skoczyła do niego —

— Barbarzyńco! zawołała, obejmując córkę w rozpacz — zabiłeś swoje dziecię — potworo! Patrz! ta krew to twoja! zabijże i mnie jeszcze, zabij wszystkich, zabij, żebyś sam został!

Werner krew zobaczył, zakrył twarz rękami, rzucił się do drzwi i chciał uciekać.

— Nie! nieucieciesz! zawołała matka, chwytając go za rękę, nie, nie ucieciesz zbójco od tego widoku. Chódź! patrz! pij tę krew! Zabij mnie, zabij człowieku bez serca, ty, coś mnie



męczył lat tyle, dobij nas razem!! dobij! I chwyciła go i darła na nim suknie z rozpacz. Werner blady, osłupiały, nie miał nawet głosu, żeby wołać o ratunek. Sądził, że zabił córkę, drżał cały i niewiedziały co począć. Wtém drzwi się otworzyły i Franciszek wszedł ze swemi nieodstępniemi chartami — stanął. —

— Co to jest? kto to? zawołał.

— Trup twojej siostry, krzyknęła matka, którą on zabił, trup twojej siostry, trup twojej matki, której życie z piersi ucieka, a to trup twego ojca, który wylał krew swoją!

Franciszek jakkolwiek nieczuły, rzucił się na ratunek siostry, i uspokojenie matki. Ojciec jak nieżywy, osłabiony, niemy, leżał na kanapie bez przytomności.

Marya ocuciła się.

— Matko! zawołała, matko!

— Chódź, dziecko moje! chódź odpowiedziała matka, pójdziem z tobą w świat, pójdziesz z tą raną na czole, z raną zadaną od ojca, pojedziesz go oskarżyć przed ludźmi i Bogiem; niech sam zostanie, niech go sumienie gryzie, jeśli ma sumienie!

Obiedwie szły ku drzwiom. Lecz Werner porwał się z kanapy i drzwi uchwycił.

— Ty, — precz! rzekł do córki, — ty zostań!

— Żebyś mnie męczył powoli i piekł wolnym ogniem, potworo! pójdziem obiedwie. Mi-

miałabyś znać mnie obcą, kiedyś nieznał córki!

— Po co ona tu przyszła, krzyknął ojciec, niech niesie swój wstyd po świecie, — ja jej nieznam, ja ją przekląłem.

Marya wyrwała się od matki, pobiegła do drzwi i znikła! Ale serce matczyne rozdarło się okropnie, odepchnęła męża, i z krzykiem rzuciła się za córką.

Spójrzała, — w oddaleniu widać ją było uciekającą drogą, — biegła za nią, — spotkały się.

— To ty matko?

— Ja, moje dziecko, — pójdziem razem! Przyciskała ją do piersi issała krew z jej rany.

Franciszek dość niespokojny, stał na ganku i charty zwoływał. Werner chodząc po sali, poprawiał perukę, — a dwie kobiety poszły i nocowały w lesie. Nazajutrz obie były w klasztorze. Nikt nie posłał za niemi, nikt ich nie gonił; tylko dano znać w tydzień, że p. Werner ubity został apopleksyą. Franciszek nie wezwał matki do siebie, odesłał, co do niej należało, zapewnił, że dotrzyma testamentowego zapisu i oznajmił, że Marya była wydziedziczona, dla niego zaś świętą była wola nieboszczyka ojca.

Lecz im, które zerwały wszystkie związki ze światem, obojętnem to było: zamknięte w klasztorze, płakały obie, ale łez ich nikt nie widział, jęku nikt nie słyszał, smutku nikt nie zmierzył prócz Boga.



Próżno Gustaw płakał u furty klasztornej i domagał się chwili rozmowy z Maryą, ona była nieubłagana; niechciała go widzieć, żeby nie stracić odwagi do poświęcenia. — Rozwód był łatwy, pokrewieństwo dało powód do niego. Jednego dnia razem z matką wdziały suknię zakonną. — W tym dniu ostatni raz widział ją Gustaw, i płakał rzewnie, kiedy rozciągnięta na całunie, umierała dla świata, kiedy piękne jej włosy ucięto, i strasznej, wiecznej wysłuchano przysięgi! Odwracając się od ołtarza, spojrzała na tłum boleśnie, ujrzała Gustawa, krzyknęli oboje, i ciężkie drzwi klasztorne zapadły za nią na wieki! —

## XLI.

## ZNOWU ŁUCYA.

Samy cię ściany wołają,  
I z dobrą myślą czekają,  
Lipa stojąc wpośród dworu  
Wygląda cię coraz z boru —  
Kaź bystre konie zakładać,  
I sama się gotuj wsiadać.  
Teraz najweselsze czasy.

*Kochan. ks. II. II,*

**T**e wypadki czarną plamę zostawiły na sercu Gustawa, wprzód on był człowiekiem niż poetą został. Boleśnie mu było dzwigać tyle poświęceń na swojej głowie, dla niepewnego szczęścia.

Został wolny, ale jego wolność okupiona krwią i gorzkimi łzami, niebyła drogą do szczęścia. Tę same wspomnienia, któremi żył wprzód, teraz go truć miały, — nasienie pamiętek łzy rodzi.

Długo zamknięty siedział w domu, niewychodził na świat, nie widywał ludzi i co wieczór opatrywał pistolety, kładąc je przy łóżku i uśmiechając się do nich. — Myśl samobójstwa krążyła koło niego, ścisnęła go za serce, wrzała w głowie, stawiała co krok przed nim. — Wogrodzie kazał kopać mogiłę, a na kamieniu taki sobie przygotował nagrobek.

Czyja mogiła? czyj krzyż nad drogą

W niepoświęconej ziemi?

O! nie bluźń usty, nie deptaj mnie nogą,

Jam tutaj, ja śpię na wieki,

Tu nad drogi rozstajni! —

Żółty mi piasek zasunął powieki,

Nad głową sucha krzewina się wzniosła,

W nogach rośnie blade kwiecie,

Na piersiach trawa wyrosła,

A serce kamień mi gniece. —

W okół cicho na grobie,

Pusto nad twoją mogiłą,

I nikt nie przyszedł płakać po tobie,

Jakby tu ciebie nie było!



Za życia, ludzie z serca swego wyrzucili,  
Po śmierci z swoich smętarzy.

A ja dla nich i w strasznój pożegnania chwili,  
Niemiałem w sercu żołci, ni gniewu na twarzy.  
Za życia, kiedym oczy ku niebu podnosił,  
Kiedym mówił, że cierpię, kiedym ciężko wzdy-  
chał. —

Tłum mnie za szalonego śmiejąc się ogłosił, —  
A kiedym płakał; — szydził i szydząc odpychał!  
Teraz kiedy mi życie, o którym nie prosił,  
Długo leżąc na sercu, to serce rozbiło,  
Uwierzyli, że cierpiał! — lecz chcieli, bym  
znosił

I znowu odepchnęli, aby pod mogiłą,  
To biedne ciało razem z ich ścierwem niezgniło!

Tak potępiony w życiu i po zgonie  
Żem cierpiał wiele i uległ cierpieniom; —  
Załuję dzisiaj, że niemiałem w łonie  
Serca równego ich piersi kamieniom!

Żegnam was wszyscy, żegnam Cię, — Bądź  
zdrowa!

Ach ktoż mi zamknie skrwawione powieki?  
Na czyje ręce upadnie ta głowa?  
Żegnam was, żegnam, — może nie na wieki!  
Może tam mnie czekają, długie szczęścia  
chwile,

Bo tam dawno nadzieje i serce uciekło. —

Może pokój przynajmniej odzyskam w mogile,  
A piekła się nie boję, — bo tu miałem piekło! —

A kiedy w pół z nudy, w pół z potrzeby,  
wychylił się na ten świat otaczający go, prę-  
dko uciekał od niego, niezrozumiany, wyszy-  
dzony, rozpaczający. I w takich to chwilach  
rodziły się poezye, które ten tylko uczuje i zro-  
zumie, kto w podobnym był położeniu; poezye  
podobne następnemu urywkowi. —

Poeto! na coż ci było,  
Rodzić się na ten świat? —  
Żeby wzdychać za mogiłą  
Wiele nieprzeżytych lat.  
Kiedy z oczyma w niebie,  
O Bogu nucisz i duszy;  
Chcą, żebyś myślał o chlebie  
Pieśń twoja ich nieporuszy;  
Oni żądają od ciebie,  
Nie pieśni, nie myśli, nieba,  
Tylko złota, tylko chleba!

O! na coż rodzić się było,  
Synu bólów, cierpień dziecię, —  
Twój świat jest za mogiłą,  
Twój świat nie na tym świecie.

Jeśli porzucisz lemiesz i pług twojej roli,  
Jeśli słowem nakarmić zechcesz dusze ludu,  
Świat ci uczyć i śpiewać, dumać niepozwoli;  
Bo nie zna słów potęgi, ani myśli cudu. —



Dla ich duszy i ciała jednej strawy trzeba,  
Tylko złota, tylko chleba!

Podaj im jedną ręką tajemnice światów,  
Podaj im myśli wielkie o Bogu i niebie;  
A w drugiej trzymaj tylko nędzną garść dukatów,  
Za złoto cię uwielbia, — za myśl przeklną ciebie!  
Bo w tym ludzkich twarzy tłumie,  
Któż bratnią duszą poetę zrozumie?

O! na cóż rodzić się było!  
Na cóż się rodzić poecie, —  
Jego świat jest za mogiłą,  
Jego świat na innym świecie!

W takich myślach i cierpieniach długi rok  
Gustawowi upłynął, i myśl samobójstwa opu-  
ściła go nareście.

Jednego ranka nieznajomy posłaniec, przy-  
niósł karteczkę, na której były tylko te słowa  
Jesteśmy wolni.

Ł.

Niewiem, co się działo w jego duszy po prze-  
czytaniu; może się cieszył, że na szerokim świe-  
cie była jeszcze choć jedna istota, którą los je-  
go obchodził, której mógł dając siebie, dać  
szczęście; — niewiem, co myślał, niewiem, jak  
się to stało, ale w krótkce Łucya została jego  
żoną.

XLII.

Ż O N A.

Żona uczciwa ozdoba mężowi,  
I najpewniejsza podpora domowi,  
Na niej rząd wszystek, swego męża ona,  
Głowy korona!  
Ona mężowym kłopotom zabiega,  
I jego wczasu na wszystkim przestrzega,  
Ona wywabić troski umie głowy,  
Słodkimi słowy!  
*Kochan. ks. II. X.*

Niewiem, dla czego ty nie lubisz Lamartina, mówiła Łucya jednego wieczora do męża, co ja, to w nim wiele wdzięku widzę.

— Bardzo wierzę, odpowiedział Gustaw, jest w nim wdzięk kobiecy. Ale poezye jego blade, koloryt ich monotonny, bez energii, mogą się podobać póty tylko, póki ich jest niewiele, potem nudzą. Czuć w nich jakieś osłabienie, nie ma ognia, — nie ma. —

— Lecz przeczyć, że nie jest poetą, — niepodobna zawołała Łucya. Każdy ma swój osobny charakter, styl, rodzaj, tok i dążność myśli. Religijno — poetyczne dumania Lamartina mimo ich słabości, jak mówisz, są bardzo piękne.

— Dla ciebie, dodał Gustaw. Nigdy niepozwole na to, aby strumień chłodnych łez, wy-



pływający niewiedzieć zkąd, i płynący niewiedzieć dokąd, nazywać poezją.

— Ależ nie wszyscy mają ten smolny ogień Bajronowski, którego po nich wymagasz.

Nareście są ludzie, co innéj potrzebuja poezyi, nie twojéj ognistéj. — Ci mają swoich, jak ty swoich poetów.

— Powiedz płaksów, rzekł Gustaw.

— Juścić odmówić im nazwiska poety, bez krzyczącéj niesprawiedliwości nie można.

— Zapewne; lecz poeta, którego myśli i wyobrażenia kręcą się zawsze w jednéj ciasnéj, choć wyższéj sferze, którego płody mają zawsze jedną formę, nie jest prawdziwie i zupełnie poetą. Jego dzieła mają i powinny mieć rodzinną cechę pochodzenia, podobieństwo braterskie, ale nie bliźniące; — bo to jest znakiem niedołęztwa. Lamartina dość jest kilka kartek przeczytać, — reszta jakby się czytała, są to wariacje z jednego tematu, w jednym sposobie.

Lucya trochę nienkontentowana zamilkła, ale po chwili odezwała się znowu.

— Czemuż nie lubisz Moora?

— Z téj saméj przyczyny, odpowiedział Gustaw. U niego zawsze, perły, drogie kamienie i kwiaty, pełno rosy i dyamentów, ozdóbek drobniotkich i błyszczących, jest to niby stary ubiór francuzki naszywany cały, bogaty i

niesmaczny. Jego poezye, tak jak ten ubiór z modą przyszedł, z modą zginął, — proste sukno dłużej trwać będzie.

— A Melodye?

— Różni się tylko od Lalla Ronckh przedmiotem, równie jak od dytyrambów odgrzewanych, ale też same mają cechy wykonania, i okazują jeden z tych mdłych talentów, bawiących pięć minut, póki są w modzie, któremi potem można dzieci usypiać.

— Bardzo jesteś grymaśny! odpowiedziała Łucya z przyciskiem. —

— Tobie, ja się nie dziwię, że się to podoba, rzekł Gustaw, kobietom, i ludziom miękkim, energiczniejsze talenta, wielkie, a dzikie jak stare dęby, nigdy do smaku nieprzypadną. Ich mózgom trzeba lekkiego pokarmu, żeby go strawić mogły. Silniejszy straszne robi wzburzenie w ich drażliwych nerwach. Nawet formy uderzające i niezwykłe, formy często cyniczne, w które rzecz czasem dla nadania jej cechy prawdy, ubrana być musi, — odrażają takich czytelników, a osobliwie kobiety. Słyszałaś zapewne, jak jedną młodą panią omdlała prawie nad nowym Romansem, matka cucić musiała, krzycząc jej nad uchem. — Serce moje, to tylko fikcyja! to fikcyja!

— Nigdy się z sobą zgodzić niemożem! odezwała się Łucya z westchnieniem.



— Przynajmniej na Shakespeara, rzekł Gustaw, siadając przy niej i ściskając ją z uśmiechem.

— Tak! odpowiedziała Łucya, grymasząc i jak pieszczone dziecko robiąc miny. — Wszakże powiadasz, że Julia i Romeo, są trochę śmieszni?

— Bo są.

— Chyba dla tego, że się bardzo kochają?

— Nie dla tego, ale że swoją miłość w dziwne ubierają słowa.

— Shakespeare i w tém nie chybił, przerwała żona, najgwałtowniejsza miłość, często, zawsze nawet jest bardzo śmieszna, a ta, co się stara być przystojną, skromną i pospolitą, nie jest gwałtowną, nie jest prawdziwą. Śmieszna więc być musiała miłość niepospolita Romeo i Julii.

— Nie jest to śmieszna, zaprzeczył umyślnie Gustaw, to samo, coby było śmieszne w innéj rzeczy, w tém śmieszném się nazwać nie może. Julia i Romeo śmieszni są dla krótko widzącego krytyka mijającego smaku, nie są śmieszni dla filozofa, bo miłość jak Proteusz tysiączne przybiera formy. Kto wie nareście, może Shakespeare chciał w Romeo i Julii, wyśmiać exaltowaną miłość, jak jeden nowy pisarz utrzymuje.

— To być nie może! zawołała Łucya, taki jeniusz jak Shakespeare nie zniżyłby się, do

pięcio aktowój i jeszcze tak nieznaczėj ironii. Często żartobliwy, nigdy on jednak tym sposobem dołków nie kopie pod czytelnikiem i widzem. Chcąc wyśmiać, wyśmiewa wyraźnie, przesadza nawet prędzėj, karykaturuje, niżby miał niewyraźnie oznaczyć.

— Zgoda! zgoda! odpowiedział Gustaw, ziewnął, dał dobranoc i poszedł spać.

— Osobliwsza rzecz, jak Łucya jest zarozumiałą, mówił do siebie, rozbierając się, jak jest zimną nad wszelkie spodziewanie. U niėj w głowie jest serce, głowa wszystko podbiła, tam cały ogień i życie! Jak jėj przywiązanie dalekie od miłości Maryi! Biedna Marya! ona mnie tak kochała! Niéma jėj, — i kwiatki moje powiędły, a nikt o nich nie pomyśli, ani o mnie. Łucya więćjsiebie niżmnie kocha, Łucya mnie rozumie, to prawda, ale zrozumiawszy, zawsze się sprzecza.

W istocie Gustaw nie mógł być szczęśliwy z tą kobietą, ona była całkiem sobą zajęta, nie myślała ani o domu, ani o Gustawie, tylko o książkach, o literaturze, o sławie, a do téj próżności łączyła jeszcze zalotność, niewinną zapewne, ale przerażającą. Prawda, że się to wszystko nagradzało wieczorami przepędzonemi w ogrodzie, nad rzeką w bzach kwitnących, słuchając śpiewu słowika, dumając o niebie; ale dnie są dłuższe od wieczorów, a w dzień często z tego nieba trzeba było zstępować do piekieł. Bo te drobnostki, któremi Marya tak do-



brze umiała rządzić, zaniedbane, sprawiły nieład poetyczny, w którym i poecie nawet trudno było wytrzymać. On na nią, ona na niego winę składała. Prócz tego w ciągłych sporach literackich, niezgadząc się z sobą w smaku, powoli ścierali przywiązanie do siebie i drażniąc się ustawicznie, powoli zaczęli sobą przykrzyć oboje. Nareszcie póki jeszcze nieodkryli przed sobą wszystkich swoich słabości, póki się nieurzeli nagiemi moralnie przed sobą; póty tylko trwał urok, potem oziębli i przekonawszy się, że byli ludźmi tylko jak wszyscy, zaczęli się nudzić.

Ten wypadek był nieuchronny. Marya i takie jak ona kobiety, namiętne, a poziome, żyjące sercem nie myślą, nie zrażają się słabością i wadami, widząc je nieoddzielnymi od człowieka. Łucya zrozumiała, siebie widząc doskonałą, brzydziła się temi dowodami człowieczeństwa, które dostrzegała w Gustawie. Po niewczasie poznali oboje, że nie dla siebie byli stworzeni, jemu Maryi było potrzeba, bierniej, posłuszniej, któraby mu patrzyła w oczy całe życie i słuchała go łagodnie, pokornie, zawsze przywiązana, nigdy nie zrażona; jej trzeba było człowieka bez głowy, którymby mogła władać jakby chciała, któryby nie miał zdania nad jej zdanie, myśli innych nad te, któreby mu mieć kazała, któryby był dla niej, czém jest księżyc dla słońca.

Jak wszystkie kobiety literatki, które w literaturze szukają tego samego, co w stroju, pojazdach, balach — to jest pochwał i okłasków; Łucya była nadzwyczaj próżną. Przed temi, co ją zrozumieć mogli popisywała się erudycją *à la Morgan*, z krytyką i zdaniami *à la Staël*; przed innemi ze swoją twarzyczką, którą każdy rozumiał, bo była bardzo piękna. Lubila się stroić, jeździć, bawić i wkrótce spokojny Wasilków Gustawa, pełen był gości, których wdzięki i dowcip gospodyni przynęciły. — Każdy pojmuje, jak przywykłemu do samotności Gustawowi, nagle przejście z zacisza do próżnych zabaw z ludźmi, z którymi niewiedział, o czém mówić, przykre być musiało. Cierpiał on na tém, ale milczał. Nieraz kiedy chciał pracować, czytać, pisać, trzask z bicia oznajmował gości, i wyskoczywszy zszlafroka, musiał iść do nich bawić niby — a w istocie cały dzień ziewać w duchu. Łucya, która umiała jak pszczoła z każdego trochę słodczy, kadzidla dla siebie wyciągnąć, zawsze wesoło przyjmowała odwiedziny. Gustaw świat cały przeklinając, wracał do swego gabinetu i książek. — Szczęśliwszy byłem z Maryą, myślał wracając nieraz, ona jak ja lubiła samotność i nas dwoje wystarczało sobie — téj trzeba u nóg całego świata!

Czasem znudzony Gustaw, wymawiając się chorobą, zostawał u siebie; ale naprzód posłańcy, potem sama pani wpadała do cichego zakąta.



— A, zmiłuj się Gustawie, wołała, czy można być tak dzikim! Okrzyczą cię! Jakże to nie wyjść do gości! Zostawujesz ich mnie samej, to wcale nie grzecznie! chódź, chódź, mój drogi, trzeba dla świata coś uczynić, żeby nam świat cokolwiek uczynił.

— Jabyś wolał nic nie mieć od niego, a nie oddawać mu drogich chwil mego życia, odpowiadał Gustaw zrzucając szlafrok i w najbardziej zajmującym miejscu, porzucając książkę lub pisanie; wzdychał i szedł do gości. Nudne życie! okropne życie! zabijające, było dla niego pełne wrzasku, a próżne jak dzwon w bajce; lecz Łucya się bawiła. Dowcipna, żywa, lubiła plotki, nowiny, obmowę, gawędki, wyśmiewała niemiłosierdzie, a do tego wszystkiego potrzebowała koniecznie towarzystwa, bo któżby się dziwił dowcipowi, podsycił rozmowę, dolewał oliwy na ten ogień? Pod jej prezydencją zawiązały się nowe bale, reduty, zabawy bardzo kosztowne, bo je i pieniędzmi i czasem opłacać było trzeba, a Gustaw zabity, znużony, musiał wszędzie towarzyszyć żonie.

— Zdaje się, że gdyby mnie kochała, myślał nieraz, mogłaby mi zrobić ofiarę z tych szumnych zabaw, do których widzi dobrze, jak nie jestem stworzony. Ja jej tyle życia poświęcam.

— Lecz ona ani myślała o tém. — W nocy czytała książki, połykała je, nie trawiając; w dzień szukała innego zajęcia. Jeśli nikogo niebyło

u niej, ona jechała gdziekolwiek, gdyż z charakteru i z nałogu, potrzebowała koniecznie towarzystwa, a to, które jej przypadek nadarzył, tém lepsze dla niej było, że w niem zupełnie wyższością swoją królować mogła. Nikt się jej nigdy nie przeciwiał, bo mało kto rozumiał.

Tak upłynął rok cały, piekielnie nudny dla Gustawa, a dla niej bardzo wesoły. Wyrwawszy się z pod opieki matczynęj, która jej długo ciążyła; Łucya cieszyła się teraz jak ptaszek, który wyleciał z klatki i dla spróbowania skrzydeł puścił się naprzód siebie; — cała zajęta sobą, nie miała czasu pomyśleć nawet o szczęściu Gustawa.

W końcu roku niewidząc odmiany, uzbroił się poeta w rezygnacyą, stał się zimny, zamysłony, smutny. Łucya i on nierozmawiali już z sobą prawie, tylko przy gościach; co jak każdemu wiadomo, jest bardzo wyraźnym symptomem nieukontentowania, częstym u osób, które nie poróżniwszy się jeszcze wyraźnie, już się nie lubią. W domu przemawiali do siebie po kilka tylko słów nieodbicie potrzebnych, które są chlebem powszednim. — Dzień dobry dobra noc! jak ci się spało? — Głowa mnie boli! piękny dzień! — Trochę chłodno. Czemu mi w piecu nie napalą? i t. p. Zresztą wzięwszy książki w ręce, siedzieli całemi godzinami koło siebie na kanapie, nie myśląc wcale o sobie. Nie rozprawiali już o literaturze, grzecz-



ni byli z uprzedzeniami dla siebie, ale w tém wszystkim za grosz serca niebyło.

— Zimna kobieta! myślał Gustaw.

— Zimny człowiek! myślała Łucya.

I tak z tego poetycznego życia, które widzieli przed sobą, nim się złączyli, po kilku śmietankowych tygodniach, zostało się suche i nudne życie dwojga samolubów przykutych do siebie. Bo Gustaw widząc, że Łucya o nim nie myśli, myślał sam o sobie i zaczynał więcéj kochać siebie, a ona od samego początku o sobie tylko myślała, siebie tylko kochała, dla siebie poszła za niego.

— Człowiek, pisał Gustaw przy końcu roku w swoim dzienniku, człowiek zawsze się myli w rachubie na ludziach, z którymi żyć musi. Jeśli dobiera charaktery przeciwne swemu, dręczy się ich niezgodnością, narzeka na niezrozumienie; jeśli wybierze podobnych sobie, — prędko go znudzą błędy ich, wprzód jeszcze w sobie widziane, zabije go monotonia. — W pierwszym razie często niedość ludzi rozumie, w drugim rozumie ich nadto, w obu przypadkach dręczyć się musi. Gdyby mu jednak zostawiono wybór, aby uniknąć jednostajności, pierwszyby obrać powinien. Dwa tony mogą być różne i zgodne w jednym akordzie, jednakowe zlewają się w jeden i nic nie stanowią. O! życie! jakaż to zagadka! —

XLIII.

WĘDROWNIK.

Jażem przez morze głębokie żeglował,  
Jażem Francuzy, ja Niemce; ja Włochy,  
Jażem nawiedził sybilijskie lochy.

*Kochan. Fraszki. ks. III.*

Jednego dnia, a raczej wieczora Lucia i Gustaw, wolni od gości myśleli wieczór przepędzić w ogrodzie. Piękny czas letni wzywał pod lipę, która im przypominała ową sławną pierwszego naszego poety przyjaciółkę, pod którą siadywał z przyjaciół, z cytrą w ręku nad dzbanem wina w chłodnej wodzie.

Z pod tej lipy na wzgórku widać było piękny obraz na około, — wieś, rzekę, młyny i daleko, na smętarzu wiejskim cerkiewkę i trzy drogi wiodące do dworu. Na stoliku nakryto im do herbaty, oboje mieli książki w ręku i dumali, patrząc w około.

A w oddaleniu słychać było wieczorną pieśń kaczek dzikich, gęsi i świergot trzpiotów wróbli i szum liści i psów szczekanie i jednostajny turkot młyna, wybijającego takt, tym rozmaitym dźwiękom. —

A na niebie zachodziło słońce czerwone za czarne chmury i blady księżyc wstawał z drugiej strony, jak dłużnik, który czeka chwili od-



dalenia się wierzyciela, żeby na świat wytknąć głowę. — Pięknie było na świecie, — spokojnie, cicho!

Lucya zakrywała książką usta, żeby Gustaw jej ziewania nie widział. Dwa dni przesiedziała już w domu, nikt jej nieodwiedził, nie miała z kim pośmiać się, podziękować do kogo. — Nudziła się doskonale.

Gustaw cały był w książce i na drugim świecie. Wtém zdaleka na drodze pokazał się tułacz kurzawy. — Lucya podniosła się, rzuciła książkę i wlepiła oczy!

— Ach! pomyślała, może kto jedzie do nas! dałby to Bóg! Nie, — to wóz siana! odpowiedziała sama sobie i obróciła oczy w inną stronę. I tu pokazał się wśród kurzu czarny punkt dość szybko przybliżający się. — Serce jej uderzyło.

— Może do nas! może gość! I patrzyła chciwie i zdawała się prosić tego czarnego punktu ruszającego się na drodze, żeby się w jakiego pożądanego gościa przemienił, któryby rozzerwał smutną jednostajność dawnego jej życia. I w miarę jak coraz wyraźniejszym stawał się pojazd i konie, niespokojność jej i radość razem rosła. Ale jeszcze nic nie mówiła Gustawowi, który zatopiony w książce, niewidział nic koło siebie.

— Niezawodnie goście! odezwała się sama do siebie, kocz, trzy konie! otoż się wszystko

rozstrzygnie! dokąd pojedzie, czy na prawo gościńcem, czy na lewo do nas! — Wlepiła oczy i tęskno opuściła ręce, — pojazd pojechał na prawo, porwała książkę i zniechęcona zaczęła czytać, ale niedługo; bo znowu mimowolnie oczy jej wróciły się na trzecią drogę. A na trzeciej drodze nic nie było! nic prócz wielkiego stada wołów i owiec! Mimo tego Łucya miała przeczucie gości, choć niesłyszała sroki krzyczącej na płocie, choć niewidziała umywającego się kota. I znowu spojrzała na pierwszą drogę. — O zdziwienie!

Przez ten czas jak w inną patrzyła stronę, mniemany wóz siana zmienił się w dwa pojazdy, które już zakręcały się na dziedziniec. Postrzegła, rzuciła książkę, wywróciła tacę z filiżankami i porwała Gustawa za rękaw.

— Gustawie! zawołała z iskrzącymi oczyma, — goście jadą, chodź!

— Niech sobie jadą! odpowiedział zimno, niepodnosząc oczu z książki.

— Chodźmyż ich przyjąć.

— Idź, jeśli chcesz.

— A ty?

— Ja zostanę.

— Jakto? Gustaw nic nieodpowiedział; Łucya niespokojnie spojrzała na zajeżdżające już pojazdy i zbliżyła się do niego.

— Mój Gustawie, odezwiała się słodziuchno, nie bądź dziwakiem, miałeś całe dwa dni wol-



ne, czyż i chwili niechcesz dać ludziom, same-  
lubie?

— Dałem im już za wiele, odpowiedział,  
tymczasem zostaw mnie tutaj — kadejdę.

— O! już ja się na ciebie spuścić niemogę!  
Zaczytasz się, zadumasz, a potem gotów jesteś  
wyjść w szlafroku do kobiet, jak ostatnią razą.  
Chodź lepiej razem. Cóż tam parę godzin, czyż  
się nie naczytasz jeszcze, mój Gustawku, mój  
Guciu, trzebaż cię w ręce całować? Gustaw  
milcząc, zamknął książkę, włożył ją do kieszeni  
i jak bydle, które prowadzą na sznurku, poszedł  
za Łucyą.

W ganku już ich goście czekali. Jeden bar-  
dzo znajomy. P. Perełka, ów to literat dowci-  
pny, który wszystkim powinszowania pisał, bo-  
gaty sąsiad Faska i ktoś jeszcze nieznajomy.  
Ten nieznajomy zwrocił najmocniej uwagę Łu-  
cyi. Był to młody mężczyzna, bardzo modnie,  
świeżo i smakownie ubrany, dosyć wesołej twa-  
rzy i ust, które milcząc nawet, szydersko uśmie-  
chać się zdawały.

— Mam honor, odezwał się p. Faska plując  
i kaszląc wedle zwyczaju, i ceremonialnie dwa-  
kroć się kłaniając, mam honor przedstawić i  
prezentować JMCPaństwu, mojego syna, świe-  
żo z zagranicy przybyłego. Chciał on poznać  
swoje sąsiedztwo, i niemógł lepiej zacząć, jak  
od szanownego domu JMCPaństwa Dobrodziejów.  
Gustaw się uklonił, Łucya uśmiechnęła zmru-

zając oczki; pan Alfred wybąknął kilka słów niezrozumiałych, które wszyscy wzięli za komplement pod prassą, a p. Perelka biorąc Gustawa za rękę, szepnął mu pompatycznie w ucho.

— Młodzieniec uczony! Mówił to, jakby chciał straszyć Gustawa, który się uśmiechał.

Wszyscy usiedli w salonie z kapeluszami w ręku, a p. Faska zwracając się do gospodyni domu, zaczął rozmowę od sakramentalnych słów.

— Co za sliczny wieczór!

— Bardzo piękny! odpowiedziała Łucya z nie-dostrzeżonym uśmiechem spoglądając na Alfreda, który spuścił głowę i uśmiechnął się także.

Właśnie chodziliśmy z moim mężem na przechadzkę do ogrodu. W naszym kraju trzeba chwycać takie chwile, bo większą część roku wzdychamy tylko za niemi.

— Prawda, przerwał Alfred, ale i nasza zima ma swoje wdzięki. Ja com tak długo za granicą bawił, bardzo żałowałem w dżdżystej zimie włoskiej, naszych kulików i szlichtady.

— Pan byłeś w Włoszech? zapytał Gustaw zbliżając się do niego. Kraj cudowny! kraj zachwycający!

Niezmiernie gorący i strasznie ubogi, odpowiedział Alfred z połuśmiejem sarkastycznym, ruiny miast zwalonych ręką czasu, ruiny pomników zwalone ręką barbarzyńców, ruiny ludzi wypalonych przez słońce, sirocco i wyżółkłych od *aria cattiva*.



- A Rzym?
- Wielki grób.
- A Neapol, Florencya, Padua, Mantua?
- Te jeszcze żyją trochę. —
- A Wenecya?
- Śpi snem kataleptycznym.
- Widziałeś pan grób Romea i Julii, zapytała szybko Łucya, w kościele kapucynów w Padwie?

— Widziałem, zawsze z uśmiechem odpowiadał Alfred, kawał kamienia, któremu powieść Luigi da Porto, a więcej jeszcze Tragedya Shakespear'a wiele dały wartości.

— Byłeś pan w Herkulanum? w Pompei, zapytał Gustaw.

— Byłem. — Smutny widok! Coś podobnego do karawany zasypanej w piaskach pustyni Azavad. Ale dla starożytników i ciekawych, którzy się chcieli dotykalnie przekonać, czém był świat za panowania Rzymian, jest to cudne *ben trovato*; Wezuwiusz schował im pod swoim popiołem na pamiątkę, próbkę tamtego życia, zwyczajów, wszystkiego aż do kuchennych naczyń, które starożytnicy wprzód oglądali od amfiteatru i grobu *Scaura*.

W czasie tych szybkich pytań i odpowiedzi, Pan Perelka stał osłupiały, parząc się herbata, a p. Faska tryumfalnie patrząc na syna, nieumiejąc nic powiedzieć, tupał w takt nogą po podłodze, póki nogą swoją nie natrafiwszy na

nogę stołową, całego stolika z serwisem do herbaty nie wyrzucił. Zmieszał się tém niewypowiedzianie, zaczął chwytac piękną saską porcelanę, poparzył się i belkocząc, exkuzować się zaczął; gdyż sam skąpy, jednym rzutem oka ocenił zrobioną szkodę. Ale Łucya śmiejąc się, zadzwoniła: wbiegli słudzy i w pięć minut bez najmniejszego szwanku na humorze, zastawiono drugą herbatę, piękniejszą jeszcze porcelaną.

P. Faska tak się już lękał przypadku, że nogi swoje pod krzesło starannie pochował. Rozmowa szła z zapałem, o filiżankach nikt prócz niego niepomyślał. Łucya z wlepionemi oczyma, niespokojna, cała była wędrownikiem zajęta i jego opowiadaniem; Gustaw dzielił z nią ciekawość, ale więcej rzeczą niż opowiadającym się zajmował, ona więcej nim jak jego opowiadaniem.

— Mój mąż jest zapalonym sztuk miłośnikiem, odezwała się do Alfreda, bardzo go pan zobowiąże, jeśli mu pan co powie o freskach Watykanu, łóżach Rafaela, o Bazylice S. Piotra i arcydziełach sztuki w Rzymie znajdujących się.

— Ja się na tém znam tak mało, że ani opisywać, ani sądzić o tém niemogę.

— Zbyteczna skromność.

— Najświętsza prawda.

— Czy bardzo wypłowiwały?

— Co?



— Freski Watykanu.

— Dosyć! porównywałem je z niektórymi Herkulańskimi, mają wiele podobieństwa, smak tylko Rafaela czyściejszy.

— A powiedzno kochanku, przerwał p. Faska, który ciągle milcząc, szukał w głowie, co by mógł powiedzieć, opowiedzno co państwu o Paryżu? Alfred trochę się na to żądanie ojca zarumienił, zagryzł usta i cicho odpowiedział.

— O Paryżu trudno co nowego powiedzieć, wszyscy go znają.

— O ba! wszyscy, co tam byli! ale państwo niebyli, odpowiedział ojciec, powiedz co kochanku, powiedz o tym pałacu, jakże się zowie? ten ta, — co to, — ma szklanny dach, co to sklepy, — co to te, — co to wiesz. —

— Palais Royal, — Orleański, dorzucił Alfred niespokojny i zarumieniony. Jest to targowisko, jak wiadomo, najpiękniejsze sklepy tam się znajdują i najdrobniejsze, od brylantów aż do sznurków. Był to dawniej podobno pałac Richeliugo. —

— Czyj? czyj? zapytał ojciec, Richeliugo? hę? tego ministra, co to był kardynałem, chciałem mówić kardynała, co był ministrem?

— Tego samego!

— Ps! ps! i zkad ty to wiesz?

— Wszyscy to wiedzą, — odpowiedział Alfred po cichu cały zarumieniony, gdyż ojciec

zawsze podobnym sposobem przed gośćmi i nieznanymi popisował się z nim.

— Moj syn, dodał ojciec prędko, słyszał panią *Catilinę*?

— I myśmy ją słyszeli, odpowiedziała Łucya, zagryzając usta.

— Gdzież?

— W Wilnie.

— Ona tu była? zapytał Faska.

— Była.

— Osobliwsza rzecz! gdyby tak jeszcze jeździły miasta i pałace, wszystkoby można widzieć w domu i niepotrzebaby tych kosztownych podróży odbywać.

Ot mój syn naprzykład, Mościa Dobrodziejko, rzekł stary, mało to pieniędzy kosztowały jego podróże. No cóż? trzeba, żeby chłopiec świat widział i widział. E! to on pani jeszcze nie mówił, gdzie on był; ale on to cały świat objeździł, był w Grecyi, gdzie to biją się z Turkami, był w Stambule, gdzie to te sławne fajki robią. Przywiózł mi fajkę. Był, pani Dobrodziejko, — gdzie to jeszcze? a! we Włoszech, gdzie to ten Rzym cały murowany, był we Francyi, to jest w Paryżu, w Anglii, gdzie węglami palą! O to śmiesznie, u nas węgle się już nie palą, a u nich się palą? Oto! co to na świecie! Był w Ameryce, to jest, Mościa Dobrodziejko, rychtyk pod nami, pod spodem ziemi, z drugiej strony. I mówi, że tam tak sa-



mo jak u nas, tylko ciepliej i węzów mnóstwo, a ludzie bywają od słońca tak czarni jak węgiel, jak lokaj pana Marszałka, ten co to go pomalować kazał, żeby po karczmach żydów straszył, to to pani pod spodem! to to jest!

W czasie tego uczonego monologu, Alfred był widocznie na szpilkach, Gustaw chodził tułac śmiech w rękawie, Łucya gryzła koniec chustki w zębach. Wreście wizyta się skończyła, wszyscy brali się do kapeluszków.

— Nieznam tu nikogo, rzekł Alfred na końcu, i chociaż niepowinienbym się naprzykrzać, przebaczycie mi państwo, gdy drogą ich ceniąc znajomość, będę prosił o pozwolenie korzystania z niej.

— Bardzo nam będzie miło! odpowiedział Gustaw.

— Prosimy choćby codziennie, tak miłego gościa nigdy nam dosyć nie będzie.

— A mnie to nie proszą, rzekł sam do siebie p. Perelka, wzdychając, ani przyjeżdżać, ani bajki czytać Ten i bajek nie pisze! Mój Boże! jak ten świat wielkich ludzi nie rozumie i nie ceni! Mój Boże! ani razu jeszcze nie byłem u nich na obiedzie!

XLIV.

ROZMAITOŚCI.

Niewiesz, jako niewdzięczna miłość sercu boli?

*Kochanowski. Fraszki II.*

Teraz możesz lekcyą piękny włos otoczyć

Teraz możesz zaśpiewać, teraz w tańcu skoczyć,

Po chwili przyjdzie starość. —

*Kochanowski. Fraszki II.*

**K**orzystał téż ze znajomości Alfred, ba od téj pierwszej ceremonialnej wizyty zacząwszy, prawie co dzień bywał w Wasilkowie. Ojciec jego za rozbitą porcelanę odesławszy daleko piękniejszy serwis, czasem także z nim dla popisania się tym drogim synkiem przyjeżdżał, ale najczęściej Alfred sam konno przybywał.

Łucya żywa, pojętna, zgadująca jego myśli, dowcipna jak on, bardzo mu się podobała, on także bardzo się jéj podobał. Tak to zawsze bywa. A Gustaw częściej, częściej nad książkami lub w zadumaniu nad rzeką niż w salonie, zostawiał im zupełnie wolne do wszystkiego pole, z początku do spowiadań z podróży, potem do niemiłej zajmujących rozmów o różnych rzeczach, które równie w domu widzieć można jak za granicą. Ale z początku przynajmniej niebyło żadnej złej myśli w postępowaniu Łucyi, chcia-



ła się tylko podobać jemu, jak każdemu, zyskać pochwały, zadziwić, odurzyć, wszystko to w najniewinniejszym sposobie. Wszak tysiące kobiet robi tóż samo bez żadnego celu. Alfred zaś, którego Francya popsowała, wziął to zupełnie z inszej strony, zaczął udawać zakochanego i rozpoczął romans formalny od wejrzenia do ściśnięcia ręki, od ściśnięcia ręki do westchnień, od westchnień do rozmowy dwuznacznej, potem do wyrażnej, potem do listów! A wszystko to bez żadnej zapewne złej myśli! Lucya widziała w tém tylko chwilową zabawę, której była głodna, w listach szukała tylko niby opisów podróży, a jeśli czasem do opisu wmięszalo się coś ubocznego, jaki epizod sentymentalny, jaki mistyczny wykrzyknik, apokaliptyczne zapytanie; brała to w prostocie za naśladowanie Sterna lub jakiegoś nieznajomego autora. Lecz powoli z listów znikły zupełnie opisy, a ich miejsce przywłaszczały zwykłe miłosne wykrzykniki, protestacye, et caetera. I to jeszcze nie zdawało się jej bardzo straszném. — Bawi się, myślała sobie i ja się bawię, jest przynajmniej jakiś interes w życiu. Otóż dla dodania interesu życiu, zaczęła odpisywać na listy, bardzo dowcipnie, bardzo wesoło. A Gustaw naturalnie o tém niewiedział, bo czyż można takimi drobnostkami biednego męża trudzić skłopotaną głowę — potem! cóż mu do tego?? — Trwało to kilka miesięcy bez przerwy z obustronném zadowoleniem

— Mylę się, z jednostronnem tylko, bo Alfred żądał od listów dojść do pocałunku i t. d. był to bowiem człowiek regularny, który każdą rzecz lubił doprowadzić do końca. Ale Łucyi już się zdawało, że na listach wszystko się było skończyć powinno, i tak skończywszy, była zupełnie z siebie kontenta, czysta na sumieniu i spokojna jak anioł w raju! Co się tyczy Gustawa i przysięgi małżeńskiej, zdawało jej się, że ich w niczem nie obrażała i była niewinną — bo któż przysięga u ołtarza, że nie będzie czytał i pisał listów? — oczywiście, to nic nie stanowi. Co się tyczy serca, to od przysięg i woli nie zależy, a zatem Łucya, choć jej wędrownik głowę zawrócił, chociaż utrzymywała z nim tajemną korespondencyą, czuła się całkiem czystą i niewinną. Mąż ani to przeczuwał, ani o tém wiedział, zupełnie, jak ów przesławny matematyk z Fraszek Kochanowskiego, on sobie czytał, pisał, dumał, rozmawiał i zostawiał ich dwoje sam na sam w sali, na przechadzce, w polu, w lesie, zupełnie spokojny, myślą i sercem na drugim świecie. Nieraz Alfred pozwalał sobie w oczy żartować z niego, kończąc żarty obłudnym uśmiechem, uściskiem i spojrzeniem na żonę, nieraz dotkliwiej jeszcze szydził z jego oziębłości przed Łucyą.

— Powiedz mi Pani, mówił do niej, czy można żyć z człowiekiem, który o nas nie myśli i nie dba o nas, który żyje na drugim świe-



cie, żyje dla siebie, nie troszcząc się o resztę i towarzyszkę życia, zostawując samą jedną na ziemi. Ja na miejscu Pani, za wolnego bym się od wszystkich obowiązków uważał, kiedy jedna strona łamie przysięgę, druga nie może jej dochowywać bez dziwacznej śmieszności.

Łucya udawała, że nierozumie, a Alfred mówił dalej.

— Pani musisz się nudzić śmiertelnie w domu, kiedy nikogo niema?

— Mam książki.

— Te nie zawsze wystarczają.

— A potem, Pan tak często przyjeżdżasz, chociażbym chciała, nie mam czasu się nudzić.

— Bardzo dziękuję, odpowiedział wędrowiec ze swoim wiecznym uśmiechem, lecz proszę mi wytłumaczyć, czy to ma znaczyć, żebym rzadziej bywał?

— Chyba częściej, jeżeli się tylko pan nie nudzi, robiąc taką ofiarę, dla prostej wieśniaczki.

— Arkadyjskiej chyba! dodał Alfred, ze zmyślonem uniesieniem, gdyż w istocie w jego duszy nie było żadnego przywiązania do Łucyi, tylko kaprys chwilowy. Nudził się na wsi Paryżanin i miał sobie za obowiązek sumienia, odpowiedzieć uprzedzającemu obejściu się Łucyi, które za wyzwanie uważał. Człowiek ten, jak wszyscy prawie ci, co świat obleciawszy, wracają znudzeni i niekontenci z siebie do rodzinnego kąta, serce swoje po kawałeczku zostawił,

w Rzymie, Neapolu, Florencyi, Wenecyi, Paryżu, Londynie, u tancerek, starych księżn i księżniczek i gorzej jeszcze! Bardzo uświatowiony, grzeczny, oświecony, z pamięcią zadziwiającą, ze smakiem do literatury i sztuk nabytym dla mody, był to jeden z tych ludzi, którzy mają całą powierzchowność niepospoliczych, a w istocie ani talentu, ani zdolności; — jeden z tych ludzi, którym natura dała dar naśladowania, którzy napatrzywszy się i nasłuchawszy, przejmują myśli, ton, rozmowę osób wyższego sposobu widzenia i talentów. Ten rodzaj ludzi, to ma w sobie osobliwego, że nie własnego niemając, a cudzem żyjąc tylko, pewną ilość myśli cudzych przywłaszczywszy, czas jakiś łatwo oszukać może pozorem wyższości swojej, lecz gdy się ten zasilek wyczerpie, wracają zuowu do tego, od czego zaczęli, i oszukaństwo ich na jaw wychodzi. Alfred był wcale miernym człowiekiem, ale Łucya, której zręcznie pochlebiał, w jego dowcipie i połatanych wiadomościach, daleko większą wiarę kładła, niż w Gustawie, który więcej milczał, nie tak polyskiwał i często nim co powiedział, szukał długo po głowie, żeby się nie omylić. Alfred zaś miał gotową odpowiedź na wszystko, sąd o wszystkim, jeżeli czego dobrze nie wiedział, ganił niemiłosiernie, wynajdował jak mógł najosobliwsze zdanie i uderzając niem niespodzianie, zamazywał oczy



mniej świadomym. Nie darmo powiedziano, więc jeden osieł zaprzeczy, niż stu filozofów do-  
wiedzie, tak samo się dzieje z pochwałą i na-  
ganą. Łucya tego oszukaństwa, téj szarlataneryi  
nie dostrzegła, — ale Gustaw orlem okiem spoj-  
rzawszy na niego, znał go od pierwszego wie-  
czora, nie widział tylko potrzeby wynurzenia  
swego zdania przed żoną, tém bardziej, że ona  
go zawsze chwaliła, i że ztąd powstać by mógł  
spór nowy, jakich już aż nadto bywało.

Szło więc wszystko tak, jakeśmy powiedzie-  
li. Łucya czytała listy Alfreda i odpisywała  
na nie, Gustaw o tém nie wiedział, a oni obo-  
je zimni, wcale nie zakochani, z różnych po-  
wodów przyczepili się do siebie. Łucya przez  
nienasyconą próżność kobiecą, dla dodania inte-  
ressu życiu swemu wiejskiemu, Alfred przez  
osobliwszy punkt honoru, który wielu jemu  
podobnym nie daje spokojności, póki nie spro-  
bują szczęścia u każdej spotkanéj kobiety. Tą  
drogą oboje dalej zająć mogli, niż chcieli, gdyż  
ślepo szli zaufani, że zawsze czas będzie pokłó-  
cić się, pożegnać i cofnąć. Tymczasem oczy  
wszystkich zwrócone były na nich. Na wsi  
i w małym miasteczku, wszyscy wiedzą, co  
kto robi, domy są przezroczyście, a słowa ma-  
ją echa o cztery mile na około; — całe  
więc sąsiedztwo z przestraczem szeptało w nie-  
bytności pańienek w pokoju, że Pani Łucya  
oczarowała Alfreda, mszcząc się za panny, któ-

re przywilejem swego stanu, pierwsze miały do niego prawo. Szeptali mężczyźni, że Pan Alfred stał się przyjacielem domu Gustawa, śmiano się pocichu, dziwaczne robiąc domysły.

— On ich rozwiedzie pewno, mówiły matrony.

Wczoraj koło północy wracał ztamtąd, dodawał stary sąsiad z przekąsem, stary sąsiad gaduła, który także nieraz po północy wracał z pod sąsiedniego folwarku.

Pozawczoraj, mówiły pocichu w kątku pannenki jedna do drugiej, z tym anielskim uśmiechem, który u nich wszystkiemu, nawet obmowie towarzyszy; — pozawczoraj, byli razem sami jedni na przechadzce!

*Horrendum!* wrzasnął, podśluchawszy Pan Perelka, który zawsze mścił się za swoje bajki na Gustawie, — mam ja w kieszeni gotową już na nich *krytykę*.

— Nie *krytykę* ale *satyrę*, mów proszę, odzywał się Kryptoped. *Krytyka* jest na książki, *satyra* na ludzi.

— To wszystko jedno!

— Nie jedno!

— I jak zawsze, zaczęła się odwieczna kłótnia o *krytykę* i *satyrę*, kończąc się na słowniku Lindego, w którego jedynym tomie, obu tych wyrazów nie było. —

Ojciec Alfreda nareście zaczął się marszczyć na częste syna podróże.



— Mówią, przestrzegał go, że ty się umizgasz do pani Łucyi, to zgorszenie! Już ciż ich rozwodzić nie myślisz? to szalenie drogo kosztuje, daj temu pokój!

— A gdzież tam! papo! co też ludzie plotą! odpowiadał Alfred ze śmiechem. — Ja do Gustawa jeżdżę, nie do niej; któż to znów takie domysły robi!

— Chyba że tak! chyba! no! no! mówił ojciec, i na tém się kończyło.

# XLV.

## PERELKA.

... ale zły towarzysz,  
Odejmie wszystko, że troski w pół wieka  
Zgryzą człowieka?

*Kochan. ks. II. X.*

Jednego poranka p. Perelka, ów to bajkopis i literat powiatowy, który nosił zawsze w kieszeni płody nieśmiertelne swojego jeniusza, dosyć rzadki gość w Wasilkowie; przyjechał parokonnym wózkiem.

Zastał tylko samą panią w salonie, która dosyć w złym humorze, milcząca, chociaż zwykle bardzo z niego lubiła żartować, na ten raz tylko siedzieć go prosiła.

— A Jegomość Dobrodziéj? zapytał Perełka z uśmiechem i wyprężeniem, zwykłym tym wszystkim, którzy mówią jeszcze: Jegomość Dobrodziéj.

— Mój mąż musi być u siebie.

— Niemożnaby go odwiedzić?

— Myślę, że można! odpowiedziała Łucya, rada, że mu naśle na głowę sto i oko bajek, które mu strują czas do obiadu.

Więc idę.

— I owszem, proszę, odpowiedziała gospodyni. Siadła czytać, a gość poszedł na górę. Przede drzwiami otarł nogi, pogłodził czuprynę i gębę, chrząknął, dla oznajmienia i puknął.

— Czy można?

— Któż tam? zapytał Gustaw ze środka.

— Najniższy sługa, odpowiedział Perełka uchyłając drzwi. — Może przeszkadzam?

— Proszę! rzekł Gustaw, rzucając książkę, z którą siedział u komina i wyciągnął krzesło. Literat obejrzał się po gabinecie książkami ubranym, w którym porozrzucane folianty i drobniuchne leżały książeczki, oblizał się i rzekł z westchnieniem.

— Co to za szczęście mieć tyle książek!

Ze tym sposobem zwykle zaczynają ludzie, którzy ich chcą pożyczać, Gustaw spuścił głowę i nic nie odpowiedział. —

— Jakże szanowne zdrowie pańskie?

— Jestem zdrow.



— Mocno mnie to cieszy.

— Jeślibyś pan przypadkiem miał mi czytać swoje bajki, rzekł Gustaw po chwili, to proszę zaczynać, bo istotnie trochę jestem zatrudniony.

— Nie, — dziś ich z sobą niewziąłem, rzekł Perełka, macając się po kieszeniach, i wydając tylko jakiś zwitek, to są tylko powinszowania. Tak! Czy znajome panu to? —

„W dzień twego imienia.“

— Słyszałem kilka razy.

— A drugie. —

„O dniu szczęśliwy, co —“

— I te.

„A w dzień nowego roku?“

— Także. Perełka wszystko schował do kieszeni, obejrzał się i przysunął krzesło.

— Ale ja tu nie z tem przyjechałem do pana Dobrodzieja.

— No, a z czemże?

— Prawdziwie, — rzekł Literat, trudno mi przyjść do tego, — jest to bardzo delikatna materya, — lecz.

— Może chcesz pieniędzy?

— Jeśli łaska, to ja wezmę, podchwycił prędko, kłaniając się literat, ale to jeszcze nie to.

— A cóż takiego?

— Prawdziwie, — powierzono mi tak tru-

odne do dokonania dzieła, ufając moim słabym zdolnościom, że istotnie. —

— No no, mów, cóż to jest?

— Gdybyś się pan niegniewał?

— Ja się nigdy niegniewam.

— Nigdy!! proszę ja kogo! a nigdy! hm! ale bo to widzisz p. Dobrodzieju, tak . . . —

— Proszę mówić, na cóż te ceremonie, no, no, bardzo proszę.

— Jest to interes tyżący się p. Dobrodzieja, więcej niż nas wszystkich, mówię nas, gdyż to, co będę miał honor powiedzieć, jest w imieniu całego sąsiedztwa, które obrało mnie za pośrednika do WP. Dobrodzieja, znając od lat tyłu moje poświęcenie obywatelskie, — iż zawsze byłem gotów służyć każdemu.

— Powinszowaniem, — pomyślał Gustaw w duchu.

— Otóż Mości Dobrodzieju! Sąsiedztwo w imieniu mojem, to jest ja w imieniu sąsiedztwa, śmiem WP. Dobrodzieja przestrzedz, iż różne uwłaczające jego honorowi pogłoski, zaczynają krążyć o — —

— Naprzykład? zawołał śmiejąc się Gustaw i dumnie podnosząc głowę. — Cóż to jest?

— To jest, to jest, jeszcze nic, — odpowiedział Perelka, trochę przełknięty, ale unikając złego przykładu, jak mówi pani kasztelanowa dla młodych osób i zapobiegając gawędom nieślusznym, któreby ztąd urosnąć mogły.



— Cóż? gadaj!

— Smiemy przestrzedz WP. Dobrodzieja, że p. Alfred, nadto często i w podejrzanym godzinach tu bywa.

Gustaw porwał się w gniewie, jakby go dopiero w tej chwili myśl okropna uderzyła.

— Któraż to jest ta podejrzana godzina? zawołał i co komu do tego, że czytamy razem i bawim się długo w noc, że p. Alfred będąc moim przyjacielem, bywa u mnie??

— Ale, bo, — kiedy pana niema w domu, obserwowano. —

— Ja zawsze jestem w domu! odpowiedział Gustaw, tupiąc nogą. Wiesz pan, że taka przestroga zasługuje na dobrą naukę przez wdzięczność? kawał pańskiego nosa powinienbym mu uciąć na pamiątkę, żebyś się w cudze sprawy nie mieszał. — Powiedz to WPan tym głupcom, co go tu przysłali. Perelka już był u drzwi i nieczekając, aż go wypchną, sam uciekł, ruszając ramionami i mówiąc sam do siebie. —

— Kalkulowałem na obiad! tfu! trzeba mu to było powiedzieć po obiedzie! Gdzież teraz będę jadł obiad, chyba u kasztelanowej!

Na kurydarzu spotkała go Łucya biegnącego.

— Nie będziesz u nas na obiedzie? zapytała.

— Nie! nie, — upadam do nóg, bardzo się spieszę, bardzo mi pilno! upadam do nóg! odpowiedział Perelka, lecąc co tchu do bryczki.

— Cóż to jest? pomyślała Łucya, muszę pójść zapytać Gustawa. I śmiejąc się, poszła na górę. — Otworzyła drzwi, — Gustaw chodził blady po pokoju, włosy miał najeżone, oczy iskrzące.

— Cóż ci to jest? zapytała Łucya, chory jesteś, musiałeś temu biednemu Perełce co przykrego powiedzieć, bo uciekł ztąd jak szalony. Gustaw uśmiechnął się szydersko w milczeniu, Łucya poprawiła dREWKA na kominie, spoglądając na niego z ukosa. Po chwili głębokie westchnienie zakończyło dumanie Gustawa, rzucił książkę na ścianę i upadł na kanapę. —

— Cóż ci to jest?

— Nic, odpowiedział, prowadząc ręką po czole zlaném zimnym potem. Milczeli.

— Gdybym ja był twoją żoną, a ty moim mężem, Łucyo, — Łucya wlepiła w niego oczy, — i gdyby do ciebie przyjechał ktoś w imieniu sąsiedztwa, moralności i t. d. prosić cię, abyś uważała na prowadzenie twojej żony, na wizyty nocne jakiegoś młokosa; co byś na to powiedziała? Łucya osłupiała.

— To potwarz!

— Tak się spodziewam, — i chciałbym temu wierzyć, a jednak całe sąsiedztwo cię potępiło, — oto przyczyna, dla której nikt już u nas nie bywa. Alfred podły lub głupi skompromitował mnie i ciebie. Powiedz mi, po co



on tu przyjeżdżał wieczorami, na coś go beze-  
mnie przyjmowała?

— Nudząc się całe życie sama jedna, wszak  
przynajmniej z ludźmi gadać mogę, myślałżeś  
mnie zamknąć w klasztorze?

Gustaw oparł głowę na rękę. —

— Rozumiem, rzekł po chwili łagodnie i zi-  
mno, rozumiem; — odwrócił się od niej, wziął  
jakąś książkę z ziemi, poprawił drevka na ko-  
minku, siadł i udawał, że czyta. Łucya wyszła,  
widząc jego milczenie; niespokojna, zgryziona,  
pierwszy raz dopiero postrzegłszy, że w niewin-  
nej myśli zatrula życie Gustawowi, i straciła  
dobrą sławę, nieodzyskaną.

Na dole spotkał ją Alfred, który jak zwy-  
czajnie przyjechał z nią rano przepędzić. —

— *Bien bon jour? comment ça va-t'il?* Łu-  
cya zawstydzila się tą poufałością, która się  
jej raz pierwszy obrażającą wydała, wyrwała  
mu rękę, którą chciał ścisnąć i milcząc wbie-  
gła do salonu.

— Cóż to jest? co za zmiana?

— Mała rzecz, odpowiedziała, uśmiechając się,  
zostałam tylko oskarżoną przed mężem z pań-  
skiej przyczyny, mam w domu niepokój! Są-  
siedzi tak byli troskliwi o mnie, że o częstych  
odwiedzinach pańskich, z przekąsem memu mę-  
żowi znać dali. Alfred wielkie oczy zrobił i  
złakł się.

— Któż to?

— Perełka.

Porwał za Kapelusz. — Ja mu kości pogruchocę, ja go ubiję!

— Toby jeszcze dopomogło obmowie, proszę się już przynajmniej nie mieszać. I Łucya chodziła po sali zakłopotana, łamiąc ręce i narzekając. Alfred stał, zagryzając usta i gnąc kapelusz w rękę.

— Czy mogę się widzieć z panem Gustawem?

— Któż broni? odpowiedziała zimno.

— Więc idę, — rzekł stojąc na miejscu.

— Idź pan, poszedł.

Gustaw siedział i płakał jak dziecko, czerwone miał od łez oczy, i nie wiedząc, że Alfred już był o wszystkim uwiadomiony, zaczął się skarżyć na katar.

— Wiem wszystko, rzekł Alfred, chcąc przystąpić do rozwiązania. — Gustaw spojrzał na niego z pogardą. —

Wiesz wszystko, rzekł, więc bądź zdrow! —

— Jakto?

— Spodziewam się, że tu więcej nie będziesz.

— Wypędzasz mnie? —

— Sam się powinienś wypędzić, widząc, ile nas twoja znajomość kosztuje.

— Lecz to się da naprawić.

Wszystkie naprawiania na nic się nie zdały. Jeśli tego nie zrobisz, smutno mi będzie, wypchnąć cię za drzwi, lub oknem wyrzucić.

— To groźba.



— Nic innego.

— Pojedynek więc. —

— Tego głupstwa nie będzie, rzekł Gustaw, popsułbym gorzej jeszcze swoją sprawę.

— Jakto? odmawiasz mi satysfakcyi?

— Jedynej, jaką dać mogę, nie odmawiam, odpowiedział Gustaw zimno i wzięwszy go za kołnierz szamoczącego się i krzyczącego wypchnął za drzwi. Potém usiadł przy kominie, wziął książkę i płakał nad nią.

Burcząc i łając Alfred zbiegł ze schodów, siadł na konia i pojechał. Nazajutrz ojciec mówił, że się wybrał w nową podróż do Szwecyi.

---

## XLVI.

## W Y J A Z D.

---

Niechę cię trzymać przeciw twojej woli.

*Kochan ks. I. VI.*

**P**o tym wypadku każdy pojmie, jaka była zgoda w domu, jakie zaufanie; znikły i te słodkie chwile, które wprzód choć rzadko rozjaśniały czasem szary horyzont małżeński.

Łucya dumna, bo jęj się zdawało że była niewinną; Gustaw dumny, bo obrażony, rzadko się z sobą schodzili, rzadziej mówili do siebie, z po-

czątku oziębli, potem się znienawidzili. Łucya nudziła się bardziej niż kiedykolwiek, szukała zabaw i oświadczyła na koniec mężowi, że chce do wód jechać.

— I owszem, — a dokądże to?

— Do Baden. — Zimą przepędzę w Wiedniu. —

— Bardzo dobrze!

— Na wiosnę pojedę do Saxonii.

— Wybornie!

— Lato przepędzę nad Renem. —

— Ślicznie!

— Jesień w Szwajcaryi.

— Czemu nie!

— A drugą zimą w Paryżu.

— Na wiosnę radzę być we Włoszech, jechać do Grecyi, do Egiptu, i skończyć na Ameryce, — najlepiej nam będzie, kiedy nas dzielić będą antypody. — Szczęśliwej podróży.

Łucya wyjechała i niewróciła więcej.



## XLVII.

# SZCZĘŚLIWI.

---

Zima bywszy zejdzie snadnie,  
 Nam gdy śniegiem włos przypadnie,  
 Już wiosna, już lato minie,  
 A ten z głowy mróz nie zginie.

*Kochan. ks. II. XXIII.*

A lata płynęły, a jesień się zbliżała. Znowu Gustaw był sam jeden na świecie, bez rodziny, bez przyjaciół, bez nikogo. Jedyńm jego zatrudnieniem i zabawą, było dumać i czytać, ale sercu poety i tego nie dosyć, wśród burzy chce ciszy, a w ciszy, burzy wygląda. I w wieku rzeczywistości, Gustaw został tak samo, jak był w młodym, — tylko z nadziejami, — z nadziejami, których spełnienia już się niemógł spodziewać, jak drzewo, które rozkwita w jesieni. Pod tysią jego głową wrzały jeszcze nieostudzone wiekiem marzenia, gorzały myśli, paliły się niewygasłe ognie i chociaż ten wulkan nie buchał już jak w młodości, wewnątrz palił się jeszcze.

— Gdybym był życie zrozumiał jak inni, mówił do siebie, byłbym szczęśliwy z Maryą w cichym kącie, na małym ziemi kawałku; poświęciłem wszystko duszy, której nienasyciłem, sławie, której nie otrzymałem, — a życie

stracone. Do czegoż mnie doprowadziły marzenia i poezya? do szyderstwa ludzi i gorzkich wspomnień. Chciałem być orłem i podnieść się w górę, lecz nogi moje oblepione były błotem ziemi, skrzydła kałem nasiąkłe, — porwałem się i upadłem. Prawdaż to, że każdy człowiek z gorącą duszą, z górną myślą, nieszczęśliwy być musi? prawdaż to, że marzenia są zgubą, że trzeba umieć zastosować się do życia, nie życie do siebie stósować? Prawdaż to, że nienasycenie duszy widzącej niebo przed sobą, jest dowodem wyższego jój przeznaczenia i drugiego życia?

I gorącemi dłońmi przyciskał czoło, w którym ten wir myśli kręcił się bez ustanku i smutny, opuszczony od ludzi, samotny, wyczerpawszy pokarm z książek, których czytać nie mógł, bo wszystko w nich, było dla niego powtarzaniem oklepaném; błędził z myślami, niewiedząc, co począć z sobą. Biedny Gustaw! A w koło niego tylu było szczęśliwych.

I ten biedny szlachcic na jedynym zagonie, który w ciągłych drobnych kłopotach, zajęty życiem, nigdy nie miał czasu westchnąć i zapłakać, któremu wystarczały jego Magda, jego dzieci, krupnik i szara kapota. —

I ten pół panek w pochylonym domku, polujący całe życie, któremu każdy zajac szczęście z sobą przynosił, któremu każdy kufel robił skutek filozofii, słodkie zapomnienie świata i cierpień! któremu każda Kachna była boginią,



każdy organista wyższą istotą, ksiądz proboszcz mędrce nad mędrce, kalendarz księgą nad księgi, a dubeltówka le *Paga* najwyższem marzeniem, najświętszem życzeniem, najidealniejszym ideałem, pieścidłem duszy, serca, gwiazdą jedyną na niebie nadziei.

I ten pan, co złotym herbem zasadził fronton swego domu, ociągnął dziedziniec słupistym parkanem, piaskiem wysypał ulicę ogrodu, otoczył się zgrają pochlebców, niskie ukłony Jaśnie Wielmożnemu Panu sypiących, który pysznił się liberyą srokatą, srebrem łamiącym stoły, winem z Węgier sprowadzonem, który szczęście swoje, — Baronostwo, mógł sobie kupić, za kilka tysięcy ryńskich.

I ten wesół pijaczyna, który od rana do wieczora tonął w kuflu, śpiewając pieśni swojej młodości, który pragnął nadewszystko nigdy nie mieć rozumu, i zawsze pić, pić, — i skonać pijanym.

I ten kupiec tłusty, rumiany, którego łatwe szczęście było w fortepianie córki, nowym fraku syna, podróżalnych towarach i uszlachceniu nakoniec.

I ten chłopiec młody, motyl latający od kobiety do kobiety, z uśmiechu na uśmiech, z rokoszy na rokosz; którego szczęście było w pocałunku, którego raj był w uścisku, którego niebo było na kolanach każdej kobiety.

I ten posiwiasty i łysy starzec, który szczęśliwy był opowiadaniem przygód swego życia przy kominie otoczonym wnukami — który się modlił z ufnością, umierał spokojnie i tyle użył świata, że go więcej nie pragnął, ani po nim płakał.

I ten poziomy gad, z kroplą witryolu w głowie, a kawałkiem lodu w sercu, z piórem w ręku, i papierem na którym marmecydskie swoje zostawiał robotki i co zszywał swoją sławę z mózgów nieboszczyków, sam siebie chwalił, marzył wieńce laurowe i umarł sławiony przez większą połowę swojego świata, bo jęj pochlebiał, przeraziwszy część drugą, którą bezcześcił i plamił, od niewielu zrozumiany — wysmiany — wzgardzony, zapomniany; szczęśliwy, bo głupi, i zarozumiały, sławny jak jednooki król ślepych.

I ten, co gdzieś w kątku dalekim z żoną, którą kochał, przepędził życie jasne, spokojne, podzielone na pracę, odpoczynek, modlitwę, — który wierzył w niebo, a żył myślą na ziemi, kochał ziemię i szczęście, wziął od niej nagrodę, z nadzieją drugiego życia.

I ten, który w oddalonym klasztorze zapomniawszy świata, oddał się Bogu, włożył suknię prostą, zrzucił ciało i myśli ziemskie i żył w niebie spokojném, pewném, które mu było przedsięwzięciem drugiego wiecznego.

I wszyscy ci i wielu innych, było szczęśliwych koło niego, on jeden niezaspokojony,



trawiony gorączką, ze łzą w oku, której nawet cierpienia całego wieku nie wysuszyły, którą z dziecinnymi marzeniami wyniósł z dzieciństwa, jako symbol swojego przeznaczenia, — on jeden dręczył się, nie rozumiejąc celu swojego życia, wszystko widząc czarném, nudném i plugawém, otoczony ludźmi, którzy go nie rozumieli, kobietami, które go miały za szatana, dla tego, że od niego dwie żony uciekły, otoczony światem, który go miał za szalonego, bo go złoto nie uczyniło szczęśliwym.

— Daj mi twe złoto, mówili w duszy zazdrośni, daj mi złoto, a będę szczęśliwy, niczego więcéj nie zapragnę, kupię sobie domek wieś, kobietę, butelkę i t. d. i będę szczęśliwy!

Taki był stan, takie było życie Gustawa. Chcesz wiedzieć ostatnią scenę téj tragi-komedyi życia poety, smutną i poniżającą? oto jest. —

XLVIII.

Znał kto kiedy poetę trzeźwego?

*Kochanowski, Ks. I. P. XX.*

Dzbanie mój pisany,

Dzbanie polewany,

Bądź płacz, bądź żarty, bądź gorące wojny,

Bądź miłość niesiesz, albo sen spokojny,

Jakkolwiek zwano,

Wino, co w cię lano,

Przymknij się do nas, a daj się nachylić

Chciałbym tym darem gości swych posilić,

Trzymaj się na mocy

Bo cię całej nocy,

Z rąk niewypuściam, aż dzień jako trzeba

Gwiazdy rozpędzi co do jednej z nieba. —

*Kochanowski, Ks. I. III.*

Ziemia deszcze pije, — ziemię drzewa piją,

Z rzek morze, z morza wszystkie gwiazdy żyją,

Na nas nie wiem, co ludzie upatrzyli,

Dziwno im, żeśmy trochę się napili!!

*Kochanowski, Fraszki Ks. I.*

**J**eszcze flaszę! jeszcze flaszę! jeszcze dzban!  
jeszcze beczkę, jeszcze kufę tu dajcie, dajcie  
morze do wypicia, wołał Gustaw. — Wino,  
szczęście! — w winie jest drugi świat, w winie  
odbija się świat poety, jak w wodzie wasz  
świat ludzie, wina, wina!!

I pił, pił, — i usypiał! A w koło siedzieli  
ludzie czerwoni, z pozamrużanemi oczyma,



z pospuszczanemi głowami i słyhać było ich chrapanie. Bo Gustaw niemógł pić sam, jak wszyscy pijacy z rzemiosła, zbierał przyjaciół kielicha, żeby się nimi, więcej jeszcze niż napojem odurzyć. Późno w nocy, po cynicznych pieśniach, kłótniach, po żartach bez sensu, po śmiechach zimnych bez przyczyny, usypiali wszyscy snem ciężkim pączu i wina, a gdybyś wówczas zajrzał w te siedm głów dymiących, znalazłbyś w nich krążące we śnie myśli, tak dziwne, jakich nigdy świat trzeźwi po dniu nie zobaczy.

W jednej z nich było grono kobiet z kielichami tańczących na beczce, — a piersi ich były nagie i wzdęte, oczy zapalone, uśmiech szatański, uśmiech kielicha próżnego, do butelki!

Po drugiej chodziły wory złota na nóżkach brązowych z główkami sfinksów, i mruczały brzękiem swoim złotym i błyskały sobą i rozwijały jak paw wielkie ogony z dukatów tkane.

W trzeciej była uczta na drzewie między gałęziami, a drzewo rosło na wodzie, a woda płynęła w ogniu, a ogień palił się na ziemi.

W czwartej był pogrzeb tańczący i wesele smutne, — szły psy z zapalonymi świecami w łapach, wół ryczał, lud płakał, a w trumnie nieśli półgarncową flaszę pustą, z założonemi rękoma, z zamkniętymi oczyma. — A za wozem, szły kufy, płacząc i kupcy z li-

warami i trybuszonami lamentując, a drudzy skakali, kręcili się, walcowali, po ziemi, po powietrzu, w wodzie . . . i wszyscy chowali się do piwnicy.

W piątój siedziały dwa psy i grały w karty, a karty były z szynki westwalskiej, a pieniądze były z krajanych salsesonów, a za banknoty, służyły liście sałaty i kapusty. Za niemi i w koło nich, siedziały wielce dystyngwowane osoby, — bobkowe liście, muszkatołowe gałki, cynamon chudy i blady, goździk garbaty, koperwas, saletra uśmiechająca się do węgla, i poważne błyszczące, zimne autymonium.

W szóstój było wesele, żenił się śpiący, z córką wielkiego Mogola, która miała złoty pałac, czerwone wąsy, nogi kurze i dziób, zamiast nosa. Ślub dawał sam wielki Mogoł, wiązał ich wieńcem saletrowym, posypywał czarnuszką i oblepiał francuzkiem ciastem, smarując nos i usta roztopioném masłem. Wszystkie damy dworu, miały kurze nogi, a mężczyźni żółte ostrogi na gołych piętach. — Słano łożę małżeńskie na wysokim płocie, dzielącym kuchnię ognistą wielkiego Mogola, od jego sadzawek. —

W siódmej głowie, a siódma była Gustawa, było niebo gwiazdziste, spokojne, harmonia niebieska, tysiące aniołów, pełno ludzi, — tam siedział poeta, a przy nim Marya w sukni zakonnój i matka jego i jego ojciec i wszyscy,



których kochał . . . A na dnie, pod spodem widać było piekło i drugi on siedział w piekle, a koło niego Łucya, Werner, Franciszek, Perelka i szatani, którzy mu czytali wiersze i bajki, tragedye i satyry, heroidy i kawalki starzych romansów . . . .

Potém wszystko się skrzyło i widać było znowu ludu wiele i wieniec laurowy. Gustaw szedł po wieniec i śpiewał; lud słuchał w milczeniu, z uwagą, z rozczuleniem. Słuchał — i spał! A obudziwszy się, włożyli mu na głowę wieniec laurowy i klaskali i krzyczeli. — Ślicznie! cudownie śpiewał, ale powiedz nam co, bośmy spali i niesłyszeli, — bośmy słuchali i niezrozumieli.

A Gustaw zrzucał z pogardą ich wieniec i szedł daleko, tam zrozumiał go jeden człowiek i śmiał się z niego, zrozumiał go drugi i poszedł kiwając głową, zrozumiał go trzeci i litował się nad nim — Potém znowu było ciemno, gorąco, dymno i duszno, po głowie jego chodziły węże, smoki, jaszczurki i ogniste salamandry, deptały mózg te stworzenia, ssaly myśli jego i piły krew, a na sercu jego siedział pajak i trzymał je w szponach i dusił. . . Potém nic nie było, a Gustaw budził się i pił znowu. —

## XLIX.

## ŻAL PO BIAŁEJ SUKIENCIE.

A wśród chwil szału i odurzenia, przychodziły czasem Gustawowi rano z otwarciem oczu, wieczorem gdy księżyc wschodził, przypomnienia czystej jego młodości. Wówczas spalone wargi i twarz, po której wiek porysował drogi, któredy z smutkami przechodził, tulił płacząc i żałował jak żółw, co się chciał zbliżyć do nieba, że niżej jeszcze i głębiej spadł w błoto z wysoka.

O! biała sukienko, młodości mojej, wołał sam w sobie, gdzieżeś się podziała? — świat cię błotem pobryzgał, krwią i łzami pomoczył, poszarzał i podarł! Ciało moje powalało duszę, upokorzyło tyle razy, zbydlęciło, — jakże pójdę do nieba tak brudny? A jednak nie jestem zbrodniarzem, ani ciężko mi na sumieniu od krzywdy i niesprawiedliwości, życie moje upłynęło spokojnie, ale ziemia i ludzie są jak sadza, której dosyć jest dotknąć, żeby się powalać. — Któż przebrnął morze lat swoich i wyszedł z niego tak czysty, jak wchodził? Pokażcie mi jednego? Pokażecie mi może tysiące takich, których o nic obwinić nie można, lecz są takie grzechy i takie plamy, między człowiekiem a Bogiem tylko ukryte,



których ludzkie niedopatrzy oko, które w środku siedzą jak robak w owocach, i gryzą.

Często są to tylko myśli, które zwały duszę, częściej słowo, czasem chęć uczynku, czasem uczynek, — lecz uczynki i słowa karze prawo ziemi, ukarane ścierają się i zmyją powoli, ale wola i myśl zostawszy w głębi duszy, wala całą duszę; takie myśli, i chęci ma każdy najczystszy człowiek, cenobici na pustyni wśród modłów, kobiety czyste jak anioły wśród niewinniejszego życia, dzieci, które złego nieznają. Szczęśliwy, kto zapomni; biada tym, co je pamiętają; myśl dziecka, będzie starca przesładować na łożu śmiertelném.

Któż mi teraz odda młodzieńczą świeżość myśli i uczuć, to dziewictwo duszy, które raz się tylko ma i traci; kiedy czyste usta, serce, myśli niepokalane, godnemi są jeszcze wszystkiego, co ziemia ma najczystsiego, najmniej ziemskiego; kiedy nam się zdaje, że poleciawszy do nieba, moglibyśmy wyżyć pokarmem aniołów, śpiewem, modlitwą, światłem, wonią i miłością! potem, o potem grzechy nasze jak ciężar ogromny, ciągną nas za nogi do ziemi, a gdy myśl do nieba i aniołów uciecze, widzimy w sobie, żeśmy już niegodni zasiąść do téj ucztyniebieskiej, która by nas nudziła, po pałacach rokoszów ziemi.

Wy i tego nierozumiecie bydłota dwunożne, ludzie Platona, którym tylko pierza braknie do

przeistoczenia w zwierze, ludzie, którym równy jest każdy kogut Diogenesa, wy niemacie młodości i białej sukienki, dziewictwa i czystości, rodzicie się jak zwierzę, umiając od razu pływać po waszej kałuży i szukać brudnej strawy waszej. I tem się różnicie od prawdziwych ludzi, — zwierzę i wy niemacie dzieciństwa, człowiek z iskry wzrasta w ognisko, człowiek prawdziwy doskonali się całe życie, zwierzę, ma granice wychowaniu swemu, — człowiek idzie bez końca i zaczyna od tego, na czem skończył jego poprzednik, żeby masę wyobrażeń, myśli, skarb swój umysłowy, wyżej o krok posunąć i być szczeblem do wierzchołka wszystkiego, do wierzchołka, którego niema na ziemi. Bo mądrość jest to góra, próżno się po niej ludzie drapią, stoi ona na ziemi, lecz wierzch jej jest w niebie. —

L

## NEKROLOG.

Umarłeś i leżysz w tym grobie.  
*Kochanowski. Fraszki. ks. I.*  
*Nagr. Woj. Kysk.*

Z GAZETY.

„Cena wełny spadła na Lipskim jarmarku o dziesięć procentów na kamieniu, niżejtej któ-



rażmy ogłosili w przeszłym Numerze. Wnoszą, iż powodem tego jest rozhodowanie owiec w Niemczech i niustalone stósunki Anglii z Ameryką i Chinami. Pan Petri, sławny znawca i amator owiec, powrócił z Hiszpanii i przypro-  
wadził jak słyhać wielkie stado Merynosów Estantes Leńskiéj rasy. Byłoby to bardzo po-  
żadaném dla tych, którzy się poprawą ras za-  
trudniają.“

„Umarł tu niedaleko w Wasilkowie, pan Gu-  
staw N. N. obywatel zamożny, dnia 14. b. m.,  
uderzony apopleksją piorunującą, która go za-  
skoczyła u stołu wśród przyjaciół i gości. U-  
marł bezpotomnie, z żalem znajomych i przy-  
jaciół. Talenta, których nikt odmówić mu nie-  
mógł, niestety, bez owocu zgasły. Całe jego  
życie było ciągłą pracą w różnych nauk gałę-  
ziach, zostawił znaczną bibliotekę i rękopisma  
niepokończone. Poezye jego wyszły za życia  
jeszcze autora w dwóch tomach (in 12<sup>o</sup> cena  
zniżona na 50. kop. — sprzedają się w Redak-  
cyi); widać w nich *czułość bez przesady, energią  
i życie* (???).

Liczni obywatele zgromadzili się na pogrzeb  
w parafialnym kościele, na którego smętarzu  
pogrzebiony został. *Zaszczytnie* znajomy z pism  
wielu w peryodycznych zbiorach ogłaszanych,  
literat i poeta p. Hydrocephalus Perelka, były  
sędzia ziemski i kawaler, rozczulając czytał

na grobie jego elegią, a pleban tameczny wymówne kazanie. Słysząc, że nagrobek sprowadzony ma być z za granicy, staraniem niepokieszonej i oplakującej go żony.“

„Ktoby chciał nabyć Kocz Wiedeński mało używany, podróżny z tlómkami i zaprzęgiem, także parę pięknych koni i fortepian, może się zgłosić na ulicę wielką pod Nr. 385 do Murgrabiego. — Cena pomierna.“ —

## LI.

## EPILOGOS.

Gościu? tak jakś począł, już do końca czytaj!  
A jeśli nierozumiesz i mnie się nie pytaj,  
Onać to część kazania, część niepospolita,  
Słuchaczom niepojęta. — Kaznodziei skryta.

*Kochanowski. Fraszki, ks. III.*

**W**iecież teraz, co to jest poeta? odgadliście zagadkę jego charakteru?? poeta Protensz, stworzenie zapalne i różnobarwne, ma w sobie wszystkie charaktery i niema żadnego, w wszystkie wcielić się umie, żadnego nie przyjmuje, z każdym każdy, przymuszony popędem badać naturę i zastanawiać się nad nią, jest wszystkim z kolei, wciela się w każde życie, pro-



buje każdej namiętności, naśladuje wszystko; — lecz ten ruch duszy wewnątrz niego się odbywa, niewidac nic powierzchu, tylko drganie gorączkowe, którego ludzie nie pojmują. Jeśli jest pobłażający, każdemu się podobać, do każdego zastósować potrafi; dziki i mizantrop, będzie gniewał ludzi, pokazując im zawsze ich charakter wynicowany, wywrócony na tajemną stronę. Namiętny w wszystkim, nieraz z ascetycznych dumań upadnie w brzydką kałużę ziemi, skosztuje rokoszy, powala się i pożałuje swojej białej sukienki i świeżych myśli młodego wieku i marzeń, które mu pokazywały coś niepojętego, nadziemskiego w rzeczach prostych i brudnych. —

Nie wszyscy poeci piszą, niektórzy czytać nawet nieumieją; ich charakter, natchnienie, zapal czynią ich poetami; a te, czy się wyrażają w właściwej poezyi, czy plastycznie, czy w życiu czynném, te ich czynią tem, czém są, nie forma, pod którą się ich charakter, zapal, myśli krystalizują. Wiersze nie stanowią poety, — można być (jak bardzo wielu) wierszopisem bez iskry poezyi, można być poetą, nie nie pisząc.

Jest poezya w muzyce, w malarstwie, w rzeźbie, w książce, w myślach, w mowie, w życiu, w sposobie widzenia rzeczy, w najniższych drobnostkach, — i więcéj daleko jest jéj tak rozproszonéj, wypotrzebowanéj, na codzien-

ne sprawy' człowieka, niż schowanej i zasuszonej w książkach.

Nikt nie wytłómaczy dostatecznie życia prawdziwego poety, który jest zawsze do połowy szalonym, nikt uczuć jego, zapałów i smutków niepojmie, jeśli w nich nie był. Bo poeta jest to istota excentryczna, różniąca się tém tylko od szalonych, zamykanych w szpitalu waryatów, że czasem na chwilę powraca z kontemplacyjnego życia swego na ziemię i rozerwane pasmo jej wyobrażeń łączy jako tako. \*) Niemyśl go użyć do pospolitych życia potrzeb, do tych funkcji zimnych, bezmyślnych, obcych mu zupełnie, które on uważa, pojmuje, lecz się do nich zniżyć niepotrafi. — To co Erasmus \*\*) napisał o filozofach, do braci ich poetów wybornie się stosuje. — „Możnaby to ścierpieć, pisze on, gdyby ci ludzie niezdolni do publicznych urzędów, na co innego się zdali, ale oni równie do wszystkiego są niesposobni. Nic z nich nie zrobisz. Zaproś którego na ucztę, — będzie ci milczał upornie lub nudził wszystkich pytaniami bez celu i końca. Weź go w taniec,

\*) Le fou ne differe guères du philosophe contemplatif et du poëte inspiré, que par l'impossibilité de rétablir quelquefois l'équilibre de la vie materielle. Ce qui n'est qu'une crise pour les deux autres et pour lui un état. Ch. Nodier. Corbeille de Rognures III.

\*\*) Erasmus Rotterdamus, Morias Enkomion Stultitiae laus.



spisze się w nim nielepij od wielbłąda. Na zabawach publicznych jego mina surowa zabija powszechną wesołość, poważny Kato niemogąc, się pozbyć swojej powagi ani na chwilę, będzie musiał oddalić się na koniec. Wejdzie gdzie na wesołą gawędę, wszyscy umilkną, jakby wilka zobaczyli. Trzebaż co sprzedać, kupić, ułożyć się, słowem uczynić cokolwiek dla życia zewnętrznego, potrafi się w tém sprawić jak kawał kłosa, niepożyteczny na nic sobie, krajowi i swoim. Nieświadomy zwyczajów przyjętych, często przeciwny opinii i zdaniom upowszechnionym, niepodobna, żeby tą wielką różnicą uczuć i sposobu życia, nieściągnął na siebie powszechnej nienawiści. Wszystko, co człowiek czyni, niedołężnem, bezrozumnem być musi, chęszli jedną głową ten strumień zatrzymać, daremnie! lepiej jak Tymon wynijdź na pustynie i żyj tam z mądrością swoją!“

Te słowa Erazma, pełne są prawdy. Sam pełen myśli, czuł on jaka jest różnica człowieka, który żyje wewnątrz siebie, od tych, którzy żyją tylko zewnętrznie, czepiac się świata. Ten jest jako drzewo samotne, tamci jako bluszcz na skale. Oni nie wychodzą nigdy o swojej sile z pospolitego życia, starań i wypadków.

Nie pierwszy Erazmus postrzegł tę nieużyteczność do materialnego życia dumającego ludu, widziano to dawniej, patrząc na filozofów i poetów. Antystenes okryty łachmanami, przez

które duma jego wyglądała, ubogi a próżnujący, odosobniony od reszty ludzi, wyrzucony z ich koła, stworzenie anormalne; Dyogenes grzejący się w beczce na słońcu, który umyślnie przeciwiał się wszystkim przyjętym świata zwyczajom; stawili na to przykłady i dowody. Wielu takich nie potrzebując wreszcie obcych im zupełnie ludzi, zakopywali się na pustyni, w której nie więcej byli samotni, jak wśród ludu, który ich nie rozumiał i nie łączył się z nimi. Gdzieś niedzie szanowani jak wieszcz i prorocy (bo niezrozumiani) unikani jak trędowaci, nigdzie nie spotykali współczucia, częściej tylko niezaspokajającą, lub niezasłużoną pogardę.

Stan tych ludzi tym bardziej godzien litości, że między sobą sprzeczni, nie mogą nawet żyć z sobą. Każdego z nich dumania po innem niebie, w innej sferze, innym się obracają kołem.

Z cmentarza tych ludzi, bierzmy garściami kości i popioły, zobaczem, co to jest życie poetów.

W Benvenuto Cellini, znajdziemy wszystkie rysy charakteru poety, odwagę, zamiłowanie swobody, pogardę bogactw, częste zmysłowe upojenia w niedostatku lepszych, charakter niestały, zapalony, fantastyczny. Wszystko to w jego najważniejszych i pełnych cudotworów *Memorie* się znajduje, w których często suchy



rzemieślnik, częściej daleko poeta natchniony się pokazuje. Goethe niedarmo je tłumaczył. Widzicie Benvenuto, broniącego Castel Sant Angelo, wymierzającego działo na ks. Oranii, uwięzionego niesłusznie, dopominającego się o nagrodę zasług u Pawła III., trzy razy cudownie uwalniającego się z więzienia, z największym niebezpieczeństwem, którym pogardza, widzicie go zawsze dumającego o cudownej Salamandrze i wyższym swoim przeznaczeniu. Pokazuje się potem na dworze wykwintnym Franciszka, wśród uczt, pojedynków, miłostek; szulerem, nędzarzem, bogaczem z kolei, mieszka w pałacu, stwarza Fontainebleau, rywalizuje z Primatice i księżną d' Etampes. I z jakimże zapałem tworzy, pieści i kocha swoje dzieła, jak swojego Jowisza, wybawia od zaprzysiężonej zguby, jak pracuje nad Perseuszem, na którym polegają nadzieje jego sławy, jego poetycznej duszy. W chwili, kiedy to arcydzieło odlewa, szydzi z niego tłum zazdrosny, Cellini rzuca formę, swoje srebro, złoto, skarby, wszystko, co ma, byle odlać Perseusza, jak Pigmalion swoją by go duszą ożywił. I w tej chwili stanowczej, klęka, gorąco modli się do Boga, prosi go, błaga, zaklina, — o odlanie posagu. To jedno czyni go poetą, zimny robotnik, bogactw by swoich nie poświęcił nadziei stworzenia, zrealizowania myśli swojej, niebyłby umiał modlić się, byłby rozpaczal! Cellini

poświęca wszystko i modli się, bo jest artystą i poetą! I całe życie i sława i bogactwa i poważenie, nic jego serca zadowolnić nie może; drugi dowód, że jest poetą. Całe życie szuka nowego pokarmu dla duszy nowego zajęcia, nowych nadziei; a kiedy posiwiał i zestarzał, siedmdziesiątletni, bierze kaptur mnicha i oddaje się Bogu. Jeszcze poeta! bywszy artystą, żołnierzem, rozpustnikiem, nawraca się i modli, bo czuje, że i ludzi i świata i sławy i złota, wszystkiego mało, dla wielkiej duszy i serca poety!

Daćże było podobnemu człowiekowi, pocciwe ślacheckie małeńkie szczęście, kazać mu się niem kontentować, jednem miejscem do życia, jedną kobietą do kochania, jednym przedmiotem do myślenia, i zakazać mu było poetycznej pracy tworzenia i ognia tego, w którym żył jak symbol swój Salamandra; tych ciągłych odmian uczuć, szarpania na wszystkie strony, uciech nadziei, oczekiwania, niespokojności, uciech męki, których jego dusza wymagała, było go zamknąć i przykuć w spokojnem zaciszu domowém. Mógłże by on wytrzymać, mógłże by on wyżyć, tém szczęściem spokojnem, szlacheckim, kominkowém, tylu pocciwych, zimnych, otyłych *Panów Sędziów Dobrodziejów*, którzy się lękają tego, czego on żądał, i spłonęliby w ogniu, w którym on żył tak dobrze? Możecie tedy pojąć, dla czego



poeta prawdziwy, prawdziwy artysta, tak jest dziwaczny w życiu prywatnem, tak mało stworzony do pokoju, do waszych pokarmów mdłych i cichego świata waszego, dla czego choćby mu świat piramidy stawiał, jemu nigdy dosyć nie będzie; — nienasyconemu, zawsze głodnemu pokarmu nowości, nowego życia, nowych myśli, nowój sławy; niosącemu w sobie przepaść Danaid. — Czuje dusza jego nieskończoność i za nią się tak daleko od was wyrывa.

Czém jest miłość w sercu poety? — patrzcie na Petrarkę i Laurę. Francesco da Petrarca łączył w sobie dwie najosobliwsze sprzeczności, — namiętność i zapal poety, z pracowitością Komentatora. Może być, że nadzieje swojej sławy więcej zakładał na nauce, niż na pieśniach serca, — lecz się omylił. To, co pisał jako nauczyciel, objaśniacz, uczony, dawno zapomniano; to, co wylał z serca, zostanie na długo, na zawsze może. Zdrój Vaucluzy i Laura, dały mu nieśmiertelność, którąby był go nieobdarował pewnie traktat Cycerona *De Republica*, gdyby go był nawet od zguby zachował.

Miłość jego była prawdziwie poetyczną; Laura, żona Huga de Sades Awinionczyka, pierwszy raz dwudziestoletnia ujrzała Petrarkę w kościele świętej Klary w Awinionie. Petrark był wówczas dwudziestoczteroletnim młodzieńcem. Ujrzeni się pierwszy raz przed ołtarzem i miłość ich uświęcona u źródła, czysta i smutna

przetrwała do ich śmierci nieskażona, mimo potwarzy tych ludzi, którzy w miłość daleką i bez nadziei nigdy wierzyć nie chcą; przetrwała dla tego właśnie, że cała była w marzeniu, że dwoje kochanków nie dotknęło się siebie, że się kochali duszami. Połączeni byliby ostygli, z daleka się kochali.

I jakaż to była miłość! cała w poezyi, cała w niebie, — miłość tak silna, że jój wiek i śmierć zwyciężyć nie mogły. Piękna Laura poety, choć zbrzydła i zestarzała dla męża, choć jój oczy przygasły, świecąc nad kolebkami dzieci, nad szarym domowym horyzontem, ona zawsze była młodą i piękną dla Petrarka. Dziwili się zimni ludzie, widząc twarz jój wybladłą, dziwili się miłości bardziej jeszcze, gdy ziemia pokryła Laurę. — Petrark kochał zawsze.

Lecz posadźmy go z Laurą w jednym domu, u jednego stołu, rzućmy koło nich turbilion drobnostek życia, starania i myśli o dzieciach, o domu, o jadle, napoju; każmy im przemyślać o zimnym i suchym mechanizmie życia, zbliźmy ich tak, aby się widzieli ciągle? urok zgaśnie i miłość ustanie.

I jakaż to była miłość! kiedy Petrark kochał, choć ta Laura, co ją wzbudzić umiała, nie była jój warta! Poeta poświęcił jój życie, ona nic jemu, mąż zadrosny, dziwaczny, nudny więcęj



u niej jeszcze znaczył, niż nieśmiertelny Petrark, który jej ofiarował serce, duszę, życie i nieśmiertelność swoją. Szesnaście lat unikała od niego, szesnaście lat nowicyatu jego sławy, aż do uwieńczenia w kapitole. Wówczas dopiero, kiedy połowa tego wieńca, mogła spaść na jej skronie, przestała od niego stronić i pierwszy może uśmiech, dała mu za cierpienie tyle, — uśmiech próżności za łzy nieśmiertelnego przywiązania! o! kobieta!

Całe życie Petrarka, pobyt na dworze króla neapolitańskiego Roberta, jego poselstwa, podróże, któremi karmił duszę niespokojną i nienasyconą poety, wszystko, co czynił, pełne było myśli o Laurze. I co dziwniejsza, ani lodowata teologia, nad którą pracował, ani polityka, ten szkielet, na którym świat wisi; nic go nie wyprowadziło z czarodziejskiej krainy marzeń o miłości i Laurze. Wierny jej do końca, po jej śmierci wdział kaptur mniszy i skończył życie w klasztorze. — Oto są własne jego słowa, które smutny pisał już o Laurze, nie jako poeta, lecz jako historyk swojej miłości.

„Laura świetna tylą cnotami, którą często w wierszach moich opiewał, pierwszy raz oczom się moim ukazała, dnia 6go Kwietnia, w kościele świętej Klary w Awinjonie. Byłem wówczas młody jeszcze. W tém samém mieście,

tego samego dnia, o téj saméj godzinie r. 1348. gwiazda Laury zgasła na niebie. Byłem wówczas w Werronie, o mojem nieszczęściu nie wiedząc. Ta kobieta tak piękna i tak czysta, została pochowaną tegoż dnia, po niesporach, w kościele Karmelitów w Awinionie. Wróciła do nieba, które ją tylko pożyczyło ziemi. Dla smutnego wspomnienia téj straty tak bolesnej, zapisałem ją na téj księdze z radością i gorąco. Śmierć Laury jest dla mnie przepowiednią, że i ja długo żyć nie będę, teraz gdy się węzeł mojego życia rozerwał, mam nadzieję w Bogu, że łatwo mi będzie wyrzec się tego świata, na którym się tyle razy zawiodłem, którego nadzieje tak są próżne i znikome.“

Taka być powinna miłość poety, żeby była stała, marzenie dalekie, czyste, anielskie, w którym by nie było innego nad dziecinny uścisku, jeden pocałunek niewinny, wiele westchnień, łez, zapachu, ciągle przeciwności i bole. Bo miłość cierpieniem podnosi się w niebo, nasyceniem opada na ziemię i rozbija się o nią. —

Z poetów malarzy, niewiem czy kto w życiu, energiczniejszy i żywszy rozwinął charakter od Salvatora Rosy. Próżno go ojciec przyczynał na prawnika, namiętnie do sztuk powołany, a mianowicie do malarstwa, ubogi, nieznajomy długo, niestracił w przeciwnościach zapachu do swojej sztuki, do której się urodził. A prócz



pędzła niewdzięcznego, który mu długo odmawiał sławy i pieniędzy, tyle miał zbytku życia i zapалу w duszy, że je wylewał jeszcze w poezję, w muzykę, — któremi tłumaczył na przemian tłumne, płomieniste, dziwaczne myśli swoje. — Lecz nieznanomemu trudno się było mierzyć ze sławnymi malarzami, trudno się było wsławić i dać ocenić; sponiewierany w tłumie, usiłował się z niego wydobyć r. 1639. na karnawale w Rzymie. Tu wystąpił jako uszczypliwy następca Paskwinów i Marforjów pod maską Formiki i Coviella z dowcipnemi żartami i satyrą. Trzeba wiedzieć, co to jest karnawał w Rzymie, żeby pojąć na jakiej to scenie pierwszy raz Salvator wystąpił. Nic szaleńszego wystawić sobie niemożna, — powaga starego Rzymu, tak sprzeczną z tym szaleństwem dziecięcym, dodaje mu osobliwszego charakteru indywidualnego. Ten ostatni tydzień zapust, ogłoszony dzwonem z Kapitolu i wystrzałem działowym z Castel Sant Angelo jest najosobliwszą uroczystością popularną, jaką gdzie widzieć można. — Cała ludność wysypuje się na ogromną ulicę Corso, po której obu stronach stoją wielkie i wspaniałe pałace, dzieła Palladiów, Michałów Aniołów, Berninich, ulicę zaczynającą się od bramy del Popolo, kończącą się na Piazza Colonna! Wytaczają się wozy pełne masek, grupy tysiączne. Poliszynelle, Pantalony, diabli, aniołowie, mnichy, panie, dzieci, wszyscy krzy-

czą, biegają, witają się, rzucają na siebie cukrami, wszyscy się niby znają, wszystkich brata *Moria*, królowa świata, jak powiadał Erasmus. I tak dzień po dniu upływa aż do ostatniego wtorku, wśród wesołości szeroko rozlaniej, której z tego tygodnia na cały rok zapas robią mieszkańcy Rzymu. — Na takiej to scenie wystąpił Salvator raz pierwszy w r. 1639. i pierwsze odebrał oklaski, za swoje *lazzi*, w których żadnego stanu, żadnej namiętności, żadnej śmieszności nieoszczędził. — Lecz chwilowo pozyskana sława znikła za zdjęciem maski, i trwała tyle tylko, ile zabawa ludu szalejącego na gruzach Kolizeum i Kapitolu. Salvator urządził potem teatr, którego sam był autorem, aktorem, muzykiem i dekoratorem, i tym sposobem znowu się dał poznać. Z Rzymu, już odznaczywszy się i nabywszy sławy, wrócił do Neapolu, gdzie części jeszcze energii swojej użył w zaburzeniach krajowych, które odmianę rządu sprowadziły. Członek związku nazwanego *Towarzystwem Śmierci*, niekł nazad do Rzymu, gdzie pracował już do śmierci mszcząc się ostrą satyrą, na swoim kraju, który musiał opuścić. Poetyczny charakter równie się okazuje w życiu jego awanturniczém i niespokojném, jak w dziełach, w których widać namiętność pęzla i ogień myśli.

W poecie wszystko okazuje poetę, zawsze namiętny, jeśli się nawet sercem do ziemi przy-



klei, niewdzięcznej ziemi, która go ocenić nie może i nieraz od jego skrzydeł wymaga takiej posługi, jaką by włożyć powinna na grzbiet dromedara; — jeśli się przywiąże do czegokolwiek, wleje w swoje przywiązanie całą energią duszy, całą moc poetyczną. Rembrand van Rhyn, ten tak sławny malarz i rytownik skrzywiwszy namiętne serce swoje do złota, czegoż nie dokazywał, aby je gromadzić! Z jakim zapalem uwłaczającym całemu rodzajowi ludzkiemu, przekładał złoto nad ludzi, wiedząc, że ludzi dostać można za złoto; wieleż oszukaństw dopełnił, żeby drożej przedawać swoje sztychy, żeby udać sztych za rysunek, i nowe ze starych zrobić. Synowi kazał niby ukradkiem przedawać swoje roboty, żonie nosić żalobę, żeby pozorną jego śmiercią podrożyć dzieła. — O! jakże ten spodlony poeta przeklinać musiał świat na łożu śmiertelném, że go przymusił do szukania skarbów w złocie!

Ta namiętność, którą przywodzimy tylko, jako dowód, do jakiego stopnia mogą się posunąć namiętności poety nawet z drogi swojej zbłąkane, najmniej jest poetom właściwa. Racine jeden z najprozaiczniejszych poetów, tak mało wszakże dbał o pieniądze, że Despreaux, zimny krytyk i anatomista z podziwieniem wykrzykiwał, patrząc na niego: — Możnaż być tak nieczułym na 1000 luidorów!

Chociaż jego poezye są tak zimne i jednostajne, Racine jednak miał naturę poety. Naśla-

downictwo zabiło w nim zapal i natchnienie. Jego deklamacye w ogrodzie Tuilleries, wśród tłumu robotników, którego, cały zajęty Mitrydatesem, niewidział, tłumu, który go brał za szalonego, mogłyby ujść za poetyczny zapal, gdyby w nich zimny Racine nie kazał się domyślać i podejrzewać, więcej miłości własnej zajętej przyszłym tryumfem, niż wieszczonego zapalu.

Błyszczący a w istocie zimny charakter Francuzów, których namiętności powierzchu serca się ślizgają, daje się czuć nawet w ich poetach i poezjach, w których namiętności, głębokiego czucia i natchnienia prawdziwie poetycznego znaleźć trudno. Poczciwy La Fontaine, który tylko bajki pisał i wcale nie poetyczne, bo bardzo dowcipne powieści (wiemy, że dowcip i poezya, są sobie przeciwne jak dwa bieguny), La Fontaine był jednakże poetą. Jego ciągle roztargnienie, jego życie wewnętrzne, zanurzone w sobie, niewiadomość świata otaczającego i poezye, które pisał jak ptak śpiewa, niewiedząc dla czego, z popędu, — odkrywają go poetą w duszy. Bliższe zastanowienie się nad jego charakterem potwierdza to jeszcze. La Fontaine całe życie był dzieckiem poetą, potrzebował zawsze niańki i obcy był zupełnie temu, co się w koło niego działo. Ożeniono go mimo woli, i niewiedział nawet, że miał żonę, a kiedy mu mówiono, żeby z Paryża pojechał ją odwiedzić na



prowinęą, uczyniwszy to, powrócił i pytającym odpowiedział, — niewiedziałem się z moją żoną, była na mszy! — Syna swego nieznał wcale, pokazano mu go w jedném towarzystwie i oznajmiono mu, że to był syn jego.

— Moeno mnie to cieszy, odpowiedział . .

Niepodobna przywozić wszystkich dowodów jego roztargnienia, jego wyłącznego umysłowego życia, którego nierozumiejąc, brano je za głupstwo. Sławne są jego odwiedziny u pewnego znajomego, na którego był pogrzebie. Szwajcar u drzwi przypomniał mu, że umarł osiem dni temu. — Doprawdy? odpowiedział poeta odchodząc, zdawało mi się, że to, nie tak dawno się stało! Pani Sablière jego przyjaciółka bardzo trafnie nazywała go *un fablier*, tak jak zowią drzewa dające owoce, gruszą, jabłonią, śliwą; gdyż w istocie tak jak drzewo, sam o tém niewiedząc prawie, posłuszny tylko popędowi wrodzonemu, pisał bajki, jak drzewo rodzi owoce. Niemówię nic o Corneille, który przy francuzkim charakterze swoim, miał dobrą mięszaninę Prometeuszowskiego ognia, z którego się robią poeci, — nie mówię nic o Scarronie szaleńcu, którego szaleństwo wcale poetyczném niebyło. Jest to człowiek, na którego bez odrazę spojrzeć nie można; jego choroba, żona i wesołość rozciągają w około jakąś atmosferę szatańską. — Ubóstwo i królowa, paraliż i dozwicp pomieszane stanowią życie Scarrona, je-

dno z najdziwniejszych, lecz najmniej poetycznych.

Chcąc widzieć Francuza i poeę, spojrzeć trzeba na Verneta zawieszającego się na maszcie dla przypatrzenia zburzonemu morzu; zachwycającego się burzą na niebie i morzu, widzącego tylko wielką rękę Boga i olbrzymią naturę, tam, gdzie drudzy widzą strach blady i niebezpieczeństwo samolubne. Co za dusza poety, co za głębokie uczucie swego powołania, co za popęd do naśladowania i tworzenia, który szuka materyałów wyobraźni, w chwilach nawet, które ściskają żelazną dłońią duszę pospolitych ludzi, wiodących życie bez celu wyższego, widzących w burzy nie poezją i naturę, lecz strach tylko i śmierć. Życie Camoensa, tego poety, którego nawet napisanie epopei nie osłabiło i niewycieńczyło, jest nową normą życia poety, mało różniącą się od innych. Wygnaniec ze swego kraju, żołnierz na flocie Gibraltaru, szukał tego szczęścia, którego nigdzie znaleźć nie można, w dalekich wyprawach, w potyczkach na obcej ziemi, aż pod niebem skwarném Indyi. Jego Luizjada urodziła się w Goa. Lecz razem z nią urodził się tłum satyrycznych wierszy, które Camoens na nieprzyjaciół wylewał, dostało się i Vicekrólowi. Z Goa więc znowu wygnaniec, dostał się na granicę Chi do Macao. Tu kończył Luizjadę.



Odtąd żył cały w poemacie swoim i jego przyszłości, a kiedy w rozbiciu okrętu on i jego nieśmiertelność zginąć miały, uniósł ten skarb swój, rzucając się z nim w wodę i ocalał. Piękny przykład poświęcenia się poety, dla dzieła, które zamykało w sobie, najlepszą część jego życia i duszy.

Po szesnastu latach oddalenia, Camoens powrócił do kraju. Poemat jego wyszedł na świat, przyjęto go pochwałami, lecz pochwałami tylko, — a Camoens umarł z głodu w szpitalu! Nie jestże to los jedwabnika, którego nie służy królom na szaty, a ten, co ją uprządl, ginie nieznany, uwinięty nią do koła?

Po śmierci, po śmierci w szpitalu, w nędzy, po śmierci z głodu i rozpacz, po okropnej śmierci niezrozumianego od świata poety, opuszczonego od ludzi człowieka, po śmierci zjawyły się nagrobki i laur wyrosł na grobie.

Przykryto marmurami nędzarza, ogłoszono sławą i zaszczytem kraju tego, który tak daleko szukać musiał na próżne garści złota, wyżej cenioną, od jego geniuszu?

Mnóstwo jest przykładów poetycznego życia i myśli między malarzami, — któż ich nie dojrzy w dziwnym testamencie malarza Heimskeck, który zostawił fundusz na wyposażenie co rok jednej dziewczyny z warunkiem, aby państwo młodzi, tańczyli na jego grobie. Pra-

wdziwie poetyczna dobroczynność. Nie mniej poetycznym jest życie Tintoreta, sławnego współzawodnika Tycjana; — odmówienie przyjęcia orderu ś. Michała, podarunki obrazów, mogących mu zysk wielki przynieść przedażą, nauka dana malarzom flamandskim, sam sposób malowania pełen ognia, lubo genialnie nie dbały, odkrywają duszę poetyczną, całkiem w dziełach swoich i w sobie żyjącą.

Mijając już skąpego Rembrandta, który całą energią duszy poświęcił zbieraniu złota, mijając dumnego Rubensa, króla kolorystów, dziwnego Salvatora, którego pędzel i myśli, tak często do scen rozbójniczego życia wracały, powiem wam jeszcze na zakończenie kilka słów tylko, o poecie, malarzu, mało znajomym wprawdzie, ale nie mniej przeto wielkim pod licznymi względami.

Adrian Broor, ubogi chłopiec, od dzieciństwa malował na kawałku płótna kwiatki i ptaszki, które matka sprzedając, utrzymywała się z tego. Talent jego wrodzony nie uszedł oka. Hals dosyć biegły malarz, pod pozorem nauki wziął go do siebie, lecz chciwy i łakomy, chciał tylko w istocie korzystać z jego talentu. Kazał mu pracować, pilnował go, siedział nad karkiem, morzył go głodem, a biedny Broor w łachmanach głodny, przeziębły, dzień i noc pracować musiał nad obrazkami, które Hals tajemnie za bardzo wysoką cenę sprzedawał. Do tego doszedł



przemysłny nauczyciel, że go zamykał w odosobnionym szpichlerzu, aby mu nic do pracy przeszkodzić nie mogło.

Lecz Broor miał znajomych, przyjaciół, towarzyszy dziecinnych zabaw w piasku i wodzie, — ci niespokojni o niego, dowiedzieli się, doszli, wdrapali się na szpichlerz i z podziwieniem ujrzeni przez okienko, że Broor mały, był malarzem!

Po przywitaniu, zaraz pozamawiali sobie u niego obrazki dwunastu miesięcy i pięciu zmysłów, zgodziwszy się po kilka groszy od sztuki; a Broor nieposiadał się z radości, że mógł cokolwiek ukradkiem zarobić.

Lecz wkrótce z wzrastającą ceną jego obrazków, nauczyciel i jego żona, coraz ścisłej pilnować go zaczęli, tak dalece, że mu na zarobek i chwili czasu nie zostawało. Biedny chłopiec odosobniony, zamknięty, wygłodniały uciekł nareście z tego więzienia za pomocą towarzyszy; lecz nagi prawie, głodny, nieznajomy, niewiedział sam, co zrobić ze swoją swobodą. Poradził sobie poetycznie i dziecinnie, — kupił za kilka groszy, które miał przy sobie, pierników i ciasta, i z tém poszedł się usadowić w chórze kościelnym.

Tu poznany został i odprowadzony do nauczyciela, który przełęknięty utratą swojej kury

o złotych jajach, na przyszłość obiecał mu lepiej się z nim obchodzić.

I dotrzymał słowa! Zaraz mu ofiarował wspinały łachman wytarty z swojej sukni i nakarmił go szczątkami cało tygodniowej kuchni. Uradowany, że niecierpiał głodu i nietrzęsł się od zimna, Broor jeszcze gorliwiej wziął się do roboty i pracował. Hals drogo sprzedawał jego malowidła, a jemu nic z tego niedawał, wma-  
wiając, że jedzenie i suknia stara, wielkie obowiązki wdzięczności wkładają na niego!

Ciągnęło się to długo, — lecz Adrian dowiedział się nareście o cenie swoich robót, wymknął się po drugi raz z więzienia i uciekł do Amsterdamu sam jeden, bez grosza, z jedną suknią na grzbiecie, z głową tylko i ręką.

Przypadkiem trafił na przekupnia obrazów, który mu dał schronienie. — Tu dopiero z niemalą radością przekonał się, że i w Amsterdamie znajome były jego obrazy i немало cenione. — Możeby o tém wątpił, słysząc tylko, lecz gdy jeden amator dał mu sto czerwonych złotych, za świeżą jego robotę, odebrawszy te pieniądze, rozsypał je na łóżku i jak szalony tarzał się po złocie uradowany! Biedne dziecko!

Potém poleciał z workiem pieniędzy, pozbie-  
rał towarzyszków na ulicy i z nimi, otoczony obdartusami, ulicznikami, ludem brudnym, z którego wyszedł jak kwiat z pod czarnej ziemi, —



pobiegł, zamknął się w karczmie, i skarb swój przepił, rozrzucił, strawił do ostatniego grosza. Potém powrócił do przekupnia. —

— Gdzieżeś podział pieniądze?

— Pozbyłem się ich, odpowiedział, żeby mi nie dokuczały!

Cudna odpowiedź, mająca tę niespokojną chęć używania, która nie dozwoliła mu póty wziąć się do pracy, póki tylko mógł się obejść bez niej, niespokojność człowieka, któremu dotąd życie było gorzką zagadką pracy i cierpienia, a które jedna garść złota zmieniła w potok rozkosznego odurzenia! I tak całe jego życie przeszło, — ubogi pracował, zbogacony trwożył i rozrzucił, — nieraz z karczmy posyłał przedawać obrazy, żeby opłacić niemi kilkodzienną hulankę.

Niemyślcie jednak, żeby bez natchnienia pracował! Bróor brał się do roboty z niesłychanym zapalem. Słyszano go rozmawiającego głośno z Osobami, które jego pędzel stwarzał. Te dzieci jego duszy żyły dla niego, w chwili twórczej rozmawiał z niemi, słyszał ich odpowiedzi i od tego świata może tylko był zrozumiany. Tam była tajemnica duszy zapaleńca, entuzyasty, poety, — z reszty śmiał się Broor, jak ona z niego.

Co za rozmaitość, co za ruch w jego jednostajnym życiu, — bitwy, kłótnie, pijatyka, przyjaźnie kielichowe, miłości uliczne, tańce,

awawola, maskarady, a wśród tego tła czarnego, jak złote gwiazdy na niebie, te chwile pracy, którym się z przymusu oddawał, lecz w których żył jedynie. Reszta życia była mu snem niezrozumianym, z którą niewiedząc co zrobić, rozrzuca ją po karczmach i ulicach, topił w kufku, śnie i szaleństwach.

Widzicie go idącego na teatr, w téj przepysznej sukni, która przed chwilą była brudną. Pomalował ją sobie w kwiaty, upstrzył, zaiskrzył! — Wchodzi, — szmer podziwienia suknią jego przyjmuje, wszyscy się dziwią. —

— Co za bogactwo kolorów!

Co za świeżość!

Jak piękna suknia malarza!

A Broor śmieje się w duchu, — a wszyscy obracają oczy za nim i patrzą i chwalą i zazdroszczą Adrianowi Broor — kończy się sztuka, — Broor wypada na scenę.

— Z czego moja suknia? woła do widzów.

— O! śliczna suknia! śliczne kwiaty, musi być jedwabna! wołają kobiety.

Perska materya!

— Droga suknia! dodają kupcy, niema takiéj w żadnym sklepie w Amsterdamie!

— Po czemuś ją kupił?

— Gdzieś ją wyszedził?

— Kto ci ją darował? pyta się młodzież z zapalonemi oczyma.



Wszyscy chwalą, wszyscy się dziwią. Broor stoi i milczy, potem z gorzkim uśmiechem zmaczaną gąbką prowadzi po sukni, ściera kwiaty i jednym poruszeniem ręki, zmienia ją w brudny kawał płótna! Tak wielowładny talent ozdobi wszystko, czego się dotknie i talent tylko rozpozna, co zrobił i talent tylko może pogardzić swoją robotą, zetrzeć ją i zniszczyć śmiejąc się gorzko.

W Antwerpii w czasie wojny — Broor siedzi uwięziony, wzięty za szpiega. Rubens go odwiedza i po robocie poznaje, wykupuje go z niewoli, daje u siebie mieszkanie i ofiaruje przyjaźń i towarzystwo swoje. Lecz gdzie tam dziecku ulic i karczem mieszkać z Rubensem, kochankiem królów, czystym, porządnym, bogatym, człowiekiem zimnym, rozumiejącym jak wszyscy życie i pieniądze. Broor nie może znieść ciasnego, widnego, czystego mieszkania i ciasnej a zimnej grzeczności tych ludzi, jemu potrzeba karczemnego powietrza, dymu lulek, szczeku batelek, gwaru, przekleństw i odurzenia; Broor przypomniał sobie pierwszego swego opiekuna, — i uciekł od Rubensa.

Zawsze odarty, brudny, powalany, potłuczony, widział się wzgardzonym nawet od krewnych, nawet od najbliższych.

— O! pomyślał, zbliżą się oni do mnie, jak sobie kupię piękną suknię, oni chcą sukni nie człowieka!

Poszedł, kupił piękną aksamitną suknię, ubrał się i wybiegł, śmiejąc się na ulicę. A na ulicy obstąpili go przyjaciele i chwalili jego suknię. Krewni zbliżyli się, ściskali za rękę, patrząc na rękaw aksamitny, i jeden z nich zaprosił go na wesele. — Broor był tak czysto ubrany! cóż dziwnego!

Adryan śmiejąc się w duchu szydersko, poszedł na wesele, lecz wśród bankietu, porwał półmisek i oblał sosem swoją nową suknię aksamitną.

— Co robisz? zawołano.

— Co robisz!! co robisz!

— Karmię moją suknię, odpowiedział im szydząc, słuszną jest, aby korzystała z uczty, na którą zaproszona została.

Rozśmiał się, rzucił suknię w ogień i poszedł znowu do karczmy. — A krewni bardzo żalowali — — — jego aksamitnej sukni!

Znudziło mu się wreszcie to życie pustelnicze w tłumie ludzi, z których żaden nie wiązał się z nim węzłem przyjaźni, węzłem serca. Broor zaczął szukać serca, tęskno mu było bez niego, znalazł je przecie. Zamieszkał u jednego piekarza, którego uczył malować, a żonę kochać nauczył. I było im bardzo dobrze wszystkim trojgu, póki Broor zamieszany w jakąś kłótnię, nie został zmuszony do ucieczki. Tułacz i nędzarz znowu, udał się do Antwerpii, gdzie drugiego dnia umarł w szpitalu.



Rubens sprawił mu pogrzeb, a miasto nagrobek! Wieczny pokój niespokojnej duszy Adryana Broor!

Niech was Bóg broni od wszystkiego złego i od duszy poetycznej! zyskalibyście wiele sławy po śmierci, wiele łez za życia! Matki powinny się modlić nad kolebką dzieci:

— Panie, zrób go czem chcesz, tylko nie poetą! Bo lepiej być nędzarzem, lepiej być głupim, lepiej być niemym, głuchym i ślepym, niż poetą, lepiej być garbatym, kosoookim, ryżym, kulawym, lepiej być, policyantem, żydem niż poetą. — Poeta na tym świecie jest to roślina przesadzona z Afryki pod biegun lodowaty. Wzniesie się i uschnie pod mroźnym oddechem świata, pod zimną ręką Eskwimotów, którzy ją będą chwalić, ale nie ogrzeją, ale niezrozumieją! — Prożno wyglądać będzie swojego słońca i nieba, lody, mchy tylko, niedźwiedzie i cieleńta morskie otoczą go, będą wachać, probować, kosztować, — aż póki nie zniszczą. Poeta jak upiór, — na świecie, lecz nie z tego świata, wstaje dla cierpień i męczarni, rozprasa ludzi swoim przybyciem, mówi do głuchych, zebrze litości obcym im językiem, a coż mu z szumnego *Requiem* i wieńców po śmierci, kiedy je rzuci dłoń zimna, jak niechętną jałmużnę?

Pokój ich duszom w grobie, bo go nie  
znały na ziemi!

## SPIS ROZDZIAŁOW.

---

|                                                             |     |
|-------------------------------------------------------------|-----|
| I. Dzieci i kwiaty . . . . .                                | 1   |
| II. Pocałunek . . . . .                                     | 11  |
| III. Jako nie zawsze winny pokutuje                         | 21  |
| IV. W pokoju Ludwika . . . . .                              | 23  |
| V. On nie winien . . . . .                                  | 27  |
| VI. Przyjaciele Pożegnanie . . . . .                        | 29  |
| VII. I jeszcze pożegnania i jeszcze mo-<br>dlitwy . . . . . | 32  |
| VIII. On i oni . . . . .                                    | 36  |
| IX. Czém jest miasto dla poety? . . .                       | 39  |
| X. Dumania . . . . .                                        | 46  |
| XI. Serce . . . . .                                         | 58  |
| XII. Eksdywizya . . . . .                                   | 69  |
| XIII. Klasztor i prawnik . . . . .                          | 76  |
| XIV. Cztery lata . . . . .                                  | 80  |
| XV. Odwiedziny . . . . .                                    | 89  |
| XVI. Polowanie . . . . .                                    | 96  |
| XVII. Marynia . . . . .                                     | 102 |
| XVIII. Piosenka . . . . .                                   | 106 |
| XIX. Nazajutrz rano . . . . .                               | 107 |
| XX. O miłosnych przysięgach . . . .                         | 108 |
| XXI. . . . .                                                | 110 |
| XXII. Staruszka . . . . .                                   | 116 |
| XXIII. Zemsta . . . . .                                     | 123 |
| XXIV. Drugie odwiedziny . . . . .                           | 125 |
| XXV. Pod bzami . . . . .                                    | 135 |
| XXVI. — — — . . . . .                                       | 137 |



|          |                                     |     |
|----------|-------------------------------------|-----|
| XXVII.   | Monomachia duszy z ciałem . . . . . | 138 |
| XXVIII.  | Czupiradło . . . . .                | 149 |
| XXIX.    | Zmiana . . . . .                    | 158 |
| XXX.     | Rozruch . . . . .                   | 164 |
| XXXI.    | Oboje . . . . .                     | 166 |
| XXXII.   | List Olesia . . . . .               | 168 |
| XXXIII.  | Życie . . . . .                     | 169 |
| XXXIV.   | Rzeczywistość i marzenie . . . . .  | 172 |
| XXXV.    | Shakespeare . . . . .               | 175 |
| XXXVI.   | Lucya . . . . .                     | 179 |
| XXXVII.  | Gustaw do Łucyi . . . . .           | 184 |
| XXXVIII. | Odpowiedź . . . . .                 | 185 |
| XXXIV.   | Ja go nie rozumiem . . . . .        | 187 |
| XL.      | Córka, ojciec i matka . . . . .     | 189 |
| XLI.     | Znówu Lucya . . . . .               | 194 |
| XLII.    | Zona . . . . .                      | 199 |
| XLIII.   | Wędrownik . . . . .                 | 209 |
| XLIV.    | Rozmaitości . . . . .               | 219 |
| XLV.     | Perelka . . . . .                   | 226 |
| XLVI.    | Wyjazd . . . . .                    | 234 |
| XLVII.   | Szczęśliwi . . . . .                | 236 |
| XLVIII.  | . . . . .                           | 241 |
| XLIX.    | Żal po białej sukience . . . . .    | 245 |
|          | L. Nekroleg . . . . .               | 247 |
|          | LI. Epilogos . . . . .              | 249 |



150 000

578/46

160



BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
W POZNANIU



1325677